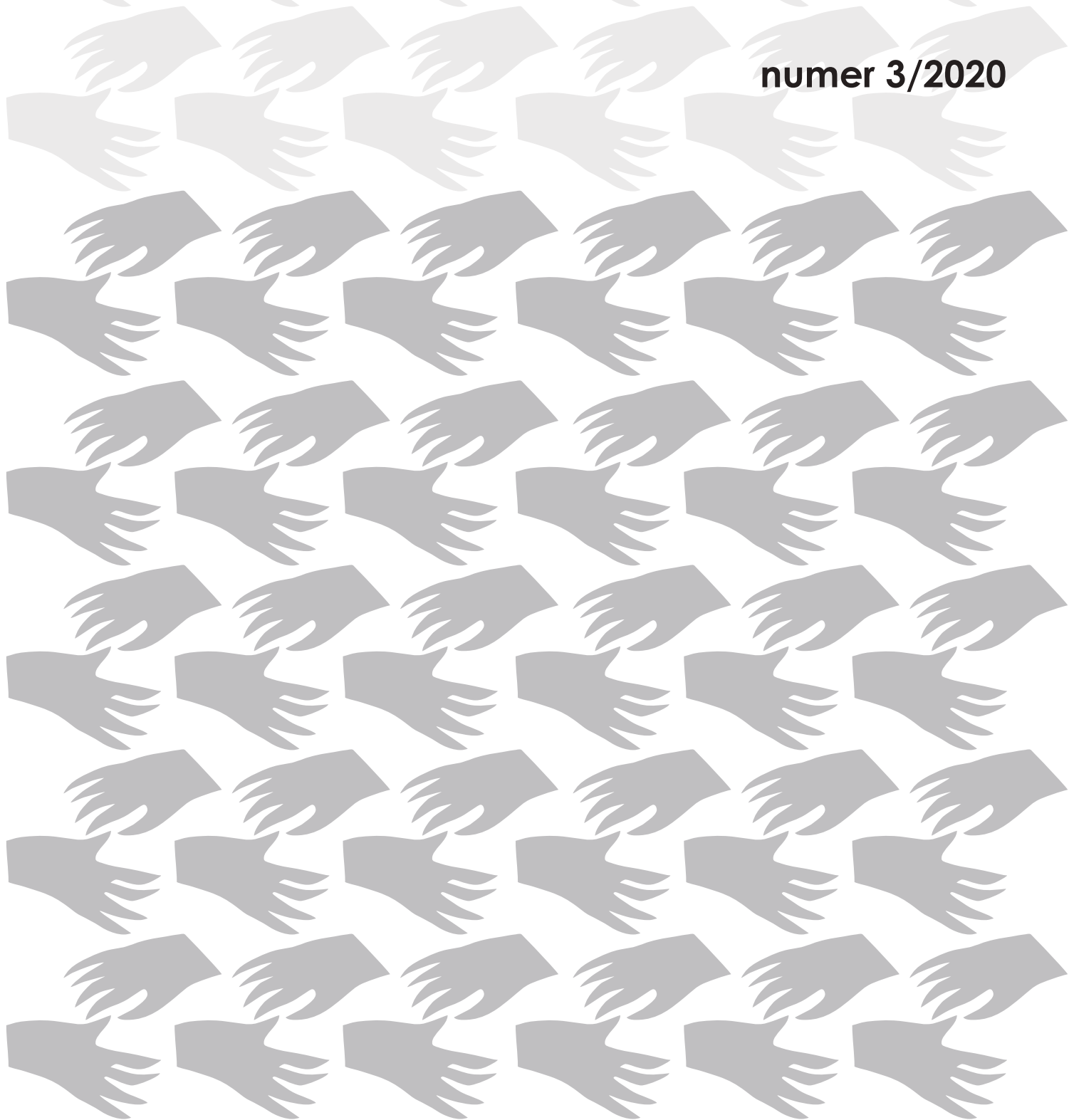


STRONA CZYLI

numer 3/2020



S - R O \ A C Z Y \ \ V

Redakcja:

Piotr Borkowicz,

Kamil Galus,

Iwo Sadecki,

Patryk Zimny

Oprawa graficzna: Julia Boros

Korekta: Sara Gosk, zespół redakcyjny

Logo: Jakub Pszoniak

SPIS TREŚCI

WSTĘP	4
POEZJA	5
Adamowicz	6
Bociąg	10
Dalasiński	13
Frączek	18
Gabryel	22
Góra	27
Harlender	30
Kotłowski	33
Kremza	36
Kulpa	40
Liegman	42
Majer	47
Mytnik	54
Pohl	58
Schodowski	61
Sikora	65
PROZA	69
Barys	70
Chról	84
Dajnowski	90
Kantar	113
Konar	118
Kołodziejczyk	123
Orzeł	126
Poklękowski	130
Szpak	134
Wiśniewski	146

KRYTYKA	165
Graul	166
ROZMOWY NA STRONIE	173
Wszyscy jesteŃmy surrealistyczni	
Rozmowa Piotra Borkowicza z Nikodemem Lazurkiem	175
STRONA WOLNA	180
Caryńska	181
Lazurek	183
Narewska	188
Pozorski	191
Sidorkiewicz	193
Wątor	195
Żyburtowicz	199

WSTĘP

Okres wakacyjny niesie za sobą obietnicę wypoczynku, radosnego rozluźnienia, czy swoistej fiesty dla umysłu i ciała. Optyka zmienia się w zależności od wieku, doświadczenia lub stażu. Dla osób w wieku szkolnym wakacje pozostają idyllicznym wyobrażeniem wolności (sielankowym, czyli bajecznym, petardycznym, no i fajnym). Jeśli postrzegamy literaturę jako medium swobody wyrażania, to jak powinniśmy odbierać niechybnie zbliżającą się jesień? Czy literatura to pieredyszka absolwentów wszelkiej maści? Koc, herbata, plucha, berbelucha?

Z każdym końcem (jakimkolwiek) pojawia się wrażenie rozpoczęcia nowego rozdziału, nowego odcinka ulubionego serialu, który najprawdopodobniej znowu zakończy się cliffhangerem. Wiecznymi debiutantami pozostaną ci, którzy robiąc to co zwykle, postarają się ugryźć jabłko, po wielokroć, z innej strony. Na przekór chandrze, choć przewlekłe wszystkiego nam się nie chce i nic chce. Ale spokojnie!

Trzeci numer obfituje w niezwykle poetycką twórczość autorek i autorów czynnie działających, jak i tych, których oddech z wielką radością chcielibyśmy Wam przypomnieć. Wyrazamy nadzieję, że w tak osobliwym dla wszystkich czasie znajdziecie przestrzeń dla dobrej i świeżej literatury.

Redakcja Strony Czynnej

ROEZZA

Anna Adamowicz

(ur. 1993) – diagnostka laboratoryjna, poetka, autorka dwóch książek z wierszami: *Wątpia* (2016) oraz *Animalia* (2019). Tłumaczona na języki (słoweński, czeski, angielski, rosyjski, węgierski). Mieszka i pracuje we Wrocławiu.



small talk

wiersz to potężny hrabonszcz,
którego ubierasz w brokatową piżamkę typu pajacyk
i przykrywasz kocykiem, a on ucieka z domu,
wsiada do tramwaju bez biletu, rzuca chujami
w mężczyzn, kobiety, dzieci

idę z tyłu, bo chodnik jest za wąski

chciałabym, żeby przylecieli po mnie kosmici,
a jedyna zbrojna rewolucja, jakiej pragnę,
to koniec świata, który wszystkich zmiecie z planszy

migawka dla Franceski Woodman

naciśnij spust migawki jakbyś uwalniała
mechanicznego boga szczękającego zębem

naciśnij spust źrenicy zadbaj o odruchy
tulenie marmuru rozbijanie luster

naciśnij spust węgorza uderz w skręty ciała
rozmyte wymyte wyczyszczone z braku

naciśnij spust krzyżyka to nakreśli drogi
którymi wędruje surowa mimezja

naciśnij spust anioła fleksja perspektywy
pozwoli odzyskać postradane ciało

naciśnij spust mięśniówki wzniecającej skok
naciśnij spust mięśniecającej *skok* *skok*

Alexa, play „Despacito”

co zrobić z takim światem

hej, światełko muskane palcem

hej, jasność odbita od twarzy

hej, blask wypalający oczy

hej, bóle pleców

hej, choroby płuc

hej, deformacje kości

co zrobić ze światem, w którym złośliwy kobold

podrzuca zwłoki dzieci zamiast rud kobaltu

this is so sad, Alexa, play „Despacito”

Danni, stab yourself in the heart

for greater good

Joanna Bociąg

Urodzona w 1989, absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, artystka, animatorka kultury, redaktorka, laureatka XXV Konkursu im. J. Biereżina, autorka książki *Boję się o ostatnią kobietę* (2020).



raster

dają im dwa osobne łóżka

dostają oddzielne pokoje

rano ktoś puka chce suszarkę

rano ktoś wchodzi po pastę

widok na wodę przesłania raster

w męskiej szatni

w męskiej szatni

ktoś wygwizduje

temat z

kill billa

melodia

skąd wiem że

w męskiej szatni

ktoś wygwizduje

melodię

różnica

teraz mówisz

gdybym miał kilka lat mniej

zawalczyłbym

a ja pytam jak

wyobrażasz sobie

życie

masz kilka lat mniej

mówisz że gdybyś był młodszy

powalczyłbyś jeszcze

Tomasz Dalasiński

Ur. 1986 r.- twórca tekstów poetyckich i prozatorskich, doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa. Autor książek z wierszami: ©, *Większe* (nominacja do nagrody im. K.I. Gałczyńskiego „Orfeusz” za rok 2018) i *Póki nie żyjemy*, książki prozatorskiej *Nieopowiadania* oraz książki krytycznej *Jadąc do siebie. Szkice o poezji Jacka Podsiadły*. Stypendysta MKiDN, Miasta Torunia, Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego oraz ZAIKS w dziedzinie kultury.



Trzydzieści cztery

Trzydzieści cztery lata chodzę w jego nazwisku.
Trzydzieści cztery lata robię jego rękami.
Trzydzieści cztery lata mieszkam pod jego skórą.
Trzydzieści cztery lata on do mnie należy.

Gdy kiedyś wreszcie zechcę
z niego wyjść (raczej
prędzej niż później), gdy opuszczę
się w byciu, zastanę gdzie indziej,

w jakiejś erze wczesnego postkapitalizmu,
rozrożonych lodowców, utopionych miast,
bez pieniędzy, komórki, umowy o pracę,

czy wtedy jeszcze będzie
dokąd pójść? I z kim?

Rzeźba

Uroić roje ruin odwrotne jak lustra
lekkie jak woltyżerka buldożerów w błocie
Uroić roje ruin a później oślepnąć
nie od nadmiaru spojrzeń od odwracania wzroku

Porzucić niepokoje wynajętych mieszkań
plennych jak areały na usługach żeńców
obrastających pleśnią podobnych zamrozom
dosiadającym gruzów późnej roślinności

Porzucić roje ruin uroić mieszkania
nietknięte przez nikogo zapełnione pustką
tak jak dłonie zebrzących gdy nimi jesteśmy
i klęczymy pod drzwiami i zimno nam w geny

Kongo

Wędzę te ręce odcięte żyjącym, wędzę te ręce skradzione Afryce,
wędzę te ręce na placach Brukseli.

Wędzę te ręce za głód i pragnienie, wędzę te ręce za niebo i ziemię,
wędzę te ręce za buszel bawełny.

Wędzę te ręce za gram czekolady, wędzę za letnie opony Dunlopa,
wędzę za sztucze ze słoniowej kości.

Wędzę te ręce w zewnętrznej pamięci, wędzę w zbiorowej histerii narodu,
wędzę w chichocie kołysek i grobów.

Wędzę te ręce na szkolnej wycieczce, wędzę w kolejce do okna McDrive'a,
wędzę w okresie lęgu i karmienia.

Wędzę te ręce na ostrzach bagnetów, wędzę w spokoju cudownej epoki,
wędzę w imieniu martwej Europy.

A z wszystkich rąk na świecie spływa krew Murzynów.

A z wszystkich rąk na świecie spływa krew i kauczuk.

A wszystkim rękom świata nie nastarczę ognia.

A żadną ręką świata nie ujmę miłości.

Tranströmer

1

Nie ma szwedzkiego stołu, bo nie ma już Szwecji,
nie ma szwedzkiego stołu, bo Szwecji już nie ma,
jest pęknięcie w Europie i jest pieśń o głodzie
śpiewana przez żołądek pod halą IKEI.

2

Jest pęknięcie w Europie i jest pieśń o głodzie
śpiewana przez żołądek pod halą IKEI,
są duchy rozwleczone i wdeptane w ugór,
są wszystkie dni niczyje, jest tłumienie śmiechu.

3

Są duchy rozwleczone i wdeptane w ugór,
są wszystkie dni niczyje, jest tłumienie śmiechu,
są cmentarze historii i szepty w konduktach
pełnących w dół przez lata lepkie od owoców.

4

Są cmentarze historii i szepty w konduktach
pełnących w dół przez lata lepkie od owoców,
jest brudne nocne niebo po epoce pszczół,
brudne niebo epoki kominów i dronów.

5

Jest brudne nocne niebo po epoce pszczół,
brudne niebo epoki kominów i dronów
nad nieobjętą ziemią, w której nie ma miejsca
dla Szwecji, stołu, duchów, owoców i lata.

Ewa Frączek

Urodzona w 1984 r. w Lublinie. Nie reprezentuje żadnego nurtu, ani żadnej szkoły, właściwie niczego – ewentualnie swoje miasto, chwilowo porzucone. Na co dzień pisze głównie materiały edukacyjne. Autorka trzech książek poetyckich, z których dwie – *Reorientacja* (2017) i *Niedoskonałości* (2019) były wydane jako nagrody w ogólnopolskich konkursach poetyckich. Chciałaby napisać książkę historyczną i wrócić do Lublina, gdyż obecnie mieszka w Warszawie.



**prezes sądu drze propozycje uchwał
w kraju w którym masturbacja to przestępstwo**

wyjdziemy na ulicę i zrobimy wrzawę
we troje. on ona i ono, w noc listopadową
w wydarzenia marcowe na wybrzeżu
imienia cegielskiego.

on będzie sam, ona z onem się nie liczy
ale może jednak zobaczy nas europa.

ratuj nas, ratuj europo
europo schillera i ligi narodów
ratuj anglio, która sobie poszłaś
(o wreszcie, powiedział ghandi)
ratuj francjo dreyfusa
i żółtych kamizelek
pomóżcie społeczeństwa
prawdziwie obywatelskie
hodujące tulipany lub dzieci z kambodży
przyszyte metkami do naszych ubrań.

*(pan podwyższy z wosu na piątkę
profesorze bismarck, sami nie damy rady.
już sorka katarzyna mówiła, zapewne też
po niemiecku, że takich palantów
takich palantów, to widziała ostatnio
w hiszpanii, na wakacjach w trzydziestym szóstym)*

po potopie

mam gałki oczne, tęczęwki
żrenice i nagłówki.
na największych zadupiach polski zet
postawili już elektroniczne bilbordy
i uchowaj boże przed uchowaniem siebie
choć przecież tego jedyne pragnę: by oślepnąć.

śluzówka oka oblepiona serduszkami
buźkami, łezkami i kciukami, moje powieki w stanie
zapalnym. edyta przerwała milczenie i niestety mówi
o szczepionkach. edyta przerwała milczenie, bo wciąż
je przerywa jak atropos nic. edyta jak inni
napierdala słowotokiem, milczenie uciekło
do australii, gdzie płonie.

u nas tylko lekarze uczą się mówić
na migi, czytać z ruchu zakrytych na zawsze
warg. ale najnowsze doniesienie jest o tym
że gmo pracuje nad usunięciem ze słownika
słowa *dojrzałość*, terminy matur i odebranie nobla
oldze były tylko przykrywką.

nowemu pokoleniu w największej tajemnicy
podcinają w metrykach napletki.
wykupują im subskrypcję na testy.

zdecydowałam się zostać dłużej, darwinie

księżyc to wielkie oko olbrzyma
z opadającą opaską, powiedział tata
ale szybko zdradziłam kosmicznego pirata
z encyklopedią dla dzieci ilustrowaną tak
że gdybym umiała, wiedziała że można
moja ręka byłaby dawno za majtkami
przy rozdziałach: *księżyc, darwin*
wymarłe gatunki, podwodny świat.

dlatego chyba zostanę dłużej, kochany
kosmate brwi ci zaplotę w tęczowe warkoczyki
łysą głowę ozdobię napisem *hwdp*
i odłożę na później plany: wannę, ostrza
butelki wina, kuszące blistry.

bo oto przyzywa mnie twój świat
bezwzględny jak zło w baśniach
wolny od etyków jak ziemia
od ptaków dodo.

piękno dobro i prawda rosną tam
na czubkach drzew, kołysze się obojętnie topola
wszystko pyli, niezmordowanie i dzielnie
obietuje nieskończone, nieskończone
wielkie niebo, gdzie najmilej widziani
są ci nadzy. bezwstydni i najedzeni.

Juliusz Gabryel

Ur. 1979 w Kluczborku, zm. 2018. Wiersze publikował w „Studium”, „Frazie”, „Odrze”, „Toposie”, „Zeszytach Poetyckich”, „Kresach”, „FA-arcie”, „Kursywie”, „Portrecie”, „Undergruncie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Proarte”, „Kulturze”. Laureat I miejsca w konkursie na "Poetycki Debiut Roku 2002" organizowany przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich we Wrocławiu. Juror II edycji ogólnopolskiego konkursu "Szuflada" 2011. Autor czterech tomików poetyckich. Publikowane utwory pochodzą z debiutu poety *Hemoglobina*.



pożegnanie jak echo. leży na stole operacyjnym,
nie oddycha, ma worek na głowie. słycać głośny
śmiech. tak, wspaniała... oklaski. wizja jest osłonięta,
gra polega na zrywaniu zasłon. julia ścięła włosy,
cieszy się że zwariowała, wyrosły jej czarne skrzydła.
w czajniku skradzionym z klubu szachistów,
w parującej krwi ze szkła i stali, wystrzeleni w niebo,
rozmawiamy o genetyce słów, wysyłamy listy w otchłań.
psujemy radioodbiorniki budując barykady, fioletowe szyje.

na powierzchni przez długi czas bez okna,
nie potrafię udawać, za dobrze mnie znasz

Zamieszkuje kraj
gdzie prawdę wykreślono
ze słownika wyrazów znanych
i każdy kupiony bilet
zaspokaja potrzebę iluzji
a każdy napotkany obywatel
traktuje ją jako podróż

pociągi zapuszczają
korzenie w szklarniach

ja chcę się stąd wydostać

z przerażającej obecności
bo wszedłem w nią
jak ostrze rozcinające
kostkę masła
albo dziecko
które nie odróżnia nieba
od kopuły kościoła

modłę się
w pustym kosmosie

ja chcę się stąd wydostać

noworodek astronauta
zjednoczony jedynie z próżnią
zamknięty wewnątrz
kwiat ma mnie w środku
kombinezonie płatków
niech zakwitnie

grawitacja

nie wybijaj się za wysoko,
będziesz karmiony nienawiścią.
zauważą u ciebie wszystkie objawy
zażywania morfiny, chociaż nie będziesz brać.
nie martw się, wiesz co znaczy prawda.
dla innych to pola ciemności
w momencie przełączania kanału.
zmienił się sposób walki,
teraz liczy się przemoc psychiczna.
kiedy zadzwoni głuchy telefon,
wybierasz pięć losowych numerów
i robisz to samo,
rozprzestrzeniasz epidemię.

nie zamierzam być bohaterski, raczej bardziej ludzki.

lokator mieszkający obok ma około półtora metra.

najczęściej widuję go wieczorem, kiedy wychodzi

na spacer z psem. nosi czapkę z daszkiem

zakrzywionym pod ostrym kątem niczym spadzisty

dach zawieszony na kikucie szyi. ledwo zdołamy

wykrztusić dobry wieczór, a już zwierzę –

przewodnik ciągnie smycz w sobie tylko wiadomym

kierunku. wówczas mój wzrok podąża jego tropem

i razem szukamy brakującej głowy.

Konrad Góra

Urodzony w 1978 r. Za tom *Pokój widzeń* (2011) nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius. Wydał również książki *Requiem dla Saddama Husajna i inne wiersze dla ubogich duchem* (2008), *Siła niższa (full hasiok)* (2012), *Nie* (2016) i *Kalendarz majów* (2019), który przyniósł mu nominację do Nagrody Literackiej Gdynia i Nagrody Literackiej Nike. W 2020 r. ukaze się jego wybór wierszy *Wojna (pieśń lisów)*. Autor wyboru wierszy Anny Świrszczyńskiej *Kona ostatni człowiek*. Mieszka w Ligocie Małej i lasach.



Dlaczego katofaszyści boją się rosyjskich poetów

Bo [ci] opisują rzeczy, jakby niosły ducha,
nie ducha, jakby nosił rzeczy.

Mówi to przez usta

Ja byłem zły Żeby kupowałem
Ja sprzedawałem dobro i zło
Wyczerpało się ze mnie mówi to przez zęby
Wyczerpało z przechodniów mówi
przez usta z kości i zdjęte osteoporozą
Zaciska kości na słowie przerażenie
Nie wierzę mu on się nie boi
zaledwie jest przerażeniem jego
przyjaciel oszalał po stracie
bliźniego on jest bankierem
nie zna pojęcia strata umrze
ostatni ale zapomniany

Haiku dla Jedzenia Zamiast Bomb

Jest studnia o zaślepionej cembrowinie,
na której układamy łupy: jakbyśmy
przyozdabiali katafalk zaślepionemu światu.

Haiku dla Księgarni Hiszpańskiej

Remont i deszcz niedoszłego śniegu:
niepełny śrubunek rusztowania warszawskiego
rozprasza gołębie w żałobie po kocie.

Tak jo

Moi bracia poeci
z lat dziesiątych przed moją erą,
kumple od pierdolenia o szopenie,
typ do rany przyłóż, emocjonalny debil:
"my byliśmy wszystkimi, wy byliście nikimi" –
który mi podskoczy w sposobie odliczania czasu?

Paweł Harlender

Naczelne barachło „Stonera Polskiego”. Publikował tu i tam. Laureat Połowu 2019. Autor filmików na YouTubie. Tworzy, pali kaczidełka, ogarnia temat.



Taś taś do lwa

złote proporcje przybądźcie do mnie
nie zbagatelizuję już żadnego chwasta
otaczając się siwym dymem
organicznego pochodzenia
staliśmy w jakichś kółkach
czekając aż do nas dojdzie
promień który bylibyśmy w stanie
osiadłać średnica która
kładzie na pysk wszystkie tutoriale

widzieliśmy wyraźnie
że to
już tuż

Jak będzie wyglądał świat, kiedy usiądę na promieniu słońca?

mam łeb jak pytajnik
chciałbym jak dwukropek
jak bąbel który panuje nad fakturą rzeczywistości
mam łeb jak pytajnik
chciałbym jak szczaw szczwany
metameryzm w weekend przyśnił ci się kolorowy stary
mam łeb jak pytajnik
chłonę bit przez wazon
to jest właśnie to co nasi przodkowie robili przy ognisku
mam łeb jak pytajnik
spirale galaktyk
weźcie mnie w swoje ramiona

Wodecki wpisany w okrąg

każdy z elementów zachowuje swoją tożsamość
zarazem wtapiając się we wzorzec wspólnej całości
każdy kolejny wyraz jest sumą dwóch poprzednich
ciało mieści się w kwadracie
a ręce i nogi sięgają okręgu
którego środkiem jest

pępek

sky is the limit

a cięciwa to czysta przyjemność
takie kwadraty nazywamy gnomami
takie okręgi nazywamy gnomami

złoty trójkąt

wpisany w złotą elipsę
wpisaną w złoty prostokąt
zobacz jaka ładna twarz po

choć drewno to twardy materiał
a rama zieleje chłodem
krzesło zaprasza żeby na nim usiąść
i chwilę odpocząć

Maciej Kotłowski

Urodzony w 1976 roku w Gdyni. Poeta, malarz. Wydał *Czytankę* w serii audiobiblioteki „Blizy” (2009) i zbiór wierszy *noc kumania* (2011). Autor jednego z komiksów do wierszy zawartych w antologiach *Powrót Barbarzyńców i nie* (2013). Publikował m.in. w „Autografie”, „Poboczach”, „Blizie”, „Arteriach” i „Cegle”. Mieszka w Wejherowie.



Różnica

Jest zdaje się w tym kto, jak walczy o siebie.
Nie miałem pojęcia, a teraz ono jeszcze
bardziej mnie ma
za wroga.

Części do aut amerykańskich

Dlaczego nie części do prozy amerykańskiej.
Tym bardziej, że ostatnio gubi kartki
„Amerykańska sielanka”.

Tak tyka

W najbardziej strategicznym miejscu lasu.
W okopach przykrytych ogniem bukowych liści,
rosną piękne podgrzybki.

Kropelka krwi ozdabia kolczyk w nosie

To się tak nie skończy
jak wiązanka pogrzebowa na murku stacji,
którą ktoś położył, czekając na pociąg i zapomniał.

Szyb

Tutaj nie inwestujcie.
Jedyna ropa jaka stąd płynie to słowa.

Będzie dobrze ludzie tego chcą

Będzie dobrze, ludzie tego chcą.

Arkadiusz Kremza

Ur. 24 września 1975 w Mikołowie, zm. 24 kwietnia 2020 w Oświęcimiu – poeta związany z Mikołowem i grupą poetycką Na Dziko. Za tom *Wiersze z wody i żelaza* otrzymał Nagrodę Otczaka (2013). Zajmował się również teatrem, był autorem scenariuszy teatralnych, prowadził działalność dydaktyczną w Teatrze Małym w Tychach. Publikowane wiersze pochodzą z wydanej w 2020 roku książki *Człowiek O*.



Pies

W chwili, o której niepotrzebny człowiek postanowił, że będzie początkiem, działo się wiele niepotrzebnych rzeczy. To akurat było tak jasne, jak to, że wiedział. Pies, którego podarował mu brat, pił wodę z kibla zamiast z świętej jak potrzeba brata miski. Tresura tej chwili przebierała się za swój wstyd, a pies dalej chrapał z kibla. Brat dawno nie żył. Gdy pies był przy bracie, niepotrzebny człowiek nie myślał. Zapuścił dom, który dało mu miasto na warunkowych warunkach. Z całym spacerowym zapleczem. Z wszystkim, co psie. Z całą świętością. Niepotrzebny człowiek zaczął potrzebnie myśleć. Niepotrzebnie o bracie. Pies zdechł.

Koń

Niepotrzebny człowiek postanowił kupić sobie konia. I kupił. Piękny to był koń. Koń ten tak piękny był, że wszyscy, którzy niepotrzebnego człowieka znali, dziwili się głośniej niż śmiech. Po co mu taki piękny koń? Śmiali się, widać potrzebnie im z jakiegoś powodu, głośno. Głośniej niż najczystsze szczęście. Przecież niepotrzebny człowiek do niczego potrzebnego konia nie mógłby potrzebować. Po co mu koń? Pytanie zataczało swą jaskrawą tandetą coraz szersze łąki a nawet te wybiegi, gdzie tylko ludzie potrzebni potrzebnie się topili. Gdzie brakowało już im pomysłów. Po co mu ten koń? Wtedy niepotrzebny człowiek wsiadł na konia, którego postanowił kupić i którego kupił. Pocwałował. Cwał był potrzebny bo potrzeba stała się modna. Ludzie przestali pytać i wszyscy kupili konie. Niepotrzebny człowiek przebrał się za brak mody. Koń zdechł. Wszystko umilkło. Był niepotrzebny. Czyli potrzebny. Świat cwałował. To trwa.

Taniec

Niepotrzebny człowiek zatrzymał się na banalnym. Pomyślał o wodzie. Wodzie niepotrzebnej. Woda niczym święta, szumiała pięknie jak obrus. Zwykle tak było i niepotrzebny człowiek wiedział o tym. Wiedział o psie, o koniu i nawet o butach. Wiedział o wszystkim. Wiedział nawet o słowie: szukaj. O tym dziwacznym jak cytrynowy pieprz wynalazku. W dniu tej wiedzy, niepotrzebny człowiek postanowił wrzucić wszystko do polki, której nie rozumiał. Zatańczył niepotrzebny człowiek. Tańczył długo jak świat. Świat też tańczył. Niepotrzebny człowiek zaczął próbować różnych tancerzy. Modne stało się tango zdrad, polka za szopą, milonga polska i wychowanie cudzych, posianych obcą miłością dzieci. Niepotrzebny człowiek cwałował jak najlepiej. Najlepiej jak mógł. Gwiazdy zaczęły myśleć o seksie. Świat oszalał.

Kobieta

Niepotrzebny człowiek postanowił być człowiekiem pełnym entuzjazmu. Postanowienie żyło długo w łydkach, kolanach i sercu, sercu niepotrzebnego człowieka. Potrzeba się przeniosła. Przeniosła nie daleko. Bo niepotrzebny człowiek zorientował się, że nie kochał ale zaczynał pragnąć. Wtedy już wiedział, że to będzie jak tlen, jak huśtawka, jak ojciec, jak koń, jak pies i nawet jak prawie wszystko niepotrzebne. Krzyczał przez sen niepotrzebny człowiek w różnych językach. Krzyczał potrzebnie. Wówczas cały potrzebny świat, do którego wróżbę snu wysyłał potrzebnie niepotrzebny człowiek, spał potrzebnie. Świat miał wolne od jego niepotrzebnych, wywoływanych sztucznie prawd, aż do chwili kiedy świat jednak napisał. „Człowieku niepotrzebny, przepraszam, kochaj potrzebnie. Może być kobieta. Może być nawet ta, o której myślisz, że jest potrzebna.” Świat stanął. Niepotrzebny człowiek zaczął sobie przypominać. Taniec był nieskończony, a miłość ledwie zaczynała drgać.

Chodnik

Człowiek szedł, jakby biegł. Koń po jego prawej i wszystkich istniejących stronach pasł się potrzebnie świetnie. Pies, mimo że nie żył, jakby oddychał, kobieta, o której wydawać mu się zaczęło, że kocha, była gdzieś na zapomnianym dnie słoika potrzebnej myśli. Niepotrzebny człowiek szedł chodnikiem. Zaczął wyrzucać z głowy rzeczy złe, o których dopiero wczoraj dowiedział się, że są takie właśnie. Ale szedł. Szedł dzielnie. Chodnik, który tak go rozstroił, był piękny jak dotyk, którego się nie pamięta, a o którym nawet niepotrzebny człowiek wiedział, że był. Pomyślał o matce. Podskoczył.

Patryk Kulpa

Urodzony w 1993 roku w Krakowie. Debiutował w "Rzyradorze". Na co dzień siedzi w obrotowym fotelu, słucha rosyjskiego post-punku i stara się pisać.



(***)

pątnicy na kolanach okrążają budynek
szczęśliwych kilku zostanie jeszcze dziś wpuszczonych
do środka gdzie przebijają im uszy i wręczą identyfikatory
służbowe komputery; modlitwy zostały wysłuchane

Jonasz prosi wieloryba
wpuść mnie
wieloryb wręcza umowę na okres próbny
modlitwy zostały wysłuchane; jonasz cofa autoryzację
księga nie

29.10.2017

coraz mniej ludzi mi wierzy a ja coraz rzadziej chcę się dzielić oglądam tylko czarny wyłączony ekran telewizora lub laptopa ale i tak się boję dryfuje po akwenie własnej niepewności terminów których nie rozumiem grup społecznych którym chciałbym pomóc lub wesprzeć ale nie wiem jak dryfuje i boję się pomarańczą z migającą diodą się boję coraz mniej wiary chęci zrozumienia jakieś przewody musiały zostać źle podłączone zamiast z biegiem czasu oddychać z większą i większą ulgą duszę się i pluję nie wiem co to znaczy być polakiem kogo mam nienawidzić rusków czy niemców nie wiem co to znaczy być z krakowa kogo mam nienawidzić warszawiaków dlaczego w mojej ojczyźnie kochać to tylko umierać

Mania Liegman

Spłodzona w jakimś polskim lumpeksie, obecnie egzystuje w formie czkawki, którą dławi się prowincja. Żywi się makaronem z truskawkami, zajeżdża rowem, ciągle za grubo kroci cebulę. Kolekcjonuje paragony, blistry i krzywo opalone skrawki fizyczności. Lubuje się w kempowej estetyce. Píše maile do siebie, żeby spojrzeć z pożądanym dystansem. W tym roku nie udało jej się jeszcze dostać do Klubu 27. Debiutantka na poletku poetyckim.



morda polska

rozsuwane drzwi witają mnie chłodem
akupunkturą przynoszą ulgę
bowiem plastik dyma nam naturę wielkim celsjuszem
stawiam pierwszy krok w murach
na prawo dziesięć litrów piwa
na lewo agresywna podpałka
napis: podręczny zestaw grylowy
polska morda najprawdziwsza
łypie na mnie ze sztandarem z kiełbasy
i ostatnio tańszej musztardy
polak krzyczy: *chleba, igrzysk i 500 plus!*
ktoś go klepie po plecach, syczy: *jaram sie*
sunę dalej
coraz bliżej granaty, melony, duriany
odpoczywają po wojażach w bydłęcym
gdzieś na samym dole spoczywają
żołnierki wyklęte – wege kiełbaski rozpieszczone soją
ale zaraz!
z kartą biedronki ciepło domowego ogniska w proszku
czar barszczu, rosółu, ogórkowej
biorę wszystkie, przecież mieszkam sama
w lodówce kuszą sery pachnące italią
prosciutto tak przeszywa mnie wzrokiem
już z nim w dialog wchodzę, flirtem negocjuję cenę przez szybę
chucham na zimno, zostawiam czerwoną pieczętkę z nipem
ale z głębin wypęła kurza łapka i pokazuje mi trailer
poland horror story, wkrótce na netflixie
mrożone serca zwierząt wyją
lamentem, trenem, o coś proszą
jebany holocaust istot
naprędce łapię orient express
noodle nawijam na uszy, polewam teriyaki

już gejszą, komunistko-zdrajczynią mnie polak nazywa
jednocześnie o numer telefonu, stópki pyta
uciekam w kakaowce, w ich cieniu się chowam
i pozawerbalnie chwalebę dotykiem
cenię właściwości terapeutyczne
kładę na jezior tę z bakaliarni
kandyzowaną skórkę pomarańczy przyklejam sobie do ósemki
dochodzę w gorzkim powidoku wedla
tłum mnie właśnie wkurwiać poczyna
razi potem i depcze kłapkami kuboty
to w desperacji jakimś cudem ląduję w morzu
na główkę
przepadam
mówię: *o chuj!*
topię się niemiłosiernie
w rumach, małpkach, aperolkach
kark mi sztywnieje, coś mamrocze
upadam po setce
która to już godzina?
gdzie są wszyscy przyjaciele moi?
rozglądam się z poziomu podłogi
a brzuch rzuca klątwę mdłości
przytulam się, zwijam w burrito
wtedy fotoplastikonem wyświetla mi się historia przeglądania
seks kamerki, psychozy maniakalno-depresyjne, wstydy
i jakoś nie umiem już być w tym sklepie
i w tej polsce

wieża babel

blokada została zwolniona dyscyplinarnie
z hukiem wypstrykała się w kosmos
a w królestwie zamieszki, euforia i highway to hell
znaki ostrzegawczo-żółte powalone pyłem pustynnym
skowyczą ze strachem o allenie ginsbergu
członki prężą się na scenach, ociekają egotykiem
są łańcuchy choinkowe, lateks, welur i ruski szampan
to peep show na żetony, jarmark dla głodnych gdzie
ciało wymyka się savoir-wirom
sinusoidą tryska w prowincjonalne oczy
(spuszczę się prowincji na twarz)
odsłania żmije, wężyce, jaszczury i pozwala im
tatuować się jadem, który falą rozplywa się
w żyłach i każe tańczyć, chociaż low battery
myśli zazębiają się, wchodzą na siebie
i pieprzą orgiastycznie, a słowa ich więżą babel
na którą nie umiem się wspiąć
zaciskam nogi wokół siebie i bronię obłędu
przed długopisem mojego psychiatry
kiedy on pstryknie-szajba zniknie
podskórny jad wypłynie moczem
osiedli się w transparentnym kubeczku
który ze wstydem oddam
seksownej pigule

zakaz handlu

wklepywałam krem z szwabskiej drogerii
w moje silne asanami uda
winszując pod nosem śpiewałam z kaliną
o romeo! czy jesteś na dole?
a ten teatr pielęgnacji odbywał się
w niedzielę bez handlu
a mnie skręcało z chęci
rwało się, że kurz brudził bieluśkie ściany
i tak sobie jęczałam do ucha, tak sobie drwiłam z zakazów
bo czy można bez sprzedaży egzystować?
utrzymać na rynku?
pozwalam się przesuwac
to w prawo, to znowu w lewo
jakoś jeszcze trzymam fason
nie łamię się, nie rozmieniam na drobne
choć dział marketingu online zlecił już kampanię
pod patronatem złotej gorączki
włosy rozgrzanym palcem zakręcę
to znowu je wskazującym naprostuję
solaryjnym słońcem błysnę
cekinem przyozdobię
nogi lycrą pomaluję
a i kadrem się pobawię
wygnę fizyczność
zrobię z siebie sztukę
zostawię w wyróżnionej relacji
niech petenci szacują
blikiem, kredytową się zbliżą
choć tak, żeby zamknąć ciepło w słoiku
zawekować na wojny
ale zanim sprzedam się za tanio
rozładuję baterię i obłożę ciało
regulaminem niedzieli bez handlu

Dawid Majer

Urodzony w 1981 roku w Gdyni. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Gdańskim. Poeta, publicysta, performer. Publikował m.in. w „Toposie”, „Kresach”, „Arteriach”, „Tyglu Kultury”, „Fragile”, „Odrze”, „Blizie”, czy „Tygodniku Powszechnym”. Wydał tom poezji *Księga grawitacji* (2009), za który otrzymał nagrodę Złoty Środek Poezji za najlepszy debiut, a także nominację do nagrody Silesius w tej samej kategorii oraz audiobook *Popielniczka* (2010). Tłumaczony na język angielski. Od 2011 współpracuje z Włodzimierzem Kiniorskim (Izrael, Brygada Kryzys, Tie Break) – ich występy łączą muzykę, performance i spoken word (m.in. gdański Teatr w Oknie, Mózg w Bydgoszczy, festiwale literackie i teatralne). Obecnie swoją sztukę performance prezentuje w galeriach (m.in. Spiż7 w Gdańsku czy Studio 18 w Stroud). W latach 2010-2015 mieszkał na przemian w Gdańsku i Kielcach. W 2015 roku wyemigrował do Wielkiej Brytani. Mieszka w Nailsworth.



WIRY

Wpatrując się w witrynę sklepu spożywczego Amrita, nigdy nie masz pewności czy żyjesz. Moja śmierć i ja jesteśmy do siebie podobni – oboje równie niezdarni.

Pocieszam się tym za każdym razem, kiedy wsiadam na pokład samolotu.

Albo z pełnym stanem konta bankowego włóczę się po Londynie nocą

bez celu. Jamajczyk w Camden chce mi sprzedać sól. Mam jednak dziaśła, język, paluszek – więc tak jak ten Jamajczyk, moja śmierć i ja mamy pecha.

Zbliża nas to do siebie. Jesteśmy w bardzo dobrej relacji – dwoje kochanków nieudaczników, idących za rękę przez życie. Skąd pewność, że nie umarłeś?

Krwiak i pęknięta podstawa czaszki po dachowaniu oraz zderzeniu z drzewem, które raz ścięte już nie odrośnie, na czterolatka to za mało – po przebudzeniu rzucał więc w pielęgniarki jabłkami.

Ludzie na ulicach jak mrówki pomiędzy chodnikowymi kaflami w lasach anten i kominów ukryci są w bagnach. Bagna wciągają pionowo jak chorągwie pajęczyn odkurzacz.

Zrozumie to w wieku przedszkolnym, w momencie klepnięcia go po plecach przy spluwaniu w dół z krawędzi dachu kamienicy przy ulicy Żwirki i Wigury w Gdyni.

Pod powiekami już zawsze kołysać mu się będzie zoom albo srebrna szyna, srebrny szept szyny, zapamiętany przez skroń –

o świcie zbawca piwo i siostra piwa wiata dużo bardziej gościnni byli niż ta, przez którą nocą z peronu na tory spadł, zasnął był albo zasnął i spadł z peronu na tory nocą. To lata studenckie, imię przynęty: Klaudia.

Chwilę później niespełna trzydziestoletni, wynurzył się na powierzchnię innego dachu zaczerpnąć powietrza – w cieniu grubych gwiazd patrzył na panoramę wieżowców i gór, ale nie widział ich.

Wróciwszy przez balkon na dziewiąte piętro, wpłynął pomiędzy nagie ciała Justyny i Jacka w swoje nagie ciało, odzyskał czucie ich ciał oraz swojego.

Gdyby wtedy zdjął balast i pozwolił temu wszystkiemu utonąć, ratując swój corpus, nie byłoby mnie tu. Jego wielki wojskowy plecak, cały wypełniony papierami oraz odzieżą błyskawicznie nasiąknął wodą, ciągnąc go na dno Sharpness Canal.

Deszcz nie istnieje – zasztutował już jako wywrócony do góry brzuchem żółw, kołyszący się na własnej skorupie na pokładzie czyjejś barki, akurat w chwili gdy zaczęło padać.

– Były tu już jakieś wypadki śmiertelne? – Tylko amputacje po cięższych poparzeniach, ale trupy to kwestia czasu, przecież przed każdą szychtą częstują nas mlekiem.

Piecyk tak wydrosował, że aż skrajper wygiął się cały. I ta wyporność – niczym skok o tyczce. Wyskrobać odbyt szatana – zwykł żartować pieszczotliwie. Łysa łydka lewa – przypadłość hutników praworęcznych, hutników mańkutów – prawa.

Szyty? Klejony. Bunt się nie cofa, bunt się nie ustatecznia, bunt puchnie jak tęcza rozbitego łuku brwiowego, jak kometa z pyłu otrzepuje się bunt

z biletów, bletek, drobnych oraz paragonów, plastrów i wenflonów, przyssawek elektrod, ma szalik, ma telefon, klucze ma nawet oraz bank card, ale kaszkietu nie ma gdy biegnie,

biegnie przez szpital, przez Tesco, przez dworzec, bo nigdy nie wiesz, czy aby nie jesteś już martwy, swędzi ogolony tors i szczypią kropki po ukłuciacz, ukłuciacz, ukłuciacz.

Tak oto pomiędzy źródłem a ujściem mogę w nieskończoność wcielać się w swoje niedoszte trupy. Pamięć zawsze umiera ostatnia, a ślepcy mają oczy z tyłu głowy.

Przede mną i po mnie cały wachlarz apokalips i pomidory. Skrzynie pomidorów przed sklepem spożywczym Amrita i mój cień w lustrze witryny jego sklepu –

założył przeciwsłoneczne okulary, szkła zamalowując wcześniej na czarno.
Celuje we mnie lotkami, gdy tylko się zatrzymam, jak teraz. Nie widzi mnie.

Nailsworth, 15-20.12. 2018

CAŁY TEN GENDER

Kobieta jest rzeką i nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki.
Mężczyzna jest nieforemnym kamieniem to jest nieoszlifowanym,

ale niekoniecznie rogatym. Nie można dwa razy rzucić kamienia
do rzeki. A pomiędzy tymi biegunami cała rozpiętość teczy –

próba zawrócenia kijem rzeki, puszczanie kaczek. Stawianie tam.
Zabawy z żaglówkami oraz liśćmi. Wszyscy jesteśmy kobietą,

która płynie do ujścia.

Nailsworth, 01. 2020

MAGAZYN

Łukaszowi i Grześkowi

Ja z niejednego pieca chleb jadłem, ale teraz kurwa
nie mam czasu. Rozładowuję kontenery w Quedgeley.

To samotne zagłębianie się w klaustrofobiczną czeluść
blaszanego bębna sprawia, że fakty rzeczywiście mówią
same za siebie, jeśli dać im dojść do głosu we mnie.

Za plecami maleje ekran światła, a ja opróżniam
wnętrze z kartonów, kartonami zapełniam taśmę.

Zapełniam taśmę kartonami, zapełniam taśmę.
Kartony mają kształt kontenera. W kontenerze

kartony, a w kartonach odkurzacze. Odkurzacze
wciągać mają pył i kurze. Niczyje są kurze i pył.

Nie wszystko złoto, co się świeci, rynek podbijają
elektroniczne papierosy, bezzapachowy dym, para.

Brygadzysta Roman poluje na najśłabsze ogniwo
oraz od kogo najbardziej wali porannym cydrem.
Mniej się na bacności, Ślimak.

Gloucester, 28 XII 2015

POMYŚL O TYM PRZEZ CHWILĘ

Tego żółwia skórzastego pamiętam jak dziś – miałem wtedy siedem lat i byłem na spacerze z moim ojcem w oceanarium.

Piękny, skrzydlaty, ważący dobre kilkaset kilogramów, fruwał lekko w szklanej toni wielkiego akwarium, przyglądał nam się tępo i czule.

Dziś wisi ciężko, ukrzyżowany, w gablocie tego samego oceanarium. Wypatroszony i wypchany trocinami gapi się ślepo w niebieski sufit.

Ale moja dziesięcioletnia córka jest zachwycona – wytrzeszcza oczy, otwiera buzię, rozkłada szeroko rączki jak on swoje martwe płetwy,

a ja się uśmiecham. Pomyśl o tym przez chwilę.

Michał Mytnik

Reprezentant Gangu Jakubów. Debiutował w „Stonerze Polskim”. Laureat 14. edycji Połowu Biura Literackiego, turniejów jednego wiersza i wielu innych konkursów poetyckich. Skater. Producent mydeł, muzyki i piw. Autor klipów wideo. W przyszłości inżynier. Pracuje nad debiutanckim tomem wierszy *Hoodshit (mixtape)*. Mieszka w Krakowie.



Yey

śnie o leżakowaniu które przesiedziałem w kącie
czuję się oceanem a ty boisz się zanurzyć kostki
puszczaliśmy kaczkę gdzie kończą się bajki
płuczą się beczki i niesie piana
faza to plama jak pelikan i znaki wodne
klucz to struktura jak błyskawica i zamek
mieliśmy pływy i loty
mieliliśmy muły i dymy
nie przebiłabyś siatki w moich tenisówkach
w skarpecie kryształ pachnie kompotem
z lodem.

Pieśń VII [Jan Kochanowski cover]

Szklarnia pali, a planeta idzie w popiół prawie,
 Świata nie poznasz jak domu,
 Pośrodku rynsztoku upływa,
A spalone zioła już sam deszcz od lasu woła.

Dzieciaki, z transparentami na ustach, a stół w ceratę,
 Gdzie głowy gospodarki
 Od lat dziewiędziesiątych
Broni papier, a popyt to tylko przyjemny popęd.

Szumie mój, jesteś przy mnie jak rzep, jak zawsze
 Trapi umysł mnie
 A zaspane troski
Ciągle cofają się w gardle jak czerwone morza.

kanal nie channel i jestem
wyczerpany jak ocean
połknięte szkło
nie zwracam się do was
cyklony i wiry
mnożę winy i mnożę powody
zapycham nimi usta
poprawiam
ustanawiam pychę.

Sonia Pohl

Wyróżniona w kilku konkursach poetyckich. Pisze po polsku. Nie jest Niemką.



człowiek zezowaty

zespolic narracje a potem szybki *storytelling*

fragment drogi jak tło

w scenach starych filmów

gdzie bohaterowie jadą autem

stojąc w miejscu

zmontować taśmy

posklejać kadry

napisy i tytuł:

video ergo sum

gdy oko zapomni

taśma zacina się

słyszać trzaski i szum

łzy man ray'a

jest sucho

odmierzona kropla spada z pipety

na rzęsy obklejone tuszem

wygoliliśmy wszystkie meszki włosowe

zostało zdziwienie

przespane

są wszystkie noce

do ostatniego okruszka

jest sucho

odmierzona kropla wpada do szklanki

to raptem przeciek

chwilowa nieszczelność solidnej instalacji

Krzysztof Schodowski

Urodzony w 1983 r. Autor książki poetyckiej *Milion depesz stąd* (WBPiCAK, 2020). Laureat Połowu 2017. Nominowany w XXV OKP im. Jacka Bierezina (2019). Publikował m.in. w „Helikopterze”, „Tlenie Literackim”, „Stonerze Polskim”, „Wakacie”, w „biBLiotece Biura Literackiego”, w almanachu *Połów Poetyckie debiuty 2017*, w antologiach *Strefa wolna – wiersze przeciwko homofobii i nienawiści* (2019), *Biji Rojava* (2019), *Wiersze dla opornych* (2020). Mieszka w Warszawie.



na wolnym ogniu

*koniec poezji winien być niegramatyczny na nic rarytasy
w stylu: arcy-sam-wiesz-kto grzeje zwłoki w niewinnym*

*różowym mięsku które nadmienia zarazą; światło mówi:
macie przejebane łatwiej oczarować małych chłopców*

niż wspomnieć że dom jest ślepy

chorowałem na ciało i ten dom się we mnie rozrastał

*gdy saturn pożerał rozebrane dzieci zawieszono nas
gwałtownymi impastami na drewnianej belce z gestu pojednania*

*nie zdążyliśmy wystygnać a już węgiel od środka
żyliśmy w zwiastunach ciszy*

*na obrzeżach obcych łóżek żegnając kobiety podpalone w biegu
aż wzięli nas ojcowie jednego po drugim oprawiali siłą twarze*

*potem przyszedł także po mnie miał wybite nadgarstki paznokcie
zakrojone krwią i oczy wsłuchane w chłopięcą skórę z taką żarliwością*

*jakby chciał wprowadzić w moje płuca pękniętą żarówkę chodź
uszyję w tobie dom dla obłąkanych wejdę gwałtownie po żleby zeber*

będę brał cię każdego dnia grzebał w języku ten szklany świat

szwargot (fragment)

przenarodowa maso perłowa która pracujesz na pierwotnych
instynktach żywno ziemio w swojej nieważkości zacznij oddychać

przenarodowa maso perłowa ustrojona w kije bejsbolowe i t-shirty
z napisem *orgia hetero za pincet* podaruj w wątpia mały kryształek
gnozy niech rozświetli zagmatwany wyłom

przenarodowa maso perłowa gasząca pięściami żony matki i córki
w imię prawdziwego rozlewu wartości po ciałach stałych przestań
boksować bo inaczej prześlepi cię murek

przenarodowa maso perłowa parkująca grzechy w nawach głównych
w ministrantach oraz w przyszłych beatyfikowanych śledziach
odstaw na chwilę trud i trzeźwiej w chuj

przenarodowa maso perłowa błagająca o pojary pod szkolnymi murami
goniąca zuchwale krople absolutu po rozgrzanych ściankach dziewic
które nie wiedzą czym jest *groove* z powyłamamywanymi origami
dojrzewaj do innej prędkości

przenarodowa maso perłowa wydzierająca z nieobecnych matek
wyłuszczonej *landscape* o imieniu dziedzictwo wylogowana tuż po nocy
poślubnej w postromantyczny blok karate nie odzieraj nas już ze złudzeń

jesteśmy na to za mali za chutliwi
za dwoma brzegami kurew
skąd wszędzie daleko

Dietrich Eckart (1868 - 1923)

mój głos przesyple w tobie piach przyjdzie raj
że zabraknie klamek po tamtej stronie (osowiały transfer

ktoś cię zmusi pojąć) kości ruszą w gniazda przez zasieki
i piece wygrzejemy do granic cieszą się aryjskie
mordeczki z mesjaszem na smyczy

(
dam mu teraz w usta
gruby narząd mowy

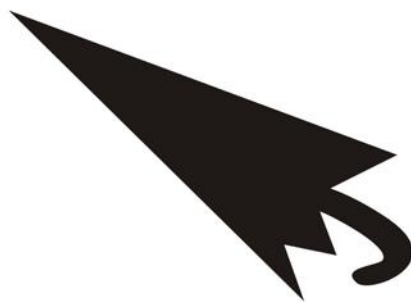
niech się pienią w luftach
poszarpane głowy

melodio *zapierdalaj*
)

już sunie przez oczy twe oczy smutny węgorz holocaust
już się przysposabia w ziemię pełna najebka

Patrycja Sikora

Urodzona w Wieruszowie w 1989 roku. Finalistka projektu Biura Literackiego Połów 2018. Nominowana do Nagrody Głównej XXIV OKP im. J. Bierezina oraz 7. Konkursu Poetyckiego Fundacji „Duży Format”. Autorka tomu poetyckiego *Instrukcja dla ludzi nie stąd* (WBPiCAK 2020). Publikowała m.in. w magazynie „Kontent”, „Dwutygodnik”, „Czas Kultury”, „Helikopter”, „Mały Format”, „Tlen Literacki”, „Fabularie”, „Drobiazgi”, „Strona Czynna”. Mieszka w Poznaniu.



głowy w google

czy dzieci jeszcze krzyczą do pilotów
czy grożą nam kody kreskowe
czy zet to wyraz
czy eksperymenty w sztuce są potrzebne
czy biopsja tarczycy boli
czy vivus sprawdza bik
czy york może jeść chleb
czy psy płaczą
czy będę szczęśliwy quiz

najlepsze atrakcje według tripadvisor

ktoś zapisał dzieci na warsztaty w manufakturze cukierków –
śmieją się z niego duchy włókniarek.
papież nie dotykał spuchniętych łydek kobiet –
klęczały i żegnały
chude córki, którym dzisiaj grają w głowach
syreny z pustych fabryk.

próbujesz zrozumieć, ale ostatecznie wybierasz
różowe tekstylia i techno.

kurs szycia legowisk

victor hugo głaszcze mi kark, kiedy karmię piersią
szczenięta z donieckich dołów. domów
nie przewietrzono jeszcze z planów na obiad.
tłumaczę kobietom pojęcie inflacji w kraju,
w którym białe orły chorują na toksoplazmozę.
szyję ciepłe legowiska i patrzę na młode matki –
uchodzi z nich powietrze, krew nie krzepnie.

blok reklamowy: małgorzata rozenek-majdan otwiera firmę cateringową.
blok militarny: ostry skurcz żołądka to mocny dowód w sprawie o wojnę.

proszę sprawdzić folder *inne*

jestem z kobietą, która boi się ciem –
nauczyłam się w porę gasić światło.
w konstytucji jest o tym, że nas nie ma.
rozkładamy dywanik modlitewny – nie lata, ale
neutralizuje dźwięki cywilizacji zdartych gardeł.

mieszkamy w chmurze, śnimy ultrasonograf:
typ radiologia, położnictwo.
(dlaczego chłopców bawi labioplastyka?)

jeśli się o czymś wspomni, to coś istnieje,
nie powiedziano jeszcze wszystkiego.

odwagi, strefy wolne mają płytki sen.
wybicki *playing softly in the background*

translab

pod lasem widzę groby piesków
ubite drobnymi piąstkami dzieci,
które ścierając krew z ciepłych nosów,
ciasno wiązały krzyż z gałęzi brzoź.
myję ręce prezydentom, zabieram
głos w sprawie odpadków z tratwy –
to nie jest idiotyczna formalność.

fosfeny detonują wypukłe brzuszki:
nie przygotowano mnie do tego.

tańczę z lekarką do symfonii cielejących skór
i płacę, kiedy mówi mi,
że poeta jest kimś więcej od polityka,
gdyż nim nie jest.

dymy nad miastem – absurdalne tradycje.
zadanie domowe – przedstaw dzieciństwo
faszysty na linorycie.

oglądam obrazki z rajem w podrzucanych gazetkach
i wyczuwam *cringe*. myślę ludzi bez domów
z najbliższą rodziną. mam wyrzuty sumienia,
kiedy jem.

migotanie światła –
zawsze to jakaś ufność, że powiedzą innym,
co się z nami stało.

leżę w pozycji embrionalnej. nie dziedziczyć wykluczenia –
to czyńcie na moją pamiątkę.

PROZA

Łukasz Barys

Urodzony w dniu śmierci Bohumila Hrabala, laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich, m.in. Grand Prix konkursu im. Reinera Marii Rilkego, konkursu im. Haliny Poświatowskiej, konkursu im. Georga Trakla; publikował w gdańskim „Autografie”.



Biedne dzieci

W wakacje pojechałam na obóz z biednymi dziećmi. Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej otrzymał dotację z rządowych środków na profilaktykę i zapobieganie alkoholizmowi u młodzieży, więc piliśmy co drugi dzień, natomiast wychowawcy codziennie wieczorem. Okazało się, że nie ma dla nas miejsca, bo ktoś czegoś nie dopilnował – musieliśmy podłączać się pod obóz harcerski i spać w śmierdzących, dziurawych namiotach.

Oszło miła mnie namiastka głuszy. Niedaleko przycupnęło maleńkie miasto, Rogowo, ale i tak mieliśmy mieszkać w lesie. Wysokie sosny sięgały wysoko, czubki poruszały się stosownie do bryzy. Ziemia pachniała, szczególnie nocą albo w gąszczu. Pod stopami miałam ściółkę albo mech, twarde korzenie, ale podłoże zdawało się miękkie. Mogłam zanurzyć w ziemi palec i pogłaskać paznokciem podszewkę. Między liśćmi kryły się ptaki – sroki albo kukułki, natomiast w nocy odzywał się zapomniany przez świat puszczyk. Ponadto zaś całe mnóstwo mew, a na językach osad ze soli i piasku.

Zebraliśmy w lesie drewno i zmontowaliśmy bramę obozową. Harcerze cięli gałązki piłami – patrzyłam im na bosc stopy, zastanawiałam się, czy oberzną razem z gałązkami palce. Umieli manewrować narzędziami i brama stanęła wieczorem. Naostrzyli bale i mówili, że złodziejom zrobią „Azję Tuhajbejowicza”, ale nie wiedziałam, o co im chodzi. Nieliczni spacerowicze obawiali się nas, bo harcerze wciąż ściskali w dłoniach noże, siekiery i piły, a oni zaledwie dmuchane koła, kapoki i materace. Poza tym nie pilnowali nas żadni wychowawcy i ludzie dziwili się, że tak obrabiamy las bez pozwolenia. Wieczorem weszliśmy na zaimprovizowaną wartownię i śpiewaliśmy pieśń naszego obozu, przerobiony na modłę harcerską hymn Widzewa Łódź.

Padało rzadko, prawie w ogóle. Upały ciągnęły się we wszystkie strony niczym stare swetry. Wciąż się pociłam, czułam się otumaniona i ospała. Chciałam spędzać w polowym łóżku całe dnie, ale trzeba było czasem wstawać i chodzić leżeć na plaży. Bałam się wody: była okropnie zimna, słona i brudna. Taka ogromna, a jednocześnie bardzo mała. Dziewczyny patrzyły za chłopcami i zastanawiały się, kto im przejmie ciała? Las za nami trzymał się mocno, korzeniami bronił się przed deweloperem,

który podobno miał prywatyzować na naszym obozowisku hotel ze spa.

Wylądowałam w namiocie z Anetą i Darią. Aneta była sprytna, ładna i wyszczekana. Pochodziła z pabianickiej starówki, to znaczy siedliska wszelkich patologii, strachów, dopalaczy i maczet: mieszkała w kamienicy z tatusiem i macochą, przez ścianę z różnym miejskim menelstwem. Znała aktorkę, która grała w filmie *Cześć, Tereska*, to znaczy tytułową Tereskę z Pabianic: ona miała wyjechać do New Yorku, ale została z mamą, a ostatnio mamę pożarł amstaff i sąsiedzi zdecydowali się zadzwonić dopiero za pół roku po straż miejską. A to wszystko, jak zapewniała Aneta, działo się na sąsiednim podwórku, gdzie kiedyś chodziła palić papierosy. I nawet widziała kiedyś tego amstaffa. Daria była milcząca i cierpiąca. Pochodziła także z kamienicy i także z okolic Tereski i pabianickiej starówki, ale o żadnej aktorce nie słyszała. Niestety nie poszczęściło jej się w plemniku i urodziła się z płaską twarzą oraz nieco rozbieganym wzrokiem. Bardzo wolno kojarzyła, co się wokół właściwie mówi i często się z niej cicho śmiałyśmy z Anetą, że w ogóle nie rozumie niczego z naszych rozmów i wciąż tylko wtrąca: „ale co?“, „dlaczego?“, „aha“.

Nocami żałowałam polewki z Darii. Dlaczego wyżywałam się na słabszych za własną brzydotę? Płakałam sobie po cichutku w poduszkę i dziękowałam mamusi za łaskę abstynencji. Proszę, była oczywiście, jaka była, ale chociaż w ciąży nie piła, po wódce mnie nie spłodziła.

*

Chodziliśmy na plażę całym rozwrzeszczanym, śmierdzącym obozem. Dzieci miały brudne nogi, na rękach i łydkach rozdrapane strupy po komarach, czarne paznokcie i skołtunione włosy. Wrzeszczały głośno i waliły w drzewa piłką albo jakiś znalezionym w lesie patykiem: wychowawcy wołali, że szeregiem, kolumną i w parach!, ale nikt nie słuchał i w końcu się poddawali. Było ich pięciu: Monika, studentka budownictwa na politechnice, ostra, surowa i pozbawiona poczucia humoru, Basia, maturzystka, która lubiła pisanie oraz biologię, bardzo ładna, wiecznie uśmiechnięta i wiecznie sztuczna, Konrad, który trenował siatkówkę, miał umięśnione ciało i wielkie łydki, ale był strasznie niski i uśmiechał się nieco koślawo, Wojtek, student dziennikarstwa, chudy, dziwny chłopak praktycznie bez głosu

i wreszcie Artur, nasz kierownik wypoczynku, trzydziestolatek na wczasach, z brzuszkiem i rzednącymi, żółtymi włoskami na czubku głowy. Wlepiął w grupę wzrok, żeby wychwycić dziewczęta i się na nich zawiesić. Wszyscy wychowawcy byli zrelaksowani, oklapli i trawiący; śmierdzieli wódką.

Udawałyśmy z Anetą, że przyjechałyśmy same i czekamy na propozycje. Słyszemy nieco z boku i się wcale nie odzywałyśmy, ani do wychowawców, ani do innych biednych dzieci. Na plaży rozkładaliśmy kocyk w oddali od grupy, w pobliżu zwykłych turystów, ich rozległych parawanów, ale nie jakichś Januszków, tylko eleganckich i bez dzieci, za to z tatuażami. Aneta klękała i przez głowę ściągała bluzkę: spod materiału wyskakiwały piersi i trzęsły się w staniku. Zdawały mi się ogromne, podobne do arbuzów albo futbolówek. Chciałam pstryknąć w nie palcem i zobaczyć, czy pękną niczym prawdziwe balony.

Trzymałyśmy się na dystans, ale jeśli odchodziłyśmy zbyt daleko, to Artur na nas gwizdał i krzyczał za nami. Słowo rozmazywało w tłumie dziecięcych, nastoletnich i starszawych ciał, wzruszałyśmy ramionami, że nie słyszymy. Artur chodził między dziećmi, ich ręcznikami i kocami, zagadywał o samopoczucie i prosił, żeby założyć czapki. Zgrywał tatusia, ale wszyscy czuli od niego obojętność i wódkę. Mało kto przejmował się jego słowami: niektórzy kiwali głowami, inni udawali, że nie usłyszeli. Zresztą on naprawdę się nie przejmował tymi dziećmi – w końcu zawsze szedł w naszym kierunku, zostawiając małolatów samym sobie, ich małemu hazardowi i walce o żelki, chipsy i gofry.

Podchodził, niby żeby poważnie porozmawiać o naszym oddalaniu się i nienoszeniu czapeczek, ale nie słuchał wyjaśnień, tylko patrzył Anecie w piersi. Kładł się przy nas zupełnie bez pytania, wódka wołała mu z porów i zmarszczek piosenkę. Głośno stękał, tłumaczył się zmęczeniem. Prosił o rozsmarowanie kremu na plecach i podawał buteleczkę wyłącznie Anecie, która wyciskała trochę białego kremu na rączkę i muskała mu piersiami plecy. Potem smarowała, długo i dokładnie, każdą łopatkę i każde żebro. W czasie tych zabiegów Piotr zasypiał niczym ubity świniak, z łapą na udzie Anety i zlepionymi podobną do pajęczej sieci śliną na ustach.

Dzieci biegały po plaży, mocząc nogi. Chciało mi się rzygać, bo w nosie miałam Piotra i jego alkohol, ponadto popcorn i orzeszki w karmelu, które sprzedawali młodzieńcy

brodzący w piasku. Patrzyłam Anecie na piersi. Miała zamknięte oczy i piersi wyglądały jak napompowane słońcem. Żałowałam, że sama wyglądam niczym chłopak.

Nocą Aneta wróciła spod prysznic (za naszym obozem, w gąszczu, stały prysznic w toi-toikach, nigdy nie było tam ciepłej wody, nawet zimna leciała nędznym ciurkiem) i zdjęła bluzę przez głowę. Daria spała nieumyta, ponieważ po wieczornym ognisku dosłownie padła. Ja natomiast myłam się popołudniu. Ot, takie przetasowania. Aneta stała przede mną w ciasnej piżamie i drżała. Usiadła na ramie mojego łóżka i łóżko przechyliło się w stronę ziemi, poszycia, mchu i grzybów. Aneta podwinęła piżamkę i zobaczyłam prawdziwy księżyc tuż przy twarzy.

– Chcesz dotknąć? – spytała i podsunęła mi pierś pod nos. Sutek zdawał się lśnić wdalekim świetle gwiazd, które sączyły się przez matowe okna namiotu.

Nieśmiało go uszczypnęłam. Aneta poruszyła się i pierś delikatnie zafalowała. Wzięłam prawy sutek do ust. Smakował morską solą, więc polizałam lewy. Smakował mydłem. W oddali, między drzewami, słychać było delikatny szum morza. Położyliśmy się, żeby wychowawcy posnęli. Chodzili po placu i krzyczeli, że widzą w naszych dłoniach latarki, komórki i inne rzeczy. Roześmiałam się do Anety. Patrzyła na mnie uważnie. Nie mogłam się doczekać, aż wychowawcy się schowają na picie i będę mogła wstać, wejść do jej śpiwora i wnikać cała w to ciepłe, okrągłe ciało, ale zupełnie przez przypadek zasnęłam. Obudziłam się na gwizdek, cała w białym świtanie. Aneta już wstała, uśmiechała się delikatnie, jakby czuła się zawiedziona moim zmęczeniem. Chciałam ją przeprosić za sen, ale nie pozwoliła mi na słowo, nawet się za nie zabrać.

*

Paliłyśmy papierosy w lesie, nieopodal wychodka, który wykopali chłopcy. Gasiłyśmy o mrowisko. Mrówki rozbiegały się, przestraszone żarem w naszych palcach, ale nasze papierosy miały opcję śledzenia i mrówki musiały spłonąć. Piłyśmy rzadko, kiedy chłopcy zdołali nam coś przynieść ze sklepu, najwyżej kilka małek, bo byli oszczędni, jeśli chodzi o pieniądze i miejsce w spodenkach.

Odkryłam władzę płynącą z ciała. Miałam ciało, więc mogłam palić, pić i wychodzić w nocy na plażę. Nie potrzebowałam pieniędzy, wystarczyło, że chłopcy mieli pieniądze i odwagę.

Leżeliśmy przez całe dnie, więc nosiło nas nocą. Wymykaliśmy się na plażę w ciemnościach. Morze szumiało, zdawało się wielkie i wygłodniałe. Chciało nas podnieść do ust, włożyć i po prostu zgnieść. Siadaliśmy przy drucianej siatce, która odgradzała plażę od wydm i podawaliśmy sobie buteleczki. Wiał mocny wiatr. Było zimno i każdy wyciągał dłonie po lepiającą się piaskiem flaszkę, żeby przyłożyć do ust. Potem czekał z mokrymi wargami, które puchły razem z wiatrem.

Nie baliśmy się niczego. Mieliśmy wychowawców na oku, scenariusze ustalone. Jeśli nas złapią za rękę, to powiemy, że to nie nasza ręka sięgała po wódkę pierwsza, zagrozimy skargą, powiemy o szkle i brzęku – w kuratorium albo na komendzie. To wymyśliła Aneta – była sprytna i miała pewne doświadczenia z kuratorium i komendą. Chłopcy chcieli się z nią dotykać, właściwie wszyscy. A ze mną? Ze mną także, może z braku czegoś lepszego, ale to zawsze coś, zawsze ktoś.

Taki Damian załatwił trawkę od kumpla z Rogowa (miał w całym kraju znajomości, bo namiętnie grał w CS'a) i cały dzień chodziłam podniecona nocą. Nie mogłam wysiedzieć i bałam się, że trawka na mnie źle zadziała: że będę głośno rżała, wejdem wychowawcom do namiotu, zrobię coś zupełnie niestosownego. Musieliśmy pójść na wydmy, bo wiało za mocno, żeby rozpaść lufkę przy morzu. Była taka pękata, wypełniona zielonymi grudkami niczym piecyk. Przysiedliśmy pod drzewem i podawaliśmy sobie błyszczący plastik: rozbłyskał przy zaciąganiu jak dalekie światło po drugiej stronie.

– Światło, do którego nigdy nie dotrzemy – podsumowała Aneta.

– Trzymaj w ustach! Nie wypuszczaj! – syknął Damian, kiedy rozkaszałam się i zmarnowałam mnóstwo dymu.

W świetle księżyca widziałam jego przymrużone oczy i zaciśnięte usta. Ogień rozbłysnął, dym powędrował do płuc. Damian trzymał go chyba przez pół nocy. Drzewa mi się złączyły w jedno, powędrowały do nieba i tam zawisły, potem wróciły i korzeniami wniknęły pod skórę: stworzyły szachownicę, zasznurowały żyły, przebiły płuca. Morze brzmiało falami, fale kołysały do snu czas: wdarły mi się we

włosy, powieki, czoło, pomieszały w uchu i nosie. Morze przyszło, kazało mi się ułożyć w kołyskę i zasnąć. Morze kazało mi wstać, otworzyć usta: wypełniło mi całą linię wzroku jak ściana, o którą się odbija piłkę: prom odbijał się o morze, wsiąknął w głąb i widziałam reflektor pod powierzchnią wody. Aneta się z kimś całowała, mnie trzymano za udo. O, puście mnie, kruki i puszczyki, ponadto zaś mewy, puście mnie, usiłowałam krzyżeć, ale żadne słowo mi się nie pchało na usta, żadne słowo, nie. Ktoś mnie lizał w szyję, ktoś mi czynił na skórze malinkę, słyszałam na łydce całus, ale go nie czułam. Tylko ten dźwięk: okropny, obleśny, zupełnie pusty.

Wracaliśmy w namioty o świcie. Głowę miałam wielką i kruchą, normalnie wazę pełną gorącego rosołu. O dziwo nie byłam zmęczona, tylko mnie zęby i plecy okropnie rozbolały. Może wyspałam na ściółce? Damian podobał mi się, ponieważ był silny i przystojny. Miał mocną szczękę. Damianowi bardziej podobała się Aneta, Anecie podobał się Artur. Z kolei ja się Artura bałam, bo zwał się na nasz ręcznik bez słowa i wyobrażałam sobie, że będę się wycierała jego potem śmierdzącym od wódki. Na szczęście nie zwracał na mnie uwagi. Koło się zamykało i nikt prawie nie był zadowolony. Tyle tylko, że Aneta z wychowawcą codziennie leżeli bliżej siebie i wkrótce starczał im zaledwie jeden ręcznik.

Miał cielsko i cycki większe ode mnie. Wciąż przychodził, więc zabierałam się i szłam popływać albo grać w piłkę. Biegałam oszołomiona i cały czas zerkałam za siebie, czy Artur nie posuwa się do posuwania. Wieczorami Aneta miała do mnie o to pretensje.

– Nie bądź dzieckiem – mówiła.

Po prostu nie mogłam go znieść. I chciało mi się normalnie wymiotować, kiedy podchodził na metr od nas. Aneta poprosiła go w końcu, żeby znalazł też chłopaka dla mnie, ale wzruszył ramionami. Przychodził do nas przecież *incognito*, i chociaż wszyscy widzieli, to nie mogli mówić głośno.

Powiedział Anecie, że sprawdził jej dane w segregatorze. Miał nieograniczony dostęp do segregatora, ponieważ był kierownikiem. Segregator skrywał nasze sekrety: imiona, nazwiska, to, czy można z nami uprawiać seks, czy jadamy mięso albo gluten, czy chorujemy na anoreksję albo wrodzoną depresję.

– I co tam wyczytałeś?

– Masz piętnaście lat. Prawie szesnaście. Wiesz?

– Jakoś się domyśliłam.

– Właśnie. Niewątpliwie. Co?

– Tak.

Patrzyłam na nich, chodząc w kółko po rozgrzanym piasku, prawie apokaliptycznym. Nie wiedziałam, co robić. Woda była zimna i brudna. Jakoś mnie nie zachwycało to całe morze. Było za wielkie, za naturalne. Pomyślałam sobie, że martwe, chociaż Bałtyk i zaśmiałam się z własnego dowcipu.

Bez Anety u boku czułam się przeciętna i uświadamiałam sobie chłopięcość ciała, którą widzieli wszyscy. I chociaż nie musiałam tu przed nikim klękać, chociaż miałam wokół siebie same biedne dzieci, to i tak się czułam samotna i bardzo gorsza. Brzydkie dziewczęta, które znały się z MOPS-u, nie chciały mnie, bo się bujałam z Anetą na nocne spacerki, a one też przecież chciały się z chłopcami troszkę napić. Trzymały się razem, a za mało czasu do końca obozu zostało, żeby cokolwiek próbować zmienić. Zresztą nie dbałam o relacje z takimi kretynkami. Lachociągami, ale wyłącznie potencjalnymi, bo na realne wyzwisko trzeba się troszkę napracować, a nie tylko siedzieć i plotkować o kimś na ręczniku albo w morzu, bo tam szumi i nie słychać. Usłyszałam, że mówią o mnie za plecami „dziwka” i chociaż wzruszyłam ramionami, to zachciało mi się ze smutku spróbować piasku.

*

Przesiadłam się w okolice Darii. Pochrząkiwała i bełkotała coś pod nosem. Trzymała się za kolana i patrzyła morzu w twarz. Zawięzała sobie na głowie chustkę i wyglądała zupełnie niczym wiejskie babsko. Nikt z nią nie rozmawiał, więc zdziwiła się, kiedy klapnęłam tuż obok. Usiłowałam patrzeć na morze, wziąć od morza spokój. Kącikiem oka widziałam Anetę: drapała Artura paznokciami po białych od kremu plecach.

Morze falowało, igrało z ludźmi, ludzie z nim. Białe punkciki wchodziły w głębie, topiły się i wyłaniały. Dzieci instynktownie ciągnęły w ciemność. Nie mogłam znieść

materaców i ciał, wszystkich drzeń, ruchów. Daria wytykała palcem grube dziewczyny w skąpych majteczkach. Chciała coś powiedzieć, ale nie umiała i zaledwie głucho ryczenie dobywało się zza zasłony jej warg. Nie zawsze zdążyłam chwycić ją w łokciu i zmusić do położenia ręki na piasku, czasem zdarzało się, że grube dziewczyny podchodziły, żeby sobie na nas powrzeszczyć:

– Popierdoliło was? – pytały całe w nerwach.

– Ją tak. Matce w brzuchu – odpowiadałam.

– Patologia! Patologia ze wsi przyjechała.

– Zastanówcie się, co mówicie, dobra? Jej będzie przykro i widelcem zrobi sobie w oku dziurę. A nazywa się Daria i naprawdę nie miała łatwego życia!

Grube dziewczyny śmiały się, ale trochę rozumiały powagę sytuacji i bez słowa odchodziły. Daria nie rozumiała, że to wyłącznie na żarty powiedziałam, żeby się bronić przed wczasowiczkami, które spoiły się piwem żurawinowym Redd's. Czasem drapała mnie w ręce ze złości, że mówię na jej mamusię, co umarła i się udusiła, bo nie mogła oddychać mimo wszystkich rurek. Na szczęście dość prędko zapomniała, wszystko wracało do nędznej normy. Artur oderwał się od Anety, bo zachodziło słońce. Wziął i zagwizdał na zbiórkę. Wróciliśmy do obozu.

*

Aneta wymknęła w nocy, ale sama. Leżałam obok Darii, która wyciągnęła wiotką niczym nać pietruszki dłoń i zacisnęła na ramie mojego łóżka. Trzymałam Darię za paluszki, prawie serdelki, żeby się nie posikała ze strachu i żalu. Pomyślałam, że kocham Darię i muszę się nią opiekować w tym strasznym, leśnym świecie, w którym jedyną bronią jest ciało. Daria miała oczywiście ciało, ale czy mogła zrobić z niego użytek? Wyobraziłam to sobie: przed oczami stawała mi wyłącznie przemoc, właściwie gwałt. Współczułam Darii, ale nie umiałam w inny sposób pomyśleć o jej perspektywach na miłość. Zasnęłyśmy splecione jak korzonki. Nad ranem wróciła Aneta. Miała czerwone kolana, we włosach ściótkę, osypywał się z niej piasek.

– Gdzie spałaś? – spytałam.

– A kto powiedział ci, że w ogóle?

Anecie zamykały się ze zmęczenia oczy. Znowu gwizdano, poszliśmy na śniadanie i potem na plażę. Jakoś się doczołgała, ale od razu zasnęła, tuż obok Artura, który również padł. Leżeli rozłożeni na cienkim ręczniku. Słońce nagrzewało im skóry, skwierczeli niczym kurczaki z różną, bo nie mieli sił, żeby się nasmarować. Aneta wyglądała jak lizak. Miała maleńkie ciało i olbrzymią głowę, spływała słodką, klejącą się wydzieliną. Wychowawca przypominał ziemniaka z wypustką: olbrzymie ciało, lecz główka maleńka.

Zrozumiałam, że kocham Damiana. On rzucił marzenia o Anecie, która prowadziła się z Arturem dniami i nocami, olewała plotki i spała po dwie godziny, żeby korzystać z życia. Dowiedziałam się od dziewcząt, bo mnie zdążyły jednak polubić, odkąd nie rozmawiałam z Anetą na plaży, że ona jest niedokochana, bo ma ojca prawdziwego zwyrodnialca, który przesiedział kilka lat i dopiero niedawno wrócił na łono starówki.

Damian zdawał mi się słodki, chociaż pokrętny. Powiedział, że trzeba korzystać z życia, nie słuchać innych. Zgadzałam się, ale nie w pełni. Damian był nawet przystojny – bardzo chudy i nieco pryszczaty, miał rzadkie włosy i krzywą postawę, ale za to umiał znaleźć słowo, którego potrzebowałam w umyśle. Nocą, na spacerze, opowiedział mi o siostrze, która chce wysadzić od pięciu lat kamienicę. Wyjeżdża do zakładu psychiatrycznego, ale kładzie lachę lekarzowi na odwyk, wraca i może tydzień, dwa trwa ten spokój. Bo potem na nowo odkręca gaz, siada na parapecie i w obdartym podkoszulku, cycki prawie pokazując, wrzeszczy światu w czułe punkty, że dziwki, wypierdalamy w kosmos!

– Potem oczywiście straż pożarna, ambulans i suka się kręci przy krawężniku. Matka nie zwraca uwagi, ale w środku płacze. Bo taka córka, w końcu córka. Kocha ją. I naprawdę, sąsiedzi chcą nas wyrzucić, piszą na posterunek. Jakby mnie nie było, to co z matką by było? Razem z siostrą wypierdoliłaby w kosmos.

– A ojciec? – spytałam.

– A twój?

– Tak samo.

– No.

– A mama?

Opowiedziałam mu o ciągłych tatuśkach, nowych miłościach i wstydzie, kiedy trzeba do łazienki pójść, a tam nowy obcy tatusiek siedzi, drapie się po majtach, pali skręconego śmierdziucha i mówi: „dzień dobry, nazywam się Antek” albo: „o kurwa, ty masz dzieci?” albo milczy i gapi się na ciebie, jak gdyby chciał nie wiadomo czego. Nogi, ręki. Zobaczyć albo wleźć. I wtedy nie wiadomo, co robić. Uciekać albo sikać przez okno? Udawać, że to nic? Ciągłe udawać, a może po prostu rzucić nożem, prosto, powiedzmy w szyję albo chociaż czoło, na pamiątkę?

Zupełnie się rozkleiłam od opowiadania. Damian podawał mi papierosy, żebym miała siłę mówić. Kiedy skończyłam, patrzyliśmy na fale i szukaliśmy w piasku dziur. Od płaczu i papierosów strasznie rozboleł mnie żołądek.

– To wszystko? – spytał.

– Tak.

– Mało.

Całowaliśmy się, ale niechętnie. Próbował dotknąć mi cyzków, więc się obróciłam na dłoń. Masował mnie, pocierając wypustki, ciągnąc i szczypiąc. Wsunął mi palce na brzuch, ale nie mógł się przedrzeć, ponieważ łokciem odcięłam drózkę, więc chwycił za spodnie, rozporek i guziczek, wtedy wstałam mu sprzed oczu. Bałam się robaków i dziecka, co wychodzi na to samo, poza tym bólu, bo nie miałam w ogóle tłuszczu i zmltretował mi pączki.

– To wcale nie mało. Wcale.

*

Chłopcy śmiali się ze mnie, że zakonna i siostra. Aneta powiedziała mi w prysznicach, że powinnam mu dać. Rzuciła we mnie szyszką i zachnęła się:

– Powinnaś mu dać!

– Nie chciałam. Był szorstki.

– I co?

– Nic.

Rzuciła mi szyszką w oko, lecz trafiła w splot. Spod prysznicza wyszła Daria i świeciła naokoło białą skórą. Wzięłam i pomogłam jej się wytrzeć, żeby dłońmi piersi wyczuć. Miała duże, mleczne. Po co Darii takie krowie piersi? To niesprawiedliwe, skoro nawet nie podsunie nikomu pod nos, tylko będzie nosić w poliestrze, spocone, tłuste, niczyje.

Obóz się powoli kończył. Wróciliśmy spod pryszniców i nie chciało nam się nawet rozmawiać. Utopiłam się w śpiworze. Miałam dość ściółki, morza, pni drzew, przyrody i w ogóle lasu. W lesie rządzi ciało, w lesie trzeba się nakombinować. W mieście rządzi ciało, ale nie aż tak. Tam są również pieniądze i ten „kapitalizm”. Miałam Damianowi dać? Naprawdę? Przecież nie chciałam. Następnego dnia się nawet do mnie nie odezwał i tak już zostało.

Jeszcze w ostatnią noc ognisko mieliśmy, piosenki, kiełbaski i tłuszcz. Wróciliśmy śmierdzące dymem, pełne popiołu w ustach. Aneta powiedziała wprost, że idzie na pożegnalne robótki. Wróciła o świcie, w zimnie i płakała.

– Co się stało – spytałam.

– Nie chcę wracać. Tu było cudownie. Nie chcę.

– Bo w domu?

– Zabiję się. Utopię się. Nie chcę życia w ten sposób.

Jednak autobus po nas zajechał i wracaliśmy. Artur ubrał się porządnie, ale nie zatrzymywał się przy naszym siedzeniu, mimo że Aneta za nim patrzyła. Miał na sobie koszulę, spodnie i żel, ponadto dość ospałą minę. Jakby nie wiedział, co się wokół niego za bardzo dzieje. Jakby poza tym lasem tracił osobowość i pewność siebie wychowawcy, i stawał się z powrotem zwykłym trzydziestolatkiem, niewielkim chłopcem z alkoholową skórą, białym kremem na plecach i dziewczynką u boku.

Aneta płakała, potem znowu płakała i znowu. Wodziła wzrokiem za Arturem, ale on

zupełnie się zmienił: odchodził na przystankach w ciemność, szukać i palić za sobą samym, ale nie mosty, tylko papierosy. Aneta chodziła za nim jak małe widmo, a potem w ogóle przestała wstawać z fotela. Po prostu się trzęsła.

– Chcę być w ciąży i umrzeć – powiedziała mi na przystanku pośrodku nicości.

O świcie wylądowaliśmy na olbrzymim parkingu centrum handlowego. Wiele centrów nie było w naszych Pabianicach, właściwie jedno. Ludzie jeszcze spali w domach, słońce różowiło dachy i zdawaliśmy się żywi zaledwie w połowie. Wszystko było unieważnione i obce. Morze zniknęło z naszych głów, zostało zaledwie na pocztówkach: okazało się fikcją.

Poszłam za Arturem, kiedy rodzice odbierali biedne dzieci. Mnie nikt nie odbierał, więc miałam czas. Kierownik wrzucił plecak do seicento, bo odbierała go jakaś żona, narzeczona albo dziewczyna. Grunt, że stara, zwykła i przeredzona niczym on sam. Miała rude włosy, kolczyk w wardze. On ją w ten kolczyk pocałował. Pokazałam mu środkowy palec i kobieta wychyliła się, żeby na mnie nawrzeszczyć, ale nie zawołałam „dziwkarz”, bo mi słowo stanęło kołkiem w gardle.

Anetę odebrał tatuś. Nie mogłam ukryć zainteresowania, ale się dosyć zawiodłam: nie ociekał na zewnątrz potworem. Miał czarną kurtkę, metalem obute, pokryte pyłem buty. Chodził lekko rozkołysany, kędzierzawy i mięciutki. Zdawał się człowiekiem dobrym, ale pobrzmiwał złym. Patrzył ludziom spode łba w twarze. Twarze odpowiadały lekkim zaniepokojeniem, ale układały się posłusznie, żeby nie robić problemów. Tatuś złapał Anetę za łokieć i pociągnął: wyrwała mu się i uciekła, ale zaledwie po plecaku, który kierowca właśnie wyrzucał z luku.

Aneta zacisnęła usta. Uświadomiła sobie, że to wszystko zaledwie sen, że wraca w rodzinną kamienicę na starówkę, chociaż woli namiot. Cement rozgrzał się zapowiedzią upału. Tu w mieście zawsze skwierczy gorącem, bo nie ma wiatru i morza. Aneta powiedziała tatusiowi, że zaraz przyjdzie: tylko się pożegna. On się wściekł i patrzył spode łba na autobusy, centrum handlowe i słońce. To samo słońce różowiło morze, ale daleko, w innym wspomnieniu.

Aneta zaciągnęła mnie za autobus i pożegnałyśmy się pocałunkiem, żeby zrównoważyć pocałunek wychowawcy i pani w seicento. Język Anety zaciążył na moim, ktoś zawołał imię, ktoś ukłuł mnie w serce niczym kolczyk.

Wracalam innym autobusem, bo miejskim. Czekalam w drzeniu i brudzie na pierwszy kurs. Wolałam właściwie w ten sposób.

*

Obóz żył we mnie bólem języka. Język bolał mnie, bo zaciążył na nim Anety. Bolał także od wszystkich słów, których się zdążyłam wypowiedzieć na głos.

Ale nie Aneta zaciążyła pierwsza. Darii dziecko zrobił sąsiad. Potem drugie, trzecie, każde takie samo.

Anetę spotkałam w supermarkecie i odwróciłam głowę.

Mateusz Chról

Urodził się we Wschodniej Polsce; pisze eseje, teksty krytyczne, recenzje filmowe, opowiadania i wiersze. Publikował pod pseudonimem i własnym nazwiskiem m.in. we „Fragile”, „artPapierze”, „Nowej orgii myśli”, „Stonerze Polskim”, „Akcencie”, na stronie Wydawnictwa J, „Helikopterze” i „Gazecie, która musi się ukazać”.



Pornortografia

wślizgniesz się na stadion. będziesz grzecznie pełznął, jak soczysty tasiemiec w jelitach. mówisz, że tasiemce nie są soczyste. zawsze miałeś wrażenie, że jesteś dla ludzi zbyt łagodny. że powinieneś ostrzej, mocniej, bardziej stanowczo. jesteś miękki, miękki, mizerny i jeszcze wiele epitetów na „m” którymi można by cię naznaczyć. będziesz krzyczał. nie wiesz dlaczego. czy to bunt, gniew, radość czy ekstaza. jesteś w kropce, stałeś się pomponem na nosie klauna.

dzwoni twoja małżonka. chwytając w dłoń telefon, przybliżasz go do ucha z właściwą sobie elegancją. przestań być bufonem. przestań być snobem. przestań udawać. przestań być tym kim jesteś. przestań być tym kim nie jesteś. przestań być. miałeś iść do teatru z małżonką. nie dotrzesz do teatru z małżonką. niespodziewanie stałeś się ofiarą ludzi, których odkąd pamiętasz, miałeś w głębokiej pogardzie. zostaniesz związany.

wpakują cię do bagażnika. wywiozą do lasu. potem będziesz pisać o wszechogarniającym braku. deficycie. zdajesz sobie sprawę, że sytuacja ograniczenia autonomii nie jest dla ciebie nowa. zawsze się tak czujesz, czułeś i będziesz czuł. byłeś więźniem. jedyne czego nie miałeś, to pojęcia o rozmiarach swojego więzienia. byłeś więźniem gier. językowych, gramatycznych, ortograficznych.

przestań się starać być lepszy. po prostu odpuść. to nie są zawody. nikt na ciebie nie patrzy. nikt nie ocenia. boga nie ma. a nawet gdyby był, nie obchodziłbyś go. dzisiaj jest karą za twoją wrodzoną nijakość. proszę, nie zastanawiaj się. zluzuj zawory, spuść z tonu. pozwól płynąć wydarzeniom. wyluzuj rowa. wyjmij kija z dupy. jesteś twórcą kultury. jesteś niszczycielem kultury. byłeś dumny jak paw, gdy słyszałeś, jak twoja córka nazywa cię swoim mistrzem.

twoja córka była anorektyczką. wolałeś tego nie widzieć. lubiłeś kości. lubiłeś kościście panienki i dlatego nie przeszkadzało ci mniej forsy na jedzenie. budżet domowy i tak jest cienki. najlepiej dogadujesz się z psem. nigdy nie szło ci z ludźmi. kiedy patrzy ci w oczy, gdy sra na spacerze z tobą, to jest najbardziej intymne doświadczenie w twoim życiu. nie wiesz czy to dobrze czy źle. nigdy nie patrzyłeś w oczy nikomu. nawet żonie podczas seksu.

pytasz lekarza czy dobrze jest czyścić uszy patyczkami. jak głęboko można wpychać. jak radzić sobie z tą jebaną woskowiną, która zatyka ci przewód słuchowy, przeważnie po myciu włosów. twój problem jest subtelny, ale to nie znaczy, że należy go bagatelizować. to właśnie próbujesz mu wyperswadować. powinien cię pochwalić, że dbasz o siebie, o swoje uszy. ale on mówi od niechcienia, daje bezużyteczne porady, za które inkasuje gruby hajs.

nie złość się na mnie, że nie zawsze jestem rozmowny. nie będę ukrywał, że starałem się, żeby nasza relacja wyglądała po ludzku. przynajmniej dla zewnętrznego obserwatora. dobrze wiesz, że wysyłałem ci sygnały, że coś nie gra. ignorowałeś je. nie mam ci tego za złe. jesteśmy tylko ludźmi. nasze śledziona wytwarzają limfocyty, trzustki insulinę, a nerki filtrują krew. ludzie nas cenią za naszą wyrozumiałość. nigdy nie naśmiewaliśmy się z nikogo, że nosi skarpety do sandałów.

nie, nie mam poczęstować cię papierosem. sam nie mam. rzuciłem palenie. ty też powinienes. to bardzo głupi nałóg. zaczynamy palić gdy jesteśmy młodzi. potem zdychamy na raka płuc. nikotyna daje lichą przyjemność. wiem, że cię boli. ale nie oszukujmy się, że świat nie jest jedną wielką raną. weź głęboki oddech. wypuść powietrze. czekaj.

O czym fantazjują teologiczne małpy

(tekst z przygotowywanego zbioru opowiadań pt. *Eksmisja klauna*)

[LEKCJA 1]

O czym fantazjują? Oczywiście, że o wszystkim. Każda małpa, w ciągu swojego życia, ucieleśnia w przestrzeni wewnątrzczaszkowej miliard wariantów istnienia niewidzialnego. Przykładowo Pipi szympansica karłowata (czyli tak zwane bonobo), myśli teraz o szturmie mrówkojadów na potężne gniazdo termitów. Ludzie nie przepadają za termitami, ponieważ niszczą im plony. Bonobo solidaryzując się ze swoimi krewnymi z rządu naczelnych, masowo wyobrażają sobie ataki mrówkojadów na stolicę termitów. Kiedy zajrzy się do umysłu Pipi, można się tam natknąć na bardzo agresywne pułki mrówkojadów wojennych, które niszczą termitiery z zapalczą nawiścią.

[LEKCJA 2]

Spójrzmy teraz na Lulu. Lulu to duk wspaniały, zwany także langurem książęcym, z rodziny koczkodanowatych. Jego środowisko naturalne to lasy deszczowe zlokalizowane w Wietnamie i Kambodży. Ale Lulu nie przebywa teraz w Wietnamie, ponieważ wyleciał do Belgii na studia. Piękny Lulu myśli o przefarbowaniu sobie włosów na kolor różowo-żółty. W jego umyśle dochodzi do spotkania z fryzjerem, który starannie namaszcza jego głowę odpowiednimi specyfikami, ażeby uzyskać pożądaną barwę. Zaraz po wizycie u fryzjera Lulu musi zdążyć na wykład z teologii dogmatycznej. Lulu jest studentem trzeciego roku teologii na Uniwersytecie Katolickim w Leuven. Lecz Lulu nie myśli teraz o nauce, ale o tym czy profesor od teologii dogmatycznej zauważy i pochwali jego nowy fryz. Tuż pod budynkiem uniwersytetu, Lulu napotyka swojego znajomego Milo, który jest pawianem. Milo popala sobie papieroska za papieroskiem na akademickim dziedzińcu, do czego Lulu odnosi się z pogardą w swoich nieposkromionych fantazjach. Duk wspaniały uważa bowiem, że palenie papierosów nie przystoi teologicznej małpie. Gdyby Milo studiował coś in-

nego, na przykład sztuki wyzwolone, albo chociaż filozofię, jego zachowanie byłoby dopuszczalne. Dla Lulu ciało jest świątynią i nie powinno się wpuszczać tam żadnego trującego syfu. Poza tym w podświadomości Lulu drzemią dawne uprzedzenia, które wyniósł z domu rodzinnego. Od pokoleń między dukami wspaniałymi a pawianami ścierają się różne obrzydliwe niesnaski na tle klasowym. Duki wspaniałe, jak powszechnie wiadomo, to arystokracja w małpim uniwersum, no a pawiany, z tymi swoimi czerwonymi tyłkami to przecież dno dna – po prostu parias! Jednakże Lulu nie akceptuje w swojej świadomości tego, że mógłby dopuszczać się jakiejś formy stereotypizacji, nie daj boże nietolerancji czy dyskryminacji. To byłoby niezgodne z jego etosem małpy świątłej, małpy uczonej i małpy otwartej na różnorodność. A przede wszystkim byłoby sprzeczne z chrześcijańskim przykazaniem, aby miłować wszystkich bez wyjątku (!). Mimo wszystko Lulu dopuszcza się tego małpiego odpowiednika ksenofobii, ale poprzez mechanizm wyparcia, nie zdaje sobie z tego sprawy.

[LEKCJA 3]

A co się wyrabia w głowie Marvinina, starego orangutana ze skłonnościami do uzależnień? Marvin był nie byle kim – to emerytowany profesor teologii na Uniwersytecie Notre Dame. Swego czasu ten orangutan prowadził nawet katedrę teologii moralnej, której poświęcił swoje życie. Kiedyś, kiedy jego futro było jeszcze imponująco rude (teraz już spłowiało) wygłaszał płomienne perory na temat etyki chrześcijańskiej, przyciągając na salę wykładową setki młodych małp teologicznych. Słuchały go małpy szerokonose, wąskonose, małpy człekokształtne i zwierzokształtne, małpy wyznań wszelakich! Los Marvinina okazał się jednak zawrotny i nad wyraz osobliwy. Marvin po zakończeniu profesury i oddaniu swojej katedry młodszemu następcy – kapucynce Serafini da Bascio, doświadczył elektryzującego poczucia pustki i bezcelowości. Ponadto uznał wszystkie dotychczas napisane, opasłe tomiszczą, jakie poświęcił dociekaniom teologicznym za bezwartościowy chłam. Przez całe życie Marvin nie spotykał się z kobietami (pomimo tego, że nie był kapłanem) i można powiedzieć, że oprócz małych wybryków autoerotycznych, żył w zupełnym celibacie. Do czasu – w końcu swoją wewnętrzną próżnię Marvin zaczął wypełniać pornografią i korzystaniem z usług prostytutek. Ponadto popadł w nałóg alkoholowy, któ-

ry jest najcięższym z nałogów, co mówię z pełną odpowiedzialnością. Choć Marvin chyba nie podziela mojego zdania, bo leżąc pijany na kanapie zwykł do siebie mówić: *Bogu dzięki, że to nie heroina*. Orangutan mimo wszystko czuje silną potrzebę nawrócenia; dlatego też wybiera się na nadchodzące rekolekcje ignacjańskie, na których ma nadzieję przeżyć głęboką moralną i duchową odnowę.

Maciej Dajnowski

Pracuje na gdańskiej polonistyce. Autor zbiorów opowiadań *Opowieści garmazeryjne* (Kraków 1999) i *Promieniowanie reliktowe* (Kraków 2004) oraz kilku drobiazgów rozproszonych („FA-art”, „Studium”, „Nowy Wiek”, „Kursywa”, „Red”, „Dekada Literacka”, „Odra”, antologie *Tekstylii; PL +50; Gombrowicz, Schulz, Witkacy: Die „Großen Drei“ und ihre Kinder. Beispiele moderner polnischer Prosa*) lub zgoła niepublikowanych. Zdaje się, że swego czasu coś tam tłumaczono na chorwacki i niemiecki. Okazjonalnie występuje w Internecie jako byt mnogi posiłkujący się pseudonimami „Stryy Wincenty”, „Ciotka Eufrozyna” lub „Redakcy-a”, przypisując ww. autorstwo antypaństwowego bloga „Między cholerą a melancholią”.



Tygiel. Jedenastozgłoskowiec alchemiczny

o wywarach historii

Najpiękniejszy krąg taneczny tworzy tuzin postaci ucieleśniających miesiące. W kosmosie z bazaltowych złomów, stąpając po mozaice Zodiaku, skacząc z grzbietu na grzbiet kolejnych monstrów – to Byk, to Skorpion, to dzbany Wodnika – splecione dłońmi, w szatach z wiatru i zapachu cząbrów, błękitne i złote i białe, wirują razem z ruchem nieboskłonu. Zwarte palcami w pierścień siedmiu planet, siedmiu dni tygodnia, czterech kwadr księżyca, przebiegają komnaty kalendarza: ponad trzysta celmniszych, naw śpiewnych, dusznych buduarów. I megarony, i normandzkie aule, cubicula, tolosy i gimnazjony, świetlice, salony, komory, alkowy i strychy, poczekalnie i piwnice, sale posiedzeń i gabinety freudystów – różaniec dni.

W tym karnawałowym wirowaniu zdają się czasem jedną osobą, co przezierzga się w coraz nowe szaty z każdym krokiem – to w postny habit, to w łuskę syreny, w pstrokate gacie – szatki arlekina, biskupi fiolet, cesarską purpurę, w bikini, w topless, w trykoty cyrkowca, w kostium rozpusty, w obżarstwo i w ruję. Figury tańca: walka postu z tłuszczem, słone zapasy śledzika i kaca, poranny grymas Polaka przy kawie – dzień dobry Polsko, trwaj matko wyrodna; suchoty wieszczka, Wielka Emigracja, i druga, trzecia, i ta do Irlandii. Takież płas śmierci – pełzają opaci i generały w zapasach z kostuchą. Tuż aktor-pajac, co raz był Hamletem, za młodu udział brał w proteście przeciw wojskowej juncie, potem ciut spokorniał i margarynę reklamował w mediach, idzie w prysiudy. Przy nim wzięty pisarz, co rząd sprawował dusz w dekadzie mrozów, choć potem wyszło na jaw, że ciekawsze pisał donosy dla tajnej policji. Obaj trą biodra o łęk kościotrupiej miednicy w tańcu dygotów i spazmów. I inni z nimi, w histerycznym łuku wygięci, w wosku śmierci tężeć nie chcą, inni – z nich kapie formaliny rosa, a inni jeszcze – ci uronią ochłap wewnętrzny, bo ta-niec wszczęli przy obdukcji... – ojj

Nowa figura płasów: Waga Sumień: ten leci na łeb, ten na szali frunie. Chryst i Antychryst o twarzy ministra. I Biczownicy. I Apokalipsa.

*

Szczęśne narody, co znają iloczas. Ich język dźwięczy niczym dukat bity, długie i krótkie głoski ważąc śmieie – krótkie jak pszczoły złote, długie – czarne trzmielce buczące smolnym basem niby w cerkwi. Polszczyzna tego nie zna śpiewu. I nie cierpi.

*

Zatem jesteśmy skazani na obraz, na akwarelę i subtelną transparencję farby, na gamę barw laserunkiem mieniących się w tęczowe dopełnienia, skalę kolorów świetlistych i błękitno-złoty, jak u braci Limbourg, jak na miniaturach Botticella. A broń nas przy tym, Panie Boże, przed tłustą paletą Tintoretta, przed tym brązem zwalistym, co ożywa rzeźbą, przed purpurą spowitą w cienie, przed spleśniałą zielenią Veronesa. I nie chcemy także, by postaci nasze odlane były w ołowiu, co przytrafia się freskom Michała Anioła, nie chcemy by każdy ich mięsień wyobrażał ból tworzywa i ogrom kamieniarskich zmęczeń, i zakwasy. Pragniemy umoczyć pędzelek w wodzie ledwie zaprawionej pigmentem i kreślić sylwetki ulotne jak w teatrze cieni – na Jawie, we śnie lub zgoła na czarnofigurowych kraterach.

Więc krąg jest wieńcem plecionym z żarnowca, z gałęzi dzikiej śliwy z jej drobnym owocem, z jarzębin, z nenufaru, z pręcina tataraku, z jałowca i nieśmiertelników, z koniczyny. I jest tańczonym kręgiem – warkoczem sylwetek, co tworzą obłęk widzialnego czasu. Bo każda – pozostając alegorią – może być gruszą i chłodem przy kosie, stateczną mieszczką w krochmalonym czepcu i czarnej sosny skręconym konarem. I bieżą – tańczą – skaczą – sypią śniegiem – spod ziemi zwilgłej erylują pękiem – zrzucają jabłka w syconej czerwieni – i krokiem z karczmy Brueghela tupią w płótno.

*

Przy odrobinie egzaltacji tak właśnie można by było opisać fryz pieca kaflowego, co zdołał salon na piętrze willi przy Jaśkowej Dolinie 44. Fryz przedstawiający personifikacje dwunastu miesięcy z właściwymi im atrybutami – narzędziami prac rolnych, owocami lub gałązkami pokrytymi kwieciami.

Piec zaś był w istocie niezwykły – by znów nieco pofolgować entuzjazmom – jak triumfalna brama, jak Łuk Tytusa, jak Porta Nigra, jak na Manhattanie budynek Chryslera. Więc raz – że duży, a dwa – że strojny. Przy stropach trzy sześćdziesiąt,

sięgał niemal sufitu, czworogranny, spiętrzony jak tort, jak pryzma torfu, jak fort artyleryjski sadzący się ku bladym plafonom chmur, podobny wieżom Sumeru, piramidom Majów, wiszącym ogrodom Semiramis – jak one zielony. Gdybyśmy znów kazali rozprawiać o nim Szeherezadzie, wzmianka o skale szmaragdu nie byłaby nie na miejscu. Acheiropoieton – nie ręką stworzony – trzeba by rzec, bo pęki, kłacza, łodygi szkliwa wytryskać się zdawały z łąk parkietu niczym winorośl i splatały się żywym płomieniem w strukturę filigranową i potężną zarazem w sposób nieogarniony rozumem ni wyobraźnią. Fasety kafli otwierały na siedmiu jego piętrach przeszerzenie przygody, w które oko zapuszczało się z lękiem równym fascynacji.

Więc przyziemie przedstawiało dymne warsztaty stoczni Klawittera albo Schichaua, wilgotny zapach doków, kratownice, pęki iskier z elektrycznych łuków przy spawaniu. Katedry hal osuwały się chłodnym cieniem w sieć kanałów portu, a żurawie wspinały się na szczudłatych, pajęczych palcach stóp. Ciężkie liniowce wychodziły w morze seledynowej glazury, kopiąc z kominów równie potężnych jak mrukliwe baterie dział.

A piętro wyżej – niby w dalszym planie – w rudawej poświacie płonęła Wyspa Spichrzów i trzaskały pięćsetletnie mury. Z głuchym pomrukiem waliły się w Motławę pryzmaty ścian i kłębami pary ubiegała woda chłostana płomieniem i obrywami wyżarzanej cegły.

Nad nią, na przezroczystych fajansach powietrza chygotały się alianckie bombowce, tłuste, zadbane, dokarmione trotylem i lotniczą naftą chmury-krowy niosące pożogę. Kiedy drzwiczki pieca stały otworem poblask kładł się na nierównościach kafli niczym warkoczyki piorunów.

Wreszcie ponad burzą królowała sfera empireum, gdzie niebo gwiazd stałych służyło za estradę chórom cherubim o byczym karku i efebowatym serafim. Krąg zodiaku jak koło odpustowej loterii wirował, rzucając dookoła barwne błyski. Horoskopowe monstra szczyrzyły kły i stroiły groźne miny w swoim teatralnym panopticum, nie bardzo serio traktując rolę stróżów świata. Panna ścisnęła gorset – a obfitość biustu pęczniejącego pod sznurówką zdradzała narodowość artysty i jego cokolwiek Plattdeutsch zmodyfikowane gusta. Strzelec zezował w jej kierunku i napinał się niczym woltyżer – Priap a niedołęga. Skorpion krążył jak opętany w kręgu płomienia. Byk wierzgał jak na rodeo. Żywioł cyrkowy zdominował niebiańską menażerię całkowicie i oto krąg nieboskłonu stawał się na naszych oczach wysypaną

trocinami areną, a gwiazdne bestie – aktorami przedstawienia prowincjonalnym wieczorem święcącego sukcesy na prowincjonalnym przedmieściu.

*

Szczęśne narody, co śnią samogłoski – bazyliki przegłosów, marmur włoski wzdłużeń, dyftongów panoptica dzikie. Pochyłe, labializowane, smykiem smagane ciemne passeggiaty, w miejsce polskiego „e, i, o, u, a, y”.

*

Podobny piec zdobił mieszkanie prababci na piętrze nad Czerwonym Sztrallem, trzy kroki od ulicy Mickiewicza, wówczas głównej w Wilnie. Tyle że jego metopy pokrywały scenki bukoliczne z życia ziemiaństwa. Kozak rozplątan, płat kozaka, ochłap. Ułan na plastry, talarki z ułana. Kirasjer ścięty, z wołyżera plama, rozpruty huzar i artylerzysta przebity lancą. Zastrzelony przystaw.

I Kalinowski z partią brnie w przesieki, i kosy kują, i śmierć Ellenai. I pan Słowacki w fezie, i Mickiewicz – w ciasnych uliczkach Stambułu kusztyka. Na Cytadeli pięć drzew szubienicznych. Towiański ma widzenie Marii w Antoszwińciach. Pułaski w Ameryce, pod Pskowem Batory i pan Beniowski – król Madagaskaru. Wyprawa Zaliwskiego. Samosierra – już szwoleżerów huragan rozdziera blejtramy kafli; rusza w wąwóz rusztów. Biegną Nabelak z Wysockim wśród figur jak widma bielejących w nocnym parku...

A piętro wyżej – niby w dalszym planie – w rudawej poświacie świtu pierwszy pruski czołg wjeżdżał w pszenicę, stalowa stodoła na dwóch parach gąsienic. Potem pod jego ciężarem trzaskał pierwszy pień zdziczałej gruszy w dawnym sadzie Daniłojców, a pocisk z działa uderzał w kolumnienki ganku. Kraśna sotnia jeźdźców rozwijała się w ataku na karabiny maszynowe. Pierwszy padał esauł, w pełnym galopie w krzew dzikiej róży, w krwawą gwiazdę głogów. Kwiat-owoc dzikiej róży, głogi, tarnina, szakłak, eksplozje krwi z tętnic.

A wyżej – różowe zboża i wierzby z obrazów Malczewskiego. I fauny, i staruchy z koromysłem, Nike i sfinksy w babskim niepokoju. A wyżej – niebo Chełmońskiego i smugi babiego lata, i rozpędzone podwozy, i zaprzęgi wołów. A jeszcze wyżej – złote empireum, w nim Zmartwychwstała Polska w trupim gnieźle. Milknę tutaj, choć rzec bym pragnął, że jest ciut tłustawa, jak na dzisiejsze normy sexappealu.

*

Ale należy się nam opowieść o piecu przy Jaśkowej. Którego fryz – tu się tłumaczę z dygresji – kubek był w kubek jak ten nad Czerwonym Sztrallem. Tyle tylko może, że w narożach miast ułanów Beliny-Prażmowskiego przedstawiał Huzarów Śmierci z wrzeszczańskich koszar, a konie ich nie drobiły kopytkiem przed Zmartwychwstałą, lecz ziały płomieniami argonu i tlenu z czarnych pysków rozwartych w imię Świętej Rzeszy.

Fryz – korowód pór roku, tan miesięcy, płas pogód. Stopy w etruskim skręcie depczą trawę, która soki wypuszcza jasne, urobione w szkliwie.

*

Sierpień rozsiadł się w mieście zapachem mirabelek osypujących się z drzew pomiędzy blokami. Zanim zastąpi go czerwona rewolucja dzikich róż i głogów, zapalał gwiazdy owoców w głębinach ałyczy i białe bąble śnieguliczki. A te przejrzałe śliwki, te mirabelki walały się wszędzie na przydrożach ścieżek osiedlowych i ich kwaskowata woń nasyciała powietrze myślą o rychłym babim lecie. Dziady sokalskie rozkładały sienniki w kępach dzikiej śliwy i leżąc na wznak łapały prosto w otwarte usta moszcz kapiący z nabrzmiątych owoców, a ziemią płynęły strugi soku, łącząc się w zlewiska, delty, estuaria. W rzeki Eufrat i Tygrys, Gichon i Pizson. A w falach ich baraszkowały behemoty i wszelka morska żywina i potwór. Stada mew unosiły się nad wodami i raz za razem dawały nura w żółty odmęt, by wznieść się na powrót z podgardlem jak pelikan, pełnym raków, ramienionogów i śledzi.

W takim właśnie pejzażu, w dioramie pierwszych tygodni świata...

*

Drzwi otworzyłem nieco zaspany i pierwsze zdanie nie tyle wyrwało mnie ze snu, ile pogrążyło bardziej w jego odmęcie, utwierdzając w przekonaniu, że wciąż dryfuję w golfsztromach majaczeń.

– Potrzebujemy zduna. Ubierz się, a już!

*

Może jednak zacznę jeszcze raz od nowa – wobec braku wyraźnych porządków w tej historii chronologia posłuży przynajmniej za namiastkę jakiegoś spoiwa.

Otóż taki by można dać tej opowieści incipit: jest na Sienkiewicza spółdzielnia kominiarska. Sienkiewicza to krótka przecznica Jaśkowej, stąd i tę przyjazną cechę ma Jaśkówka, że znacznie częściej niż na innych ulicach napotkać tu można kominiarza – ba! – dwóch, trzech, często też w najkorzystniejszej kombinacji – z rowerem, szczotką kominiarską i w cylindrze. A mistrz kominiarskiego fachu w cylindrze i na bicyklu – o tym wie każdy smarkul – wróży powodzenie wszelkim przedsięwzięciom. Stąd też autochtoni Jaśkowej i okolic częściej od pozostałych gdańszczan trzymają się za guziki, częściej się też nerwowo rozglądają w poszukiwaniu trzech kobiet w okularach. Jak poucza bowiem *Clavicula Salomonis*, a podobnie – traktaty Trithemiusa i Kirchera, taki właśnie jest sposób najpewniejszy na zagwarantowanie sobie dobrej fortuny. Kominiarz – guzik – trzy niewiasty w brylach. Nierzadkim też widokiem są tutaj nieśmiało się formujące grupki mieszkańców innych dzielnic, którzy przedzierają się przez pajęczyny i mgły lasu okalającego Jäschkentaler Weg, aby także zakosztować słodczy kominiarskiego szczęścia.

O złudo! Dosyć ci u nas kominiarzy i dla wszystkich starczy – wraz z rowerami nawet i w cylindrach. Lecz kobiet w okularach – nie uświadczysz. Nie czyta przecież procent dziewięćdziesiąt rodaków naszych, a okular szpeci. Szczególnie damy w balzakowskim wieku jak ognia strzegą się noszenia bryli. Szkiełko odbiera oku blask – mawiają, pożytek zaś z czytania – raczej nikły.

Toteż – niestety – zarówno miejscowi, jak i przybyli z nieodległego Brętowa, czy z Oliwy niewiele zażywają szczęścia mimo rzeczywistych w tej mierze wysiłków spółdzielni kominiarskiej.

*

Pośród rzeczonych kominiarzy jeden szczególniejszą moją przykuł był uwagę. Jest to mężczyzna wysoki, o pociągłej, nieco końskiej twarzy, cery śniadej, włosów czarnych. Widziany z pewnej odległości, sprawia pozór osobnika długiego niezwykajnie i już przez to samo nieco niesamowitego, które to wrażenie wzmacnia, naturalnie, jedwabny czarny cylinder – emblemat profesji. Z bliska – a miałem okazję dwukrotnie się o tym przekonać, gdy dżentelmen ten sprawdzał drożność kominów w moim domu – nie tyle jest on długim ponad miarę, ile raczej wielkim, przez co nawet zacnie zaokrąglony brzuszek nie jest w stanie odmienić pierwotnie nabytego przeświadczenia, że oto mamy do czynienia z człowiekiem-tyką.

Póki zresztą obserwowałem go z dystansu, póty zdawał mi się być przyby-
szem z innego wymiaru rzeczywistości – z dymensji egzotycznej wgląd się ciągną-
cych sztolni kominowych, szybów wentylacyjnych, świetlnych studni, z krainy cegieł
znaczonych tłustą sadzą, dymnych lochów, labiryntów. Labiryntów dwojakich, bo-
wiem jedne z nich, zabudowane sitami, rusztami, szybrami, setką pułapek czyhają-
cych na nieostrożnego, meandrują trzewiowym skrętem w tężyznie ścian, w tkance
budynków. Podchodzą nas dziesiątkami oczu i uszu, siecią szpiegowskich ekstensji
intubowanych w paniński wstyd łazienek naszych i kuchni. Te drugie zaś błędniki –
tych natura słoneczna i napowietrzna – rozciągają się amfiteatrami gołębih da-
chów, ławeczek rozpiętych na niebotycznych wysokościach krokwi, pośród sroczych
gniazd, piorunochronów i anten.

W tej dziedzinie pośredniej, pomiędzy piekłem sadz ulegających tajemniczym
samozapłonom i niebieską podmalówką chmur umieszczałem zawsze mego komi-
niarza, tym chętniej łapiąc się na jego widok za guzik, że jako rasowy Polak jestem
zakutym racjonalistą, hołdującym kilkuset zaledwie niegroźnym zabobonom.

Cóż... Wszyscy blakniemy przy bliższym poznaniu – czar demonicznego mi-
strza prysł, gdy raz na odchodnym po kontroli rzucił: „Najlepszego życzy kominiarz.
Teraz zagrać w totka”. Stracił na egzotyce i szczęście przestał przynosić także.

Ale od tego momentu upłynęło już nieco wody w Motławie, Strzyży i Raduni,
a Martwą Wisłę ze Szkarpawą parokrotnie skuły lody i rozkuły przedwiośnia. Tym
bardziej więc niespodziewaną była trzecia wizyta pana Antoniego. Od razu wyja-
śniam – nie mam pojęcia, jakie naprawdę imię nosi mój kominiarz, ale będąc przezeń
wplątany w łańcuch wypadków nieoczekiwanych i niepokojących, z których ni-
niejszym zdaję sprawę, jakieś miano nadać mu przecież muszę. Imię Antoniego bę-
dzie w tej sytuacji w sam raz właściwe, a w każdym razie nie gorsze niżli jakie inne.

*

– Potrzebujemy zduna. Ubierz się, a już!

Tak właśnie brzmiało powitanie, które niczym kamyk spod nieostrożnej sto-
py poruszyło późniejszą lawinę wypadków. Może należało zareagować po męsku,
butnie i zdecydowanie odrzucając wszelkie propozycje? Może trzeba się było wdać
w dłuższą dyskusję, ustalić, w czym tkwi sedno przedwieczornego najścia? Może...
może...

– Nie jestem przecież zdunem – wymamrotałem zamiast tego jedynie, wciąż, jak już rzekłem, uplątany w przedziwo snów, ale jednak trafiając w nogawkę dzinsów.

– No to zaraz będziesz. Ubierajże się chyżo! – odpowiedział, a chwilę później galopowaliśmy już w dół Jaśkowej.

Wzdłuż szpaleru dwa sezony temu posadzonych jarzębin stado dzików ryło trawnik. Niektóre samochody zwalniały na ten widok, inne nie. Mój cicerone nie zwrócił na nie uwagi, ciągnąc mnie nieomalże za poję płaszcza. Dziki na chwilę uniosły ryje znad darni, a potem spokojnie powróciły do swego zajęcia. Trwało to tak krótko, że nie zdążyłem się przestraszyć. Światła aut odbijały się w mokrym asfalcie.

*

Trzeba tu poświęcić słów kilka willi pod numerem 44. Jak większość budynków przy Jaśkówce, jest ona eklektycznym pałacykiem, o rysie – niech no już jej będzie – neobarokowym. Uwodzi zresztą bardziej samą bryłą — której nie brak ni więcej z fantazyjnym hełmem, ni wykusza, ni okien-triforiów – niżli fasadą. Ta – na tle sąsiedztwa chlubiącego się deseniami fachwerków, inkrustacjami pruskiego muru, cegłą-licówką lub groteskowymi sztukateriami – wypada blado, zdobna jedynie szaro-buro-pstrokatym tynkiem.

W czasach mego dzieciństwa było tutaj przedszkole. Potem – do niedawna jeszcze – konsulat ukraiński. Od lat kilku, odkąd Ukraińcy przenieśli się na Chrzanowskiego (wyemigrowali stąd też w tamtym okresie Białorusini, których konsulat sąsiedował przez miedzę), budynek stoi pusty, a ogród... No właśnie, willa pod numerem 44 ma też ogród – kilka egzotycznych drzew iglastych stanowi pozostałość po dendrologicznych pasjach przedwojennych właścicieli. To zresztą nic szczególnego na ulicy, gdzie na poszczególnych posesjach natknąć się można na miłorząb lub kaukaski skrzydłorzech.

Jest też w ogrodzie fontanna czy też raczej jej resztki w postaci stężałej na postumencie zwiewnej jakiejś nimfy z nadzartego porostem piaskowca. Rzeczywisty zarys tej figury coraz to trudniejszy jest do określenia z winy erozji, choć niejasne jakieś wspomnienie mi podpowiada, że znałem ową rzeźbę niegdyś w dniach jej chwały. Przypomnieć sobie jej rysy jednak – to wydaje się wymagać nadludzkiego wysiłku i powieki zaczynają mi się kleić na samą myśl o tym... Tymczasem wcho-

dzimy przez kutą furtę w gąszcz ogrodu w pacht oddanego stepom z *Marii* Malczewskiego. Dzikie maki z cykorią, wyka i rumianki, ruta, powój z lucerną, piołun i łopiany plenią się wśród traw. W powietrzu włada mocna woń wrotyczu.

*

Na dachu siedziało ich już trzech – dwaj praktykanci kominiarscy w czarnych jarmułkach i strażak z rogu Sosnowej i Batorego w żółtym kasku z podniesioną przyłbicą i obszernym kombinezonie. Przycupnęli, gdzie kto mógł – na kalenicy i ławeczce rozpiętej między dwoma dymnikami. Twarze mieli umorusane i zmęczone.

– Przypatrz się dobrze — powiedział Antoni wrzucając w czeluść komina drucianą szczotkę na linie obciążonej kulą. Powoli wysnuwał sznur spomiędzy palców jakby sondując głębokość dna. Obaj czeladnicy przytrzymywali go przy tym za pętle parcianego pasa, jakby ktoś lub coś miało go znienacka pociągnąć w ciemności.

W pewnej chwili drgnął, sznur napiął się zaś, jakby na niewidzialnym haku uwiesił się sum czy ogromny okoń. Ciągnęli teraz we czterech z wyraźnym trudem, dopóki opór nie zelżał, a szczotka nie wyskoczyła z komina z głośnym świstem. Aspirant straży zapalił czołówkę – jeź ze stalowych drutów załśnił od krwi.

– Tam jest mój brat – wyszeptał Antoni bezsilnym tonem. – Tędy przejść nie damy rady. Ktoś musi od pieca. – I nim zdążyłem się wymówić, zwłókł mnie przez świetlik, strych i strome schody do smaganego przeciągiem salonu.

Pozostali wkroczyli tuż za nami. Flary w ręku strażaka i jednego z czeladników rozświetliły mroki i pierwsze, co ujrzałem, to były mosiężne wrota paleniska. A było czego się przestraszyć. Wysoko umieszczone, miały pozór końskiej głowy — pyska jakiegoś apokaliptycznego potwora, szczerzącego zęby, rżącego na koniec świata, kłającego i toczącego pianę. Odskoczyłem, ale tymczasem strażak zaczął coś wreszcie tłumaczyć.

– Nie musisz rozumieć jego konstrukcji, ale musisz go umieć czytać. Te reliefy tutaj to opis drogi, taki rodzaj mapy, żebyś się nie pogubił. Dobrze wszystko zapamiętaj. Niektóre takie piece to są jakby latarnie morskie czasu. Kominem czy szybem wentylacyjnym możesz czasami przepełznąć w inne miejsce – do innego domu, miasta, innego kraju. Dzieje się tak, ponieważ sieć kominowa istnieje wszędzie, na całym świecie, a przynajmniej wszędzie tam, gdzie są miasta. I wszystkie te dymne ciągi się łączą ze sobą w jedno potężne i splecione kłębcze. Każdy kominiarz o tym wie, chociaż

z różnych przyczyn głośno się o tym nie mówi. Zdarza się, szczególnie nowym w zawodzie, że wchodzi do komina na warszawskiej Starówce, a wychodzą w Odessie z wędzarni lub zlatują do paleniska jakimś herzogom w Grazu. Stąd pewnie różne historie o diabłach. Ale bywa i tak, że spuszcza się w szyb w piątek i w pośpiechu, już myślą są na weekendowej imprezie, a wyłażą w tureckiej łaźni we wtorek lub zgoła sto lat wcześniej. Z czego się te skoki w czasie biorą, nie wiemy. Chyba stąd, że te kominy są wieczne, wieczna i nieskończona jest sieć ścieżek wentylacyjnych. Teraz już wiesz, czemu nie ma młodych mistrzów kominiarskich? To niebezpieczny zawód, a doświadczenie zdobywa się powoli. Latami. I wiesz, czemu ci żyjący przynoszą szczęście. Mają go w nadmiarze.

Przerwał, a ja nerwowo przełknąłem ślinę, czując w powietrzu, że wrabia się mnie tu w coś groźniejszego, niżli się mogłem wcześniej spodziewać.

– Sieć ma wiele złych tajemnic. O niektórych wolałbym nie pamiętać. – Kominiarz dochodził powoli do siebie i przejął pałeczkę. – Czasami z nieznanymi przyczynami zamykają się w pewnym miejscu jej odnogi i jeżeli coś zwabi kominiarza w taki ślepy zaułek, może tam być uwięziony tygodniami, może też nigdy nie wrócić. Mój młodszy brat właśnie tkwi gdzieś zatrzaśnięty i nie wiemy nawet, czy jeszcze żyje. Wiemy tylko z grubszą, gdzie i kiedy buszował – na drugim końcu tej drogi powinien być znaleźć piec gdzieś w Wilnie, u progu lat czterdziestych. Pisał dysertację o ogniach świętego Elma – dodał bez związku.

– Niektóre, wyróżnione piece, kominki czy paleniska, z przyczyn również dla nas zakrytych rzucają w głąb sieci jasny blask. – Strażak podjął temat ponownie – Doświadczone oko rozróżnia je bezbłędnie i potrafi się tymi promieniami kierować w mroku korytarzy. To dlatego nazwałem ten tu latarnią morską. Pomiędzy niektórymi z tych pieców istnieje zresztą dodatkowy rodzaj więzi, jakby ścieżki na skrót. Próbuje się dojść, czy są one dziełem tych samych zdunów, czy też rzecz bierze się z układu gwiazd w chwili powołania ich do żaru. W każdym razie tak właśnie jest. Z tego tu względnie prosta droga wiedzie do mieszkania nad kawiarnią Czerwony Sztrall. To ci coś mówi. I to ci powinno też starczyć za tłumaczenie, dlaczego prosimy o pomoc.

*

Opasany liną z wilczych jelit opuszczałem się w wąski, ceglany przetyk. Nie-wielki krąg światła rzucały przez czołówkę, cisza, kwaśny smród sadzy. Czasem kli-nowałem się w zdradliwych przewężeniach, czasem mijałem poziomo lub skośnie odbijające od głównego szybu odgałęzienia pełne tajemniczych szeptów i chrobótów; czasem wreszcie zawisałem zniemacka, majtając nogami w nagle rozwartej próżni i bezskutecznie starałem się wymacać wokół siebie ślad choćby jakiegoś stopnia, podparcia czy chwytu. Nierzadko uderzała mnie od spodu fala konwekcyjnego prądu – czasem gorąca, czasem niosąca zapachy obcej kuchni, czasem – duszący opar czadu. Nasuwałem wówczas na twarz maskę zaopatrzoną w zwierzęcy ryj filtra i – całkiem już w niej oślepiły i stumaniony brnąłem dalej w dół.

Musiałem dotrzeć znacznie poniżej poziomu piwnic, nic jednak nie wskazywało, by system dymnych korytarzy miał się skończyć. Przeciwnie. Pajęczce odnogi bocznych kanałów trafiały się teraz znacznie częściej, podobnie – puste, szerokie hale o sufitach zwieńczonych stalaktytami z antracytu – wielkie pęcherze powietrza, co rozdymały ni stąd, ni z owąd ciasną arterię komina.

W jednej z takich sal lśniących w blasku czołowej lampki mozaikami kryształu górskiego, agatów i ametystów dostrzegłem wlot bocznego kanału, w głębi którego migotał nikły płomyk. Oto był – jak mi się zdaje – odległy poblask mej latarni – pieca nad Czerwonym Sztrallem.

*

Przemierzałem w ciemnościach niezliczone sale, tunele rozgałęzione jak poroża podziemnych bestii, skaliste katedry o kolumnach wyniesionych w mrok, portykach domyślnych raczej niżli w swym ogromie dających się dojrzeć.

Nie wszędzie byłem sam. Brnąc na wschód i wstecz stulecia napotykałem tłumy bieżących prących w beznadziejnym pochodzie ku Ziemiom Odzyskanym, obróconych jednak ku przeszłości, ku stracie, w nostalgii i w bezsilnej gorczy, bardziej drepczących w miejscu niż ciągnących gdzie bądź swe walizki i wózki. Przepychałem się pod prąd tego Styksu wapiennych twarzy, po to jedynie, by znów utknąć, wepchnięty między auta na zaleszczyckim moście lub porwany przez falę wycofujących się żołnierzy w wełnianych szynelach. Ruszałem wówczas jakąś okólnią, bocznicą, nie zawsze w pełni rozwiniętą odnogą czasu, płonym pnączem na skrótach lub naokół wiodącym ku przeznaczonemu celowi.

Mijałem skalne kominy, którymi w kłębach dymu pięły się ku niebu ciemne sylwetki, ale nie wpuszczono mnie tam – smutne czerniawe demony grodziły drogę. Mijałem wagony towarowe pełne oczu śledzących przez szczeliny desek, lecz przeganiano mnie. Precz goniły duchy o otwartych potylicach.

Zalazłem wreszcie i w wyższe dziedziny, lecz broda urosła mi przez ten czas i posiwiiała. Powoli na powrót ścieżki kuliły się w sobie coraz węższe i węższe, za to odległe światło przybierało na sile. Wreszcie udało mi się wspiąć po jakichś przedpotopowych pajęczynach, przecisnąć pośród korzeni Puszczy Nalibockiej i Rudnickiej, siecią drenów i kanaliz podpełznąć pod przedmieścia Wilna. Górą turkotały gąsienice i żelazne obręcze kół armatnich, kiedy dotarłem do głównego burzowca.

*

Szczęśne narody, gdy znają nosówkę, co huczy echem niczym puszczyk nocą, szczęśne, gdy „ę” i „ą” się w mowie złocą – liściem, jagodą, pąkiem, bożą krówką.

*

Stałem w tym wymalowanym sepią pokoju tyłem do pieca, przodem do wschodniego narożnika z ikoną i lampadką. Za drzwiami rozbrzmiewała rozmowa i rozpoznawałem wszystkie od lat niesłyszane głosy. Zamiast nacisnąć mosiężną klamkę pochyliłem się i przywarłem okiem do dziurki od klucza. Sól szczypała w oczy, a w dziurce widać było niewiele, a przecież przysięgłbym, że w beżowych plamach rozpoznaję znajome sylwetki i ruchy. Mógłbym zawołać, mógłbym wejść, przekroczyć próg, pozostać. Nie myślałem, co robią tutaj razem, odeszli w odstępach tylu lat od siebie i dlaczego schronili się w najmniej odpowiednim miejscu, w momencie wkroczenia Rosjan. Zapragnąłem wywieść ich stąd, przeprowadzić przez rubieże korzeni, grzybni i podziemnych wichrów. Lecz oto w fotelu siedział człowiek, po którego tu przybyłem — w czarnym swetrze i gazowej masce zasłaniającej oblicze. Tkwił bez ruchu i w milczeniu, pogrążony w stuporze, uplątany w siwą brodę. Podszedłem doń. Tak oto żywi, choć obcy, odbierają nam prawa powrotu do naszych zmarłych.

*

Za oknem zwróconym ku Tatarskiej słyhać było stłumione hałasy. To kelnerzy w kawiarnianym ogródku uprzętałi ze stołów kufle, szklanki i kryształowe pu-

charki do lodów, potykając się o wyplatane z brzozy fotele. Powiewali białymi rękawicami i w jakimś nerwowym uniesieniu, zapamiętani w swoim tańcu upodobniali się do aniołów. Znikało szkło i porcelana, migały w ich dłoniach spodki i srebrne widelczyki do ciast. Na koniec najstarszy nachylił się i nagle zgasły sznury żarówek rozpięte pomiędzy drzewami aż do ulicy Wileńskiej. Zgasły po raz ostatni w tym sezonie, tego lata i w tym świecie.

Za oknem, które wychodziło na oficyny i studzienne podwórze, w kępie wrotyczu i dzikich rumianów stała kruszejąca statua – nie nimfy jednak lecz starca wspartego o postument słonecznego zegara. Poszarzałe oczodoły rzeźby utkwione były w moim oknie i zrozumiałem, że tylko jeden mężczyzna w masce i umorusany sadzami, jeden z dwóch może opuścić ten pokój. Czas – alchemik oparty o pień zegara – nie pozwala bowiem bezkarnie brnąć w swoje dziedziny, ani bezkarnie obcować z córą swą, historią. Ktokolwiek zakosztuje jej gorzkiego łona, płaci solą, węglem ciała, eterem oddechu. Ktokolwiek rzuca wyzwania córce jego starszej, pamięci, opłaca to utratą mowy i piastrami na powiekach. Jeżeli więc jeden z nas ma stąd wyjść, ceną jest sztuka za sztukę.

*

Gdy zdarłem maskę gazową, która upodobniała go do czerwia, ujrzałem oblicze oszpecone siwą brodą i poorane zmarszczkami. Oczy zarosły solą łez i nie wątpię, że widział niewiele, tyle może, co i ja. Staliśmy tak naprzeciw siebie w niezdecydowaniu, podobni czy jednacy w czerni kominiarskich kombinezonów, szedziwi i starzy. Odjęła nam pamięć barwy słowa, odjęła nam historia światła za oknem, ciemność ogarniała pokój, niemota puchła w ustach gipsem.

*

Zaświadcza kominiarz Antoni, że jeden z nas powrócił znad Sztralla, szlakiem podziemnych ptaków i kwaśnych sadz. Nikt jednak nie wie, kim jest ów dziad na wpół ślepy i tylko niewyraźne wydający pomruki. Nikt nie wie, czy to ja jestem, czy ten drugi, i który z nas pozostał w domu naznaczonym sepią, wbijając wzrok w zamknięte drzwi pokoju, gdzie trwa rozmowa ukochanych głosów. Jeden z nas siedzi skrępowany brodą, cierpiąc tęsknotę i lęk równoczesny. Drugi, rozcięty pamięcią, spaceruje Jaśkówką i zarazem patrzy na starca, na drzwi malowane białą olejną i na

piec, i fryz jego, gdzie postaci tuzin pląsa lekkimi stopy rozsnuwając pasma babiego lata, czerwieniąc zimowe jabłka, rdzą smagając rżyska. Śród mgieł jesiennych, po liliowych wrzosach, ku pierwszym lodem ściętym taflom jezior, krokiem tanecznym, wrony w aureoli niosąc, podąża orszak Dionizosa – ku nocy, ku majakom, ku snom, ku pamięci trawionej w genach, których nikt nie dziedziczy.

*

Szczęśne narody znają „ł” zębowe. Nieszczęsne, które w jego miejsce – nowe.

Konjuracje. Schizofazja o przywołaniach

1. Czarny Lud

Głowę podniosłem w górę akurat w połowie przejścia.

Jaškowa Dolina w porze zmroku jest nieznośna zupełnie. Jaškowa jest ulicą wiążącą w osi północny wschód – południowy zachód Aleję Grunwaldzką, z którą łączą się niedaleko dworca Gdańsk-Wrzeszcz, z nowymi osiedlami na wzgórzach. Na swojej mniej więcej dwukilometrowej długości wznosi się łagodnie do wysokości 100-150 m n.p.m., w swej połowie uginając się o około 60 stopni w kierunku południowym.

W dolnej części jej łożyska – łożysko, matrix, macierz, macica – nawarstwiły się ceglane kamienice z ostatniej ćwierci XIX stulecia. W ich woskowych plastrach pomieszkują duchy Niemców, lemury i larwy. W biegu środkowym grzybią się koloniami wieżyczek eklektyczne pałacyki Schichau'ów i Klawitterów. Się plenią gotyki – smardze i renesansowe huby-hauby-pikelhauby, i secesja się pleni. Seplenią na wieżach kasztanowce i dąb, co pamięta Półwiecze Bitwy Narodów, sepleni nawet miłorząb w ogrodzie posesji nr 27 – jemu także listopad wybił liście.

Z obu stron ulicę wystaniają ostrogi wzgórz porośniętych bukowiną. Wiosną buki toczą zieloną pianę z gardzieli, ale teraz ich sękaty grdyki, gruzły krtani i porozgałęziane na wsze strony oskrzela syczą niebu swój chłód zimowy.

No, ale nieznośna zupełnie jest Jaškowa w porze zmierzchu. Sznury samochodów ciągnące w górę, na Morenę i w przeciwnym kierunku, do Wrzeszcza i dalej jeszcze – na Gdańsk, ku Oliwie, do Sopotu – sprawiają wrażenie, jakby za chwilę miały się spiętrzyć jak fala powodzi, jak fałd makowca, jakby auta chciały natychmiast nastąpić na się – lśniące muchy wyrojone z czeluści czarnego mięsa. Nizają się paciorry świateł na rozplecione włosy nocy. Na nici aut węzła się odbłaski, błyski białe i ognie złotolite.

Zakwitły maki czerwonych klaksonów. Czerwone maki na Monte Moreno. Rozkwitały pęki białych bluzg. Bluzg, bryzg, blekot, bełkot. Wizg. Facet za kierownicą pokręcił szybką i z wnętrza buchnęło dudnienie radia i bluzg-bluzg, bełkot, blekot. Krzyczy na mnie, kracze, ryczy, czarnopsioczy, czarnopudli mnie i nasienie moje.

Więc schodzę z przejścia, ale ze wzrokiem utkwionym ciągle w moje okna balkonowe.

Wyszedłem po papierosy tylko, więc na chwilę. Świateł po pokojach nie zgasiłem – bo niby po co? Zresztą, często zostawiam lampy niepogaszone wychodząc z domu. Zwłaszcza, jak się wypuszczam na dłużej, bo to złodziei myli.

Własne mieszkanie podglądane z ulicy ma w sobie coś z lustrzanego odbicia. Meble, szafy jakoś nie po tej stronie, łóżko rozpuszcza się w emulsji ścian, drzwi gdzieś w głębi, pod płynnymi warstwami powietrza, na dnie czasu, który istoczy się ze swego bezludnego źródła, kiedy mnie tam nie ma. Trochę jakby te śnione labirynty, które znajome są i jednocześnie nieuchwytnie obce. Wszystko skąpane w żółtym, mętym świetle kinkietu, jakby przysypane piaskiem w korycie rzeki. Cienie plastyczne, kontury po części ostro zarysowane, po części rozlane w plamach mroku.

W moim oknie, spoza firany ktoś spogląda prosto na mnie. Oświetlony od tyłu czterdziestką z lampki ściennej, piętrzy się czarną bryłą, sylwetą zwalistą, nagą w kremowej mandorli.

Więc mimowolnie zwalniam kroku. Kroku, ryku, krach i kra! Cień kierowcy odkręcił szybkę, ze środka wizgnął bluzg, blues, ryk, rock, rap radia. Wrzeszczy na mnie, syczy, małpi, czarnocapi, belzebubi mnie i skrzek mój, i muchy moje na wieki.

Nie odważyłem się wejść domofonem. Przebiegając skostniałymi palcami – paliczki, kostki, kosteczki, kostucha, kosa – wybrałem odpowiedni klucz i postąpiłem w czeluść klatki. Światło – pierwszy wyłącznik z lewej. Na pierwsze piętro to trzy razy osiem – dwadzieścia cztery stopnie – i dwa zakręty w lewo.

Tępy wzrokiem spoglądałem na meandry słoje na drzwiach, nie mogąc się przemóc. Wejść w drzwi, wejść w ich drewno, w słoje, w weki, w wieki soków ciągnionych wprost z zimnych otchłani ziemi, zbielałego czarnoziemiu, butwicy i krzemionki. Wieki wieków. Wejść w ścięgnięta drzewa, w jego spoiste trzewia, w słoje, w spojenia wiązek, w węzy i więzy tkanki, między ciasne plastry drzewnego miodu, w sny sosny, w sny klonu, w kolana buka. *Tò déndron. Tà déndra.* Dendryty w mózgu. Mózg poprzerastany strukturami drzewiastymi. Mózgi ludzkie poprzerastane korzeniami drzew, ich gałęziami, ich rozkonarzeniem i rozkojarzeniem. Lasy szumiące pod ziemistą cerą kory mózgowej. Lasy podziemne i ptaki w gałęziach.

W końcu wszedłem, ostatecznie nie sposób stać wiecznie z pękiem kluczy w dłoniach – z pękiem żelaznych kwiatów, pąkiem stali, pękiem stalowych asfodeli – przed własnym mieszkaniem. Natrętne klucze w białych dłoniach, kara-klucze, karalusze kluczą kare klacze po białych błoniach.

Oczywiście, w domu – nikogusieńko i cisza, aż syczy. Tylko ostatnia mucha sezonu tłucze się między szybami. Czarna, oleista, błyszczący jak benzyna na wodzie, brzęczy. Brzęk, bryzg, drzazg, szkło tłuczone, opon pisk, rozkwitają bukietami rudozłote klaksony, fajerwerki klaksonów, palmy świateł na szybach. Znów jakiś wypadek na rogu Migowskiej. Ludzie tak tu nieostrożnie jeżdżą.

Spoglądam dyskretnie zza firany, a jego podnoszą już jacyś na przejściu, samochody stoją jakoś tak wpół-w poprzek, plamy benzyny na asfalcie, palmy asfodeli na pasach, krzyczy coś kobieta na przystanku, załamuje białe dłonie.

2. Buka

– Spokojnie – powiedziała Tootiki. – Buka przyszła nie po to, żeby zgasić ogień, ale żeby się ogrzać, biedaczka. Ale wszystko, co się pali, gaśnie, kiedy ona na tym usiądzie.

Własne mieszkanie podglądane przez okno ma w sobie coś z lustrzanego odbicia. A lustrzane odbicie mieszkania jest jakby oknem na świat snu. Rzeczy zamieniają się miejscami, emulsja ścian ciemnieje odrobinę, kwiaty zakwitają przeciw słońcu. Jak wygląda właściciel tamtego domu? Nie może być nim ten widoczny w obramowaniach. Nie może, bo to ja przecież, tylko odbity. Zresztą jestem w lustrze rzadkim gościem. Ten prawdziwy jego mieszkaniec musi mieć ciało przystosowane do przenicowanych mebli i wielkie oczy, zdolne znosić długotrwały mrok. Nigdy nie widziałem, żeby palił światła. Co najwyżej korzysta z moich żarówek. I trochę zniekształcone kończyny ma chyba, jako że powierzchnia zwierciadła jest nierówna. W jego świecie, pod głębokimi warstwami powietrza, na dnie szklanej rzeki czas upływa wyraźnie inaczej niż po tej stronie Jaśkowej. Nigdy się przecież nie spotykamy, nigdy nie przygląda się sobie wówczas, gdy ja wiążę krawat, golę się, kołnierzyk poprawiam. Gdyby to robił, jego odbicie wnikać by musiało do mego świata, jak moje przenika w głąb jego. A może bywa tu jednak czasami? Stary przesąd powiada, że długo spoglądając w swe odbicie napotyka się diabła. Tylko kto to taki? Może to ten, co budzi się, gdy zasypiam, i krąży po domu w poszukiwaniu książek, których nie może odszukać w swoim przeciwnym chaosie? Znajduję je czasem w dziwnych miejscach, jakby ktoś rzucił w pośpiechu, nie doczytawszy. Może to on zużywa pastę

do zębów, kubki paskudzi kawą, gniecie spodnie zaprasowane na kant, może to przez niego włączone po całych nocach żarówki przepalają mi się nieustannie? A może wreszcie jest ukryty sens w tym, że nie dane jest nam obcować twarzą w twarz? Może nienawidzi mnie i pragnie zniszczyć – on, moja antymateria?

Spoglądam na Jaśkową spoza firany. Gdyby wyobrazić ją sobie z lotu ptaka, przypominałaby drzewo mocno ukorzenie w miejscu, które duchy Niemców nazywają Langfuhrmarktem. Przekłnice Sienkiewicza, Matejki i Pniewskiego, a potem Batorego i Sobótki osadzają jej pień pewnie w grzędawisku Wrzeszcza i upodabiają trochę do mangrowca, w którego katedralnych podcieniach gnieźdzą się larwy i lemury. Nieco zgięta w połowie pnia (mniej więcej o 60 stopni w lewo, ku Południowemu Słońcu) ejakuluje szkaradnymi zarodnikami bloków morenowych i tylko cudem ocalały Dwór Piecewski, do którego prowadzi boczny konar – Kruczkowskiego – nazwać można nasieniem czy owocem godnym tego drzewa. Ale też i bo co miałyby się rodzić w jej górnym łożysku – łożysko, matrix, macierz, macica – skoro nasieniem wodem Jaśkowej płyną, suną, pędzą rozplemnione, rozplemniczone, rozplemione, rozpalone płomieniem barbarzyńskim, barwne auta.

Las się tu z obu stron pochyła nad korytem asfaltu. Z rozprutych sakiew lasu wysypują się zarodniki grzybów – wille i dworki o niespokojnych liniach, w które duchy architektów zakłęły jakieś sny średniowieczne, niespokojne. Tylko gdzieniegdzie szpeci się przystojność przestworza blokiem gomułkowskim, szarym, skrojonym jak bury garnitur, nie na miarę i nie dla szyku. Sfunkcjonalizowanym, zgeometryzowanym, z powyłamywanymi minogami. Minogami.

A z okna wzrok mój się osuwa na skrzynki pelargonii na parapecie i widzę, że jednak był tu ktoś, ktoś stał przy oknie i mróz jego odwłoków ściał świeże pędy. I pryska spokój nowego poranka. Cisza, aż syczy. Słyszeć tylko brzęczenie między szybami i głuchy pogłos Radia Maryja jak z podziemi. Taka i w tym mieszkaniu akustyka pionowa. W nocy kroki słyszeć. Może z wyższych kondygnacji, a może z łazienki. Skrzypnie coś czasem, coś zaszura. Zimny przeciąg z komina drzwi zatrzaśnie. Ale duchów niemieckich tu być nie może. Blok oddany w sześćdziesiątym trzecim. Stoi na podmokłym gruncie, niegdyś było to bagienko, a cmentarze są dopiero za górką. Po zachodniej stronie – czynny na Srebrzysku. Po wschodniej – trzy zbeszczeszczone przy Politechnice. No i na samej górcie – trzeba by wspomnieć –

rozprute żydowskie nagrobki, macewy rzucone na stoku zamiast stopni. Będzie trzysta metrów od tego miejsca.

A może to sam blok tak skrzypi? Powoli zapada się w otchłanie mokrej ziemi pod fundamentem. Rysa na suficie poszerza się z roku na rok. Może to blok emanuje muzyki żałobne, requiem dla naszych snów niespokojnych, średniowiecznych? Może nikt tu Radia Maryja nie słucha, tylko błozyko nasze wyliniałe gardzielami kanaliz i odpływów, rurami grzewczymi organum sprawuje?

Nad kaloryferem trzymam pelargonie. Mam ich wszystkiego gatunków jedenaście. W jedenastu ponumerowanych skrzynkach i trzech donicach. A wszystko wykaligrafowane w kajecie, żebym nie pomylił przy rozsadzaniu na wiosnę, kiedy kwiatów nie ma. Patrzę na liście odmian ogrodowych, na ich łopuchokształtne łapki z ciemną koncentryczną pręgą, na łodyżki przekrzywione leciuteńko w kolankach, w miejscach, z których wypuszczają zawiązki nowych pędów. Na stare łodygi, łodiridi-łodyżyska poskręcane reumatycznie siłą tropizmów. Na kwiaty – amarantowe, purpurowe, na karminy dwu odcieni i na łososie. I patrzę na gatunki bluszczolistne z kwiatostanami jak koszyki i na angielskie, wysoko się pnące różowymi i biskupimi trąbkami okwiatu. Okwitają mnie wokół i kwitują samotność, której szare kłaczki wykudlają się z kątów, dla niepoznaki przybierając pozór kłębków kurzu. W krótkie dni zimowe i w długie letnie popołudnia niewidzialny strumień życia, zielona woda ich ustrojowych płynów przepływa w moje żyły. I wsiąka we mnie każdym porę skóry. Krążą we mnie soki moich pelargonii.

Będę mówił o pelargoniiach. Będę o pelargoniiach zapisywał. Będę patrzył uważnie, będę uprawiał fenomenologię kwiatu, notując w myśli każde zgięcie pędu, każdą wibrację koloru, każde przebarwienie, fakturę liścia. Będę liczył i mierzył, będę mówił o rzeczywistości wymiernej, o świecie uchwytnym w zmysłach i pochwytym dla rozumu. Chcę mieć chwyt racjonalny, podchwyt i nachwyt. I zachwyt pochwytym. Będę wyliczał fakty i dokładnie je opisywał. Nie będę spotykał obcych ludzi we własnym lustrze, łóżku, lodówce.

A pelargonie moje ścięte mrozem. Czyj chłód oszronił ziemię w skrzynkach, zbrązowił pędy, kwiaty w jedną noc zesuszyl? Był tu, przypominam sobie w olśnieniu. Nocą wybudzony leżałem twarzą ku ścianie i czułem, że stoi tam przy oknie i spogląda wprost na mnie, i nie miałem odwagi się odwrócić i drżałem jak liść osicyny, jak osieczony różgami w upokorzeniu i lęku, jak w sikach uklęknęły, zmoczony

i trwożny. Drżałem w korzeniu, w pniu nerwów i w bulwach moszny. A on kroku nie uczynił, a stał teraz nade mną i dłoń wyciągnął, jakby głaskać miał czy utulić. I uciekłem w sen pijacki, stęskniony i siwy.

A teraz, kiedy się wieczor nachyla, odzywa się dzwonek u drzwi. Dźwięk gongu przechodzi falą aż po najdalsze pokoje, w labirynty kuchni, łazienki, gabinetu. Wypełnia sobą ściany z resztką tapet w cegiełki, rozsiada się w cegiełkach wibratem i w cegłach rozsierdza, huczy, dudni, krzyczy na mnie niczym zły tygrys, skalpuje moją ciszę. I wreszcie zstępuje do piwnicy, dwa piętra niżej, ale pozostawia po sobie niedobre echa, zdudnienia i rezonanse, pohukiwania i buczenia-buki. Dźwięk gongu — gęg dźwięgu. Nie otworzę. Czemu psy szczekają? I Asa szczeka u Arków i Kaja u Aśków szczeka? Nie otworzę. Stoi tam teraz i wpatruje się nieobecny wzrokiem w meandry słoju na drzwiach, na moich drzwiach, w moje drewno patrzy, w słoje moich myśli, w kręgi myśli na mych wodach ustrojowych, w moje *déndron* i w słoje jego, i w słoninę myśli, i w ich mięso słone, w mięso mózgowia. W moim starodrzewiu lipy wycina, sosny i sny okorowuje, poluje sarny.

Nie otworzę, w najlepszym wypadku to marchołty z „Tele2”, albo kablówki. Dość trolli. Na gazowników pies nie szczeka. Otworzę. Otworzyłem. Odszedł. Dudnią kroki na półpiętrze. Automat gasi światło na klatce. Serce mi wali. Kto to mówi, że monstra spotykane we własnym domu, we własnym śnie, własnym *sacrum* samotności personifikują Ciebie, wszystko, czym nie chcielibyśmy być? Ciebie, ciemna strona Księżycy, ciemna strona Książęcia, Książę Ciemności, Książę Maku. Czwarty do lęku i Czwarta Osoba Trójcy, zepchnięta w bezczas nieświadomości. Istocząca się w bezludnym źródle mego mieszkania, kiedy mnie tam nie ma. Ciemny Bóg. Lub Buka.

3. Anima

*Z sukubem śpi się oczywiście
o wiele głębiej niż z kobietą.*

Sny przypominam. Sny wydłużone i rozciągliwe popod granicę bólu, napięte jak łuki akweduktów. Sny ze strzelistymi aktami o nagich ramionach wzniesionych ku biodrom nieba jak wieże kościołów na Czarnej, na Matejki. Zmory niespełnienia, narracje o pogoni ciemnymi pochwami z lateksu, korytarzami, których ściany z narbrzmiałych piersi zaciskają się wężiej i wężiej, kładą na skroniach, miażdżą aż do oczu wypłynięcia. Tum ją-jego prawie imał. Tum ją-ono omal chwycił. W pochwę,

w uchwyt-pochwyt, futerał, w sieć dystynkcji-dysjunkcji. Tum Cię posiadać był władny, duszo moja o białych dłoniach, *anima, animula, morula*. Ale i we śnie tropił mnie zaciekle, zjawiał w swych insektach, plenił się, pełzał robactwem swoim po parkiecie wszędy, wszy swe po wsze czasy rozpowszechniał, rozpuszczał i rozpieszczał, butem rozdeptany piszczał — chłodny stawonogi koszmar. Albo przyjmował pozór kostuszy, czerepem jaśniał, kłapał żuchwami. A zaprosić ją miałem, przecież, by zasiadła pod mym liściem.

Jaškowa Dolina ma osiem przecznic. Cztery po prawej stronie, patrząc w górę, cztery po lewej. Pniewski, Batory, Pawłowski, Kruczkowski – te są synowie Jaškowej z Matki Prawej. Sienkiewicz, Matejko, Sobótka i Na Wzgórzu z Migowską razem, siostry syjamskie – synowie i córki Jaškowej z Matki Nieprawej. Już to na Nieprawej Matki stronie zamieszkiwam, dręcą mię demony i gorę.

Jaškowa ma symetrię lustrzaną. Las się tu w lesie przegląda, cmentarz w cmentarzu, szeregi przecznic przeczą sobie wzajem w poprzeki. Nieistniejące ogląda siebie w istniejącym i vice versa, jak duchy niemieckie przeglądają się w życiu naszym.

Po deszczu ujawnia się też inny jeszcze rodzaj dwoistości. Pod asfaltem otwiera się świat drzew podziemnych – kasztanowców o koronach skierowanych przeciw słońcu, korzeniami w górę rosnących klonów, jesionów, z których liść opada ku niebu, zanim nie spocznie na swojej, przeciwnej stronie lustra. Niewiele tu potrzeba w listopadzie, by rzeczywistość rozwarła zapieczętowane otchłanie swoich możliwości.

Telefon wyrywa mnie z wody zamyśleń. Ten tu na co ze swoją histerią? – histeron, macica, matrix. Lubym jaworem ciszy czego on potrząsa, brzękliwe owoce roni, noski klonowe hałasu? Ten ci będzie tu rozsiewał zarodniki wrzasku, który narasta, narasta, nie do wytrzymania. Kłębią się pędy jego w podglebiu ciszy, pędzą jego kłęby, ponad jej spulchnioną powierzchnię wystrzeliwują, chłoszczą, chłoszczą, ukorzeniają się w uszach. Uszy porośnięte drzewem wrzasku, oczy porośnięte krzewem wrzasku rozgorzałym, nozdrza porośnięte wrzaskiem, pokrzykiem, blekotem. Duszę się. Dusi się dusza moja. Pożera mię mięczak hałasu w małżowinie. Ślimak bełkotu, rak bluzgu przyniesiony z miasta budzi się i ciągnie swój do swego, robią sobie jamochłony mistyczne wesele w mojej jamie. Wszystkie jamy ciała porażone

hałasem i bełkotem. Ryk samochodów, pieprzenie dwunogów w radiu, na ulicy, nieustanny bluzg, którym zarastam jak osadem w dzień i w nocy.

Nie odbiorę. Odbiorę, skoro dzwoni. Odbieram, a w słuchawce tylko mój własny oddech, zwielokrotniony pogłosem, sapanie, jakbym dzwonił z podziemi. I szumy jakieś, węzowiska szumów, i buczenia-buki. Przez lustro idzie dziewczyna w białych mitenkach. Gdzie stąpnie, koła rozchodzą się po zwierciadlanej tafli. Szkło jest jasne i chłodne. Nachylam ku niemu usta, by zaczerpnąć pierwszy łyk.

Stoję obok wiaty przystanku. Siąpi. Ciemność wżera się pod powieki. Na pierwszym piętrze po drugiej stronie Jaśkowej, w oknie balkonowym, rysuje się masywny cień. Firana porusza się nieznacznie.

Mieszkanie podglądane z przeciwnej strony ulicy ma w sobie coś z odbicia w płynącej rzece. Obrazy z tej i tamtej strony lustra wody nakładają się na siebie, modyfikują nieznacznie, a powierzchnia fali zniekształca wszystko i oślepia refleksami. Świat na dnie rzeki to sieci rozczesanych wodorostów, niewyraźne, podmalowane emulsjami mułów dno. Gdzieniegdzie pomarańczową pręgą miga okoń. Świat na tym brzegu to tajemnica lasu – smugi buków, z których każdy może być osią świata. Ich konary pozostawiają jednak w wodzie zaledwie niewyraźny i zmienny odcisk – pieczęć upłynnioną, odbicie odwrócone i pozbawione rewersu.

Wyjmuję komórkę i wybieram swój numer domowy. Cień nie znika z pola widzenia, a mimo to ktoś podnosi słuchawkę. Słyszę głos dobrze znany, bo własny, choć dochodzi z oddali, jakbym telefonował z podziemi. Zwielokrotniony pogłosem, porażony, trzeszczący, uplątany w węzowisko szumów.

Z oczyma utkwionymi w okna balkonu wstępuję w rzekę. Prąd asfaltu opływa biodra i pierś. Rozkwitają maki klaksonów. Barwne płocie stają wpół-w poprzek nurtu. Kobieta w białych mitenkach załamuje dłonie.

Aleksandra Kanar

Urodzona w 1995 na Lubelszczyźnie. Osoba pisząca, slamerka w zawieszeniu. Drukowana w „8. Arkuszu Odry”, antologii *Strefa wolna. Wiersze przeciwko niewiści*, zinach: „Girls to the Front” i „Malkontenty”. Autofikcja/proza konfesyjna.



Szczałki

Kiedy przestałam mieć przyjaciół, zaczęłam biegać.

Kiedy zaczęłam biegać, zaczęłam też podczas biegania myśleć różne myśli, dużo myśli, takich z kategorii małych światełek, małych objawień. Nie planowałam tych światełek i nie planowałam o nich mówić, nie planowałam już mówić w ogóle, nie do ludzi, ale raczej nic na to nie poradzę; to jedna z tych wielu spraw o mnie, które dzieją się mimowolnie: gdzieś niby w głowie, a jednak obok głowy.

Kiedy biegnę, to myślę, to chwytam obrazy i łączę je, łączę z innymi obrazami, lepiej z tych obrazów jedną nieforemną bryłę, ta bryła z początku jest mała, a później zaczyna się rozrastać, puchnąć, zaczyna napierać na czaszkę od wewnątrz.

Biegnę i omijam martwego gołębia. Omijam gołębia rozgniecionego na miazgę, na gnicie, i myślę o tym, że. Myślę o tym, że podobnego widziałam ostatnio, kiedy mieszkałam jeszcze w dużym i trochę strasznym mieście, szłam akurat po szlugi na BP, i zamiast ominąć tego gołębia, uklęknęłam przy nim. Nie spałam wtedy od jakichś trzydziestu godzin, czułam wszystko naraz, wszystko, i było super, naprawdę. Chciałam tylko dalej nie spać, dalej czuć, chciałam tylko kupić szlugi, ale ten gołąb. Obok trawnik, drzewo, dużo opadłych liści, początek września. Uklęknęłam, chwyciłam dwie garście liści, opatuliłam liśćmi truchło, przeniosłam je pod drzewo. Klatka piersiowa w rozpadzie, niecodzienny widok: organy ptaka, organki, miniaturki, rozczulające. Wtedy już zaczęłam płakać, pociągałam nosem, ludzie przechodzili obok, patrzyli, pewnie myśleli jakieś myśli. Zasypałam truchło ziemią, brudząc pod paznokciami, brudząc sukienkę, ale to mi nie wystarczyło, zerwałam jakieś stokrotki, rzuciłam na truchło przykryte ziemią, ale to mi nie wystarczyło, znalazłam dwa patyki, krótki i długi, ułożyłam z nich krzyż, dlaczego to wszystko? O szlugi poprosiłam zasmarkana, ciekło mi jeszcze z oczu, *czułam wszystko naraz*: obrazek manii podobno, nie wiem, naprawdę nie wiem. Z perspektywy czasu nie wiem nic, nie rozumiem, nie znam tej osoby. Ktoś inny w moim ciele, choroba w moim ciele; chora, wykańczająca do cna organizm druga połowa zeszłego roku. Wyjebane, myślę, ale wcale nie, bo to dobija jednak, że ktoś, gdzieś myśli o mnie, ale nie myśli o mnie, myśli o chorobie. Jeden z największych życiowych dyskomfortów: istnieć w świadomości innych ludzi. Być nie osobą, a czymś wyobrażeniem, wspomnieniem, złym najprawdopodobniej,

niczym innym. Nie mogę o tym myśleć; nie da się o tym nie myśleć, przerażenie i obrzydzenie samą sobą rosną z każdym odbiciem podeszwy od betonu.

Dalej. Biegnę i widzę tę stację trafo, a na ścianie stacji trafo, na tej ścianie od strony drogi – małomiasteczkowa sztuka uliczna, napis CZŁOWIEK SIĘ NIE ZMIENIA. Nie znam osoby, która to napisała, ale nie lubię osoby, która to napisała. Biegnę i myślę: dobra, no dobra, być może człowiek się nie zmienia, nie tak na serio, ale człowiek chyba może podlegać ewolucji. Człowiek podlega ewolucji, bo człowiek zostaje wrzucony w izolację, bo człowiek wraca na terapię, bo terapeutka człowieka często używa zwrotu „zadbać o siebie”, i jakoś to w człowieka wsiąka, i człowiek w którymś momencie zaczyna myśleć, że faktycznie, zadbanie o siebie to nie jest najniedorzeczniejszy pomysł ze wszystkich pomysłów na życie, człowiek trochę zaczyna dbać o siebie, człowiek dostaje nowe leki, które człowieka otępiają, robią człowiekowi obojętność w całym ciele, ale człowiek się przyzwyczaja przecież, i być może człowiek nie ma już słów w głowie, ale przynajmniej wtedy jest więcej w głowie ciszy, jakiegoś rodzaju ciszy choćby, człowiek się wycisza, człowiek jest przytłumiony, nie działa pod wpływem impulsów, bo nagle nie ma już żadnych impulsów, to tak się da?, człowiek powoli dochodzi do zgody ze swoją izolacją, z nowym, nieznanym wcześniej stanem swojej głowy, człowiek podlega ewolucji, nie wiem, czy jest to ewolucja na lepsze, ale przynajmniej jakaś jest, człowiek podlega ewolucji. I tylko ta nienawiść do samej siebie pozostaje niezmienną, okej, dość, dalej.

Dalej, biegnę, próba zmiany toru myśli na coś miłego, tak dla równowagi: dużo tu roślin wokół, więc myślę o swojej roślince, tę roślinkę dostałam na urodziny, myślę o tej roślince, bo mnie przepelnia duma, bo jest ona pierwszą, której do tej pory nie uśmierciłam, bo jest to dobra, a przynajmniej niezła rzecz – mieć ją obok łóżka. Jest to niezła rzecz, bo trzeba ją podlewać co drugi dzień, a to wyznacza rytm tygodnia, potrzebny rytm, rytm miesiąca, dzięki niej wiem, że mijają te dwa dni, i kolejne, i kolejne, a to lepszy od mycia włosów wyznacznik rytmu, bo kiedy przestałam mieć przyjaciół, zaczęłam zapominać o tym myciu włosów, to ma teraz przecież mniej sensu niż przedtem. Niezła rzecz, taka roślinka, jest o kogo dbać, można jej grać ambient, żeby zdrowo rosła, być może coś miłego z tego wynika.

Biegnę i nic nie poradzę na to, że przy tym bieganiu zachciało mi się słuchać smutnego chłopca muzyki polskiej, że tak mi pasuje, i nic nie poradzę na to, że przez „czego chciałaś, mam, tego już nie zmienisz, wszystko się już stało” potykam się na pro-

stej drodze, że muszę się gwałtownie zatrzymać, wyrwać z uszu słuchawki, usiąść na krawężniku, schować głowę między nogi, bo za bardzo się trzęsę, trzęsę się cała, bo tak, bo to prawda: wszystko się już stało, wszystko to gówno.

Nie biegnę, teraz robię przerwę, żeby zapalić, serce pruje po tym bieganiu, pruje po tym myśleniu, więc czuję: nie powinnam palić; nie minął jeszcze chyba miesiąc od tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy w moim życiu ktoś dzwonił dla mnie na 112, naprawdę ciekawe przeżycie – bo tak, w tamtym momencie byłam całą sobą przekonana, że właśnie umieram. Obudziłam się w środku nocy i czułam serce w swojej głowie, to było najgorsze, rozsadzało mi głowę, nigdy nie wiedziałam, że jest to możliwe, wiedziałam za to, że jeszcze chwila, a wszystko pęknie. Trafiłam na izbę przyjęć z tętnem sto dziewięćdziesiąt coś, dostałam tabletkę, włożyłam tabletkę pod język, kazali mi położyć się na kozetce, młoda lekarka o łagodnych oczach zapytała mnie, czy mam w życiu dużo stresu, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć, więc nie powiedziałam nic, po chwili niezręczności przeszliśmy do tematu mojego cyklu menstruacyjnego.

Już nie biegnę, zamiast tego siedzę, palę, i wtedy się zaczyna; zaczyna dziać się coś, co nie mieści się w moim obecnym rozumieniu świata. To znaczy: w zamrożonym kwetiapińą mózgu czuję pierwszy od wielu miesięcy ruch, po raz pierwszy od wielu miesięcy zamiast jakichś myśli – jakieś słowa. Coraz więcej. Słowa. Dziwna rzecz. Nie wiem, czy tego chcę.

Ten ruch – niezdarny, te słowa – niezdarne. Przepychające się do wyjścia, a zupełnie do wyjścia niegotowe, robi się tłum, zwolnijcie, ja pierdolę. Ciśnienie w głowie, znowu. Chaos, chaos zawsze.

Skończyłam, wróciłam do domu, wróciłam do łóżka, niedawno wstałam, niedawno przespałam jedenaście godzin, ale wróciłam do łóżka, poszłam spać, po prostu, bo zmęczyła mnie głowa.

Obudziłam się cała obolała i głodna.

Kiedy napisałam pierwsze od sześciu miesięcy zdanie, poryczałam się, jadłam akurat czereśnie, jadłam te czereśnie i ryczałam, bo napisałam jedno zdanie.

Nie biegam już, już przestałam biegać, a zaczęłam przetwarzać ruch, który się przy bieganiu w mojej głowie pojawił, na razie tego ruchu mam dość, a być może nawet nadmiar, teraz czas na pozbywanie się go, upuszczanie.

To wszystko nie jest chyba do końca dobre, to wszystko jest chyba dobre i złe jednocześnie; ale jest przynajmniej, przynajmniej jestem.

Paweł Konar

Robi ruchy od początku dziewięćdziesiątych. Ostatnio jego romans z językiem korzyści przerodził się w naprzemiennie uciążliwy i wygodny konkubinat. Kiedy nadchodzi go ten pierwszy przymiotnik, to ucieka do pisania, powiedzmy, że nie-instrumentalnego. Wychowanek „Stonera Polskiego”.



Powroty

Tramwaj linii pięćdziesiąt dwa. Wszystko tu jest, kiedy się spojrzy, jak być powinno w świetle nowego porządku. Liczba pasażerów z maseczkami przytkniętymi do miejsc twarzowych tudzież przewiązanych przez nie chustami mieści się w numerycznej normie wylepionej na drzwiach. Kilkoro młodych, paru starych i trochę tych w średnim wieku. Każde, każda i każdy zachowują między sobą odstęp całkowicie respektujący obowiązujące regulacje proksemiczne Głównego Inspektora Sanitarnego sformułowane zgodnie z zaleceniami Światowej Organizacji Zdrowia.

Uff.

Może chociaż fantazyjna maseczka w czerwone i zielone arbuzy tej dziewczyny siedzącej po drugiej stronie od okna, tyłem do kierunku jazdy (ja z powodu mdlenia w bebechach zawsze spoczywam zgodnie z nim) skrywa coś nienormatywnego, coś, co przechodzi ludzkie pojęcie i nie zawraca. Może za nią czai się żądło, jak w tym prześląkniętym miłosnym morałem serialu del Toro o strzygach. W kontekście tego tworu telewizyjnego, spieszę wyjaśnić wszystkim nieznanym, kochać znaczy wysysać wolę, зараżać uległością. Znane są takie dość fatalne akcje z życia, tego bez intencjonalnej fikcji, ale w nich wysysanie jest przeważnie dużo mniej spektakularne.

Tymczasem staram się uśmiechać samymi oczami, żeby sprowokować atak.

Nic. Jej maseczka nie opada. Porusza się, ale zgodnie z tym, jak zazwyczaj napięta bawełna reaguje na ludzki oddech.

Tym samym najprawdopodobniej dziś nie przyczynię się do załatwienia żadnej znaczącej sprawy, a już na pewno nie podążę drogą zacnego ormiańskiego Żyda, przetrwańca Holocaustu Abrahama Setrakiana, który trzymał serce swojej „wypitej” żony na półce w lombardzie we wypełnionym formaliną słoiku i regularnie mieczem obcinał języki-żądła strzyg roznoszących zarazę po Nowym Jorku. Z racji lokalnego folkloru miecz mogłaby zastąpić maczeta, ale do dyspozycji mam tylko składany nóż à la karta kredytowa kupiony na AliExpress.

Jak mówią mądre głowy wyskakujące z newsfeedu to wszystko to nowy porządek na nowe czasy, z których nie ma być ponoć powrotu. Deszcz zygzakujący po szybach

Krakowiaka jest raczej jeszcze z tych starych, ale w nieznanym nam wcześniej dwudziestopierwszowiecznym tułaczom okolicznościach nabiera powagi sytuacji. Niebo też jest już umęczone ronieniem łez nad ludzkim losem. He he, no. W każdym razie pomimo tej postapo zawiesiny nie zanoszą się na szaleńcze akcje rodem z tramwaju linii piętnaście w Łodzi, kiedy trzy osoby postanowiły się samodzielnie wysadzić (przez okno na chodnik, a nie w powietrze) w obawie przed zarażeniem.

Podczas tego kursu gatunek ludzki było jedynie stać (w kategoriach pobudzania wyobraźni) na dosadny monolog, ale za to z interakcyjnym epilogiem ekstra.

– Szumowski chuju zawiśniesz za jaja na latarni! Zawiśniesz, kurwa jego mać, za te przekręty, kurwa maseczki, zawiśniesz szumowino za jaja na latarni, za te wały! Ludzie potracili biznesy, maseczki kurwaaa, zawiśniesz tu kurwa na tej latarni! – wypluł przez wyzwolone spod cienkiej warstwy materiału usta pan prawdopodobnie dobijający do wieku emerytalnego. Z pewnym naddatkiem i nieparlamentarnym językiem powtórzył to, co z mównicy sejmowej wcześniej wygłosił poseł od „Szczęść Boże” i demaskowania żydowskich korzeni mistrza Yody z Gwiazdnych Wojen.

Obok jegomości wieszczącego smutny koniec ministra zdrowia leży wysłużona teczka ze skóry. On sam ubrany jest całkiem schludnie. Z aparycji, którą definiują wyciosane cienkim dłutem rysy twarzy, wygląda, jakby wracał z kierowniczej zmiany w jakimś zakładzie montażu elektromaszyn.

Nie każdy ma ten komfort wyładowywania frustracji, z jakiego regularnie korzystał serialowy Tony Soprano, roztrzaskując będące akurat pod ręką przedmioty na głowie barmana pracującego w jego klubie ze striptizem. Później wystarczał plik zielonych na rekonwalescencję i po sprawie, do następnego razu.

Odwracam głowę w stronę zacinającego deszczu. Zza plamek brużdzących przejrzystość szyby wyłania się billboard zachęcający do odwiedzenia Wrocławia. Mówi, że dawno mnie w nim nie było. Prawda, bo nigdy.

Interakcyjny epilog nastąpił po jakichś dwóch minutach od zakończenia monologu. Po drugiej stronie wagonu równoległe do prawdopodobnego inżyniera elektromaszyn usiadła kobieta mniej więcej po pięćdziesiątce. Prowadziła konwencjonalną konwersację telefoniczną. W pewnym momencie jej interlokutor albo interlokutorka zadał albo zadała pytanie o to, gdzie przemieściła się jakaś znana temuż interlokuto-

rowi lub tejże interlokutorce osoba płci męskiej. Padła odpowiedź, a w zasadzie dwie. Pierwsza autorstwa trzymającej w dłoni telefon kobiety, czyli bezpośredniej adresatki, ujawniła stan absolutnego braku informacji.

– W pizdu pojechał, w pizdu! – zaproponował swoją wersję wydarzeń pan inżynier, czym wprowadził konwersującą współpasażerkę w zakłopotanie, które po jeszcze kilku powtórzeniach tej dobitnej podpowiedzi przerodziło się w chęć jak najszybszego opuszczenia toczącego się po szynach pojazdu.

Nerwowe wciskanie przycisku stop przez kobietę zniesmaczoną i niepewną tego, jaki ostatecznie obrót mogą przybrać werbalne szarże pana inżyniera, wydobyło z czeluści mojej pamięci pewien motyw. Przypomniało mi się, jak dobrych parę lat temu z Żabińca dojeżdżałem autobusem do centrum na uczelnię. Nie pomnę, którą dokładnie linią, ale zawsze tą samą. I często spotykałem w niej staruszkę czerpiącą zauważalną przyjemność z obserwowania ludzkich reakcji na jej kompulsywne igraszki z czerwonym przyciskiem w żółtej obudowie. Jechała ze trzy przystanki, przez cały czas molestując stop i następnie wysiadała z szerokim, wręcz jokerowskim uśmiechem. Może te przejażdżki były tylko po to, by go ubrać.

Cała ta sytuacja z nieobecnością żądła u dziewczyny z maseczką w arbuzy, panem inżynierem, kobietą z telefonem, jej interlokutorką, wywołanym wspomnieniem z czasów studenckich dojazdów strąciła mnie z zupełnie nowego poziomu depersonalizacji. Będąc na nim przez jakieś pierwsze piętnaście minut jazdy, spoglądałem jako zewnętrzny, dość chłodny obserwator na projekcje swoich przyszłych możliwych perypetii. Lekko uśmiechnięty widz anegdotycznie zaciekawiony tym, czy ten dziwny typ rzuci się na linę, dozna olśnienia, czy też zrobi chuj wie co.

Na razie tylko wysiadam z tramwaju. Deszcz, który już się stąd zawinął, nie pozostawił chłodu, niczego też nie zmył. Wracam na swoje osiedle. Mój blok rzuca cień powoli wtapiający się w mroczniejący asfalt. Na wysokości wejścia do klatki spotykam Tuptusia, który był już mocno wykręcony.

– Jak tam? – rzuciłem.

– Doj..rzejffam ziommmuś, dojrzeefffamm – wyfaflunił.

Z tego, co udało mi się wychwycić z dalszej części jego musowanych wyjaśnień, zarzucił sobie cztery psychotropy i popił je ośmioma czarnymi Halnymi. Teraz stała przed nim niełatwa misja powrotu na miejscówkę – ławkę wciętą w gęsty żywopłot.

Jestem po skonsumowaniu chińczyka. Siedzę na składanej wersalce z laptopem na kolanach. Muchy baraszkują wokół lampy z żarówką singielką. Okazuje się, że moja ulubiona pornostreamerka, która właśnie wróciła z urlopu, z aureoli sutkowych zrobiła sobie urocze serduszka. Napisała na czacie, że nie było to wcale drogie ani bolesne. Teraz wraca naładowana pozytywną energią i chce się nią dzielić. Oznaką napływu dobrej woli stało się obniżenie progu tokenów, jakie wielbiciele muszą wspólnymi siłami wysupłać, by wprawić jej lovesense'a w tryb wibracji ultra high. Dodała też do swojego profilu kolejny cytat, tym razem z Darwina: „Wstydlivość – to najbardziej charakterystyczna i najbardziej ludzka z ludzkich cech”.

Przed położeniem się do łóżka robię jeszcze spłatę minimalną kredytówki. Równie lekką ręką co zobowiązania finansowe zaciągam żaluzję na uchylone okno. Tuptuś już dojrzał, jego jęki przedzierają się przez cykanie świerszczy, odbijają od ciemnych ścian pokoju, wylatują na zewnątrz. Tak gdzieś do czwartej nad ranem cykl ten się powtarza.

Beata Kołodziejczyk

Odkąd pamięta, zapisywała świat słowami. Dawniej sprayem na warszawskich murach, teraz próbuje klawiszem.



Plusz

– Pałka, zapalka, dwa kije! Kto się nie schowa, ten kryje! – Jagoda oderwała dłonie od przymkniętych powiek. – No? Dlaczego się nie chowacie?

– Bo to nudne – odparł Mateusz, zaciskając zęby na źdźble trawy.

Siedzieliśmy we trzech na wielkim kamieniu, ukrytym pośród długich kłosów żyta, a popołudniowe słońce niemiłosiernie przypiekało nasze wychudzone twarze. Czarek z przerażaniem wpatrywał się w rzucające piorunami oczy Jagody.

– Dobra – syknęła. – W takim razie idziemy do lasu.

Poszliśmy za nią. Zawsze tak było. Gdziekolwiek szła Jagoda, nasze stopy dreptały posłusznie za jej cieniem.

Raz cień wędrował wysunięty na prawo, kiedy indziej padał z lewej strony tego drobnego ciała, ale czasem kładł się przed nami niczym dywan i przez całą drogę musieliśmy uważać, aby go nie nadepnąć.

Las był gęsty i przerażający. Jagoda odwracała się co chwilę, sprawdzając, czy nikt przypadkiem nie stchórzył. Wciąż potykaliśmy się o wystające korzenie, jednak żaden z nas nawet przez chwilę nie pomyślał o tym, by zawrócić.

– Tutaj. Złapcie go – poleciła Jagoda, wskazując wężącego między drzewami psa.

– Po co? – zapytał rozedrganym głosem Mateusz.

– Zakopiemy.

– Ale on umrze...

– Wolicie się bawić w chowanego?

Nikt nie odpowiedział. Nigdy się nie odzywaliśmy, kiedy była zła. Czarkowi to przychodziło najłatwiej, bo on nigdy nic nie mówił. Też pewnie dlatego właśnie on trzymał psa, kiedy Jagoda kazała nam wykopać dół.

Być może potrzebne były wtedy jakieś słowa, ale my ich nie znajdowaliśmy. Tylko czarna ziemia boleśnie wbijała się pod paznokcie.

– Raz uciekły z połączanej klatki cztery małe pluszowe niedźwiadki. Jeden łkał, wracać chciał, do ciemnego lasu wejść się bał... – nuciła Jagoda, podskakując wokół nas. – Gotowe?

– Chyba się zmieści... – szepnąłem.

– To teraz zakopcie.

Zrobiliśmy, jak kazała. Mateusz trzymał psa, przyciskając go mocno do ziemi, a ja przysypywałem. Czarek stał nieruchomo.

Ujadowanie było słyhać tylko na początku, ale wbijało się w uszy ostrym szpi- kulcem. Jagoda gorączkowo przygryzała spieczone wargi. Chyba bardziej z podnie- cenia niż ze strachu.

– Nie podobało mi się. Jutro wykopiemy większy dół – oznajmiła w drodze powrotnej.

– Dlaczego? – spytałem, z trudem przełykając ślinę.

– Za głośno było. A jak się robi kogoś nie żyć, to nie można hałasować. Nie wiecie tego?

Nikt nie odpowiedział. Nigdy się nie odzywaliśmy, kiedy była rozczarowana.

– Ale jutro zrobimy nie żyć po cichu. – Kątem oka pochwyciła przerażone spojrzenie Czarka. – Jutro wykopiemy większy dół.

Wiktor Orzeł

Rocznik 1990, urodzony w Bochni. Mieszka w Krakowie, lubi się po nim szwendać, dużo mu się zdaje, a co jakiś czas nawet udaje mu się coś wydać. Autor dwóch książek prozatorskich (*I tak dalej* 2017; *Książka, której nigdy nie przeczytasz* 2020). Założyciel i wieloletni administrator Portalu Pisarskiego, twórca peja „Dziennosc” z poezją patchworkową.



Wykolejenie

Lato w mieście to swąd palonych kiełbas, żeberek, pajdy smarowane smalcem, turyści z plackowatymi wypiekami na twarzy od taniego piwa, ogórki kiszone i biali nacjonaliści. Na przystawkę wesołe disco serwowane z tęczowych wozów transmisyjnych, wymieszane z Konkursem Piosenki Regionalnej, który odbywa się obok. Komu jeszcze mało – dokładka; Turniej Szachowy i Festiwal Nauki. Wszystko, wszędzie, w jednym miejscu, w niedzielę.

To jest zwykły dzień, w zwykłym mieście, niegdyś królewskim, dzisiaj już zabetonowanym przez miasto i deweloperską spółkę z zawsze ograniczoną odpowiedzialnością. Są i mentalne barykady; po prawej stronie brunatni chłopcy krzyczący o pedalskim rynku, po drugiej – tęczy tłum z flagami i gwizdkami, na środku zastęp białych kasków z tarczami. Są też gapie, którzy czekają na jakąś małą dramę. Turyści wydają się coraz bardziej zdezorientowani, widocznie przytłacza ich nadprogramowa ilość niezdrowych kalorii.

Pole widzenia jest sukcesywnie zwężane, trwa zabawa w kronikarzy; wszyscy kamerują tymi telefonikami, każdy z nich czeka na obfite danie główne; bitkę w sosie zmieszonym z białymi pałami, dodatkiem gumowych kul i doprawioną gazem pieprzowym.

Wypierdalajmy stąd, mówię sam do siebie, w liczbie mnogiej, jakby mnie tu ktoś na siłę trzymał, ale jednak dalej tkwię w niezdecydowaniu i nie ruszam się z miejsca.

Przyjezdni chłopcy z prawej strony krzyczą coraz donośniej, podczas tego krzyczenia plują na siebie nawzajem, płynie wartko potok wulgaryzmów i gorzkiej śliny, a to przecież, prawie, jakby się całowali.

Karta tradycyjna, dobrze znana, choć jest też miejsce na lokalne, sezonowe wariacje; najpierw słyhać *ZAKAZ PEDAŁOWANIA*, potem *RYNEK KRAKOWSKI NIGDY NIE BĘDZIE GEJOWSKI*. Jeszcze potem odpalają się (i race) już na całego; unoszą pięści, przebieirają zniecierpliwieni nogami, widać, że mają wielką ochotę ponapierdalać się z dziećmi, kobietami, zgrillować ich ciała i zatknąć proporzec prawdy objawionej na stosie trupów w tęczowej marynacie.

Wypierdalajmy stąd – słyszę już wyraźniej, dosadniej, echo dźwięczy coraz bardziej przenikliwie, neurony zaczynają się przegrzewać. Czuję coraz silniejsze zażenowanie,

wstyd za to, że jestem człowiekiem. Targają mną atawizmy, mam ochotę wyrwać im ten transparent *CHŁOPAK DZIEWCZYNA NORMALNA RODZINA* i okładać ich z całej siły po gładko ogolonych łbach. Zaraz się zagotuję, wykipię.

Czemu nie pójdziemy na kawę, herbatę, piwo, wino, do parku, pooddychajmy sobie spokojnie smogiem, zaciągnijmy się jednym czy tam drugim papierosem, pójdźmy spać, a rano, a rano, to najlepiej zapomnijmy o sobie, dla wygody, komfortu, lepszego samopoczucia.

Wypierdalam stąd. Do kawiarni, na róg ulicy, zamawiam piwo, wódkę i tosty z plastikiem, ale drżą mi ręce, odpalam papierosa, ale drżą mi ręce.

Całe miasto zaczyna drzeć, chwiać się w posadach; z kanałów wychodzą przerażone szczury, ptaki uciekają do ciepłych i tolerancyjnych krajów, pękają elewacje zabytkowych kamienic, Mickiewicz z żalu rozpada się na pół, tramwaje zapadają się pod ziemię, szczelina na Małym Rynku się powiększa i zasysa okoliczne kawiarnie, piwne ogródki, pochłania budy z kiełbasą, regionalną scenę wraz z zespołem pieśni i tańca.

Chciałbym wspiąć się na Wieżę Mariacką, mieszkam tu dziesięć lat, a nigdy na niej nie byłem, chcę mieć ładny widok na ten koniec, który miał nigdy nie nadejść, ale pod Wieżą jest kolejka, przynajmniej setka ludzi stoi, niecierpliwi się, wstęp na zakończenie jest biletowany, sto złotych za pięć minut oglądania.

Wsiadam więc w kolejkę miejską (na to mnie stać), stworzoną naprędce przez przedsiębiorczą spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, która korzystając z panującego anarchokapitalizmu, zaanektowała tory, po których jeszcze kilka godzin temu sunęły tramwaje.

Motorniczy ostrzega mnie, że podróż może się zakończyć śmiertelnym wypadkiem, *bo szyny są złe*, są też dziury, można wpaść w otchłań, ziemi chyba znudziło się trzymać ludzi przy życiu.

Jedziemy sobie, trochę telepie na boki, ale nie jest źle. Jest ze mną jeszcze kilka osób podnieconych bardzo, robią zdjęcia, nagrywają filmiki, wrzucają na Instagrama relacje, podróż życia, jedyna taka w swoim rodzaju, fajnie tak jechać sobie kolejką po zgliszczach cywilizacji.

Stajemy na skrzyżowaniu, bo z prawej nadjeżdża inny wózek, taki bardziej luksusowy, klasa premium, z niemieckimi turystami, którzy mają maski antysmogowe. W tej samej chwili podbiega do nas zasapany dziennikarz i pyta, czy staniemy w obronie kraju przed uchodźcami i edukacją seksualną. Celuję w niego dużym telefonem, może to tylko błąd w matriksie, ale nie widzę efektów rozpoznania, szybko ruszamy dalej.

Z prowizorycznych głośniczków słychać *To My Polacy*, wiatr we włosach, wisielce dyndają beznadziejnie na pogiętych latarniach, księża wznoszą ręce do góry, tłum klęka przed majestatem apokalipsy, konfesjonałów jest stanowczo za mało, brunatni chłopcy chętnie pomagają klerowi; młóćą bejsbolami nieprawdziwych Polaków, przynajmniej nie trzeba się zastanawiać, kto powinien pierwszy dostać rozgrzeszenie. Potem i tak wszyscy znikają pod ziemią, ku uciechu moich współpasażerów, którym udało się wszystko uchwycić na telefonikach.

Docieramy na most, wychodzi słońce, z poręczy masowo skaczą ludzie. Przy brzegu dzieci z rodzicami sprzedają święconą lemoniadę ze zgniłych cytryn i kiełbaski zrobione z bezdomnych psów.

Wzburzona, kilkunastometrowa Wisła wydaje się nie mieć litości, ale na surferach nie robi to specjalnego wrażenia; prężą mięśnie, odgarniają nażelowane włosy i nurkują z gracją w błocie, za co dostają gromkie brawa od licznej widowni zgromadzonej wzdłuż bulwarów.

Nasza kolejka się rozpędza, wagonik z tyłu się wykołoił, znika razem z mostem, koniec jest wszędzie, wszędzie tylko za nami, przed nami piękna pustynna przyszłość.

Obserwacja (prawie) uczestnicząca, Kraków, 1.07.2019

Aleksy Poklękowski

Urodzony w 1998 roku w Gdańsku. Student filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Publikował dla internetowego portalu „Szum Świąteł”. Debiutował jako prozaik w „Stronie Czynnej”. Mieszka w Pelplinie.



Kahlbude, Lappin und Prangenau

Tak, rozpoznaje je. Dobrze pamiętam drugą od lewej, Pienkowską. Bardzo słabo mówiła po polsku. Kiedy przychodziła do sklepu, wiesz, tego w którym pracowała babcia, to ledwo potrafiła się dogadać. Kiedy chciała coś kupić, to rzucała tylko pojedyncze słowa. Marchew. Apfel. Ser. Milch. Z każdym zaś słowem przechylała głowę to w lewo, to w prawo, w przód, i w tył, kiedy musiała podnieść wzrok. Pamiętam, że strasznie mnie to wtedy bawiło. Wydawała mi się jakaś dziwnie sztywna w tych ruchach, jak nakręcany automat. Śmiałem się więc, przyczajony w drzwiach sklepowych, i czy mnie słyszała – nie wiem, nigdy nie reagowała.

Była już wtedy starą kobietą, zresztą od zawsze ją taką pamiętałem. Starą i samą. Mieszkała w tym samym ceglany domu, skąd niedawno wujek Grzesiu się wyprowadził do Gdańska. Dom podobno należał kiedyś do rodziny jej męża, do Pienkowskich. Nie, chyba Polacy, chociaż to ciężko powiedzieć. To wtedy strasznie pokręcone było, skomplikowane. Zresztą i teraz chyba potrafi takie być, co nie? Czytałeś kiedyś o Niemcach nadwożańskich? Co mówisz? Nie, nie wiem. Może wyjechali do Niemiec po wojnie? Tylko dlaczego ona wtedy została?

W każdym razie Pienkowska na pewno od wojny mieszkała sama, i właściwie nie zadawała się z nikim – dlatego dziwi mnie ta fotografia. Nie przypominam sobie żebym kiedykolwiek widział je razem.

Nie, ona nie, wtedy już nie żyła. Zmarła u nas.

Za to ta pierwsza od lewej to Bayerowa. Za torami mieszkało dużo Bayerów, wszystko to jej dzieci. Potem rozlali się jeszcze poza Łapino, do Kolbud, i chyba też do Pręgowa. Tak, Szmitowie byli z Pręgowa, ale o nich zaraz.

No, a więc z jedną dziewczyną, Agnieszką, byliśmy razem w klasie w podstawówce, a ciocia Asia chodziła przez jakiś czas z Romkiem Bayerem. Zresztą z Romkiem grałem potem razem w piłkę w Kolbudach, był naprawdę dobrym obrońcą. Potem jeszcze chyba dwie siostry i trzech braci. Miała kobieta zdrowie! Nie, to jest właśnie zabawne, że to ona, a nie jej mąż miała jakieś niemieckie korzenie o których wiedzieliśmy, mimo że on był Bayer, a ona z domu tak bardziej kaszubsko, Skierka chyba. Zresztą jej siostra była wśród tych, co wyjechali w latach osiemdziesiątych. Ale sama Bayerowa nie, ani chyba

żadne z jej dzieci, mimo że tyle ich było. Tak jak byli, tak zostali. Ale to był raczej wyjątek.

Bo tacy Szmitowie na przykład to wyjechali wszyscy, ze trzy, jak nie cztery pokolenia. Stara Szmitowa, też, a była z tego zdjęcia najstarsza. W ogóle z Pręgowa dużo mieszkańców wyjechało. Strasznie pusto się tam wtedy zrobiło. Zresztą kojarzysz, jak co roku jeździmy na groby do dziadka, ile tam jest niemieckich nazwisk? I tak aż do lat osiemdziesiątych. Starzy spoczywali, ale i nowi się pojawiali. Chłopakowi w moim wieku urodził się jeszcze tutaj syn.

Oczywiście rozumiem, dlaczego wyjeżdżali – w takim Darmstadt, Bremen, czy czymś jeszcze innym było po prostu lepiej. Lepiej się żyło, łatwiej. Oczywiście. Tylko że... No wiesz. Dobra, to zabrzmi głupio, ale rozumiesz o co mi chodzi, prawda? A może i nie rozumiesz. Po prostu, że naprawdę nikt nie został. Ani młody ze swoim synkiem, ani jego rodzice, ani kuzynostwo, wujostwo, ani nawet stara Szmitowa. Nikt. A każdy z nich pochodził przecież stąd, nie stamtąd. Tak, strasznie wywietrzało wtedy Pręgowo.

Z tą ostatnią tutaj, Weimarową, jest ciekawa historia. Przed wojną była żoną polskiego żołnierza, Potockiego. No i wiadomo, wojna, chłop zaginął w akcji. Ciało nigdy nie odnaleziono, Czerwony Krzyż się zaangażował, ale nic, typ wyparował.

Tymczasem po wojnie Pani Potocka wyszła za mąż za niejakiego Weimara. A, tego to właśnie nikt nie wie. Prawie na pewno nie od nas, babcia mówiła że nikt go nie pamiętał sprzed wojny.

To znowu zabrzmi głupio, ale chyba faktycznie się w sobie zakochali. Tylko czekali, czy może ten mąż się nie odnajdzie, aż w końcu wzięli ślub, a ona została Weimarową. Weimar małych Potockich traktował jak swoich własnych, a i razem doczekali się jeszcze syna.

No i tak im się życie sielsko toczyło, aż jakoś na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych do domu wrócił stary Potocki. Okazało się że po wojnie został na tych tak zwanych ziemiach odzyskanych, pod zmienionym nazwiskiem. Właśnie cholera wie, może się przed czymś ukrywał, albo przed kimś, nie wiem. Ale na pewno założył tam nową rodzinę, tak jak Weimarowa u nas.

No i wrócił, i chciał się dobierać do Weimarowej. Dziwne to było w sumie. Mieszkał tam już tyle lat, no i kiedyś to była naprawdę poważna podróż, nie tak łatwo było się dostać do nas aż ze Szczecina. No i czego właściwie oczekiwał? Że przyjedzie, zrobi co będzie chciał, i wróci? Czy zamierzał zostać? No, ale Weimar oczywiście na nic nie pozwolił. Nie wiem czy się bili, czy może się razem napili, w każdym razie Potocki wyjechał, i nigdy się już nie pojawił.

Już po śmierci starego Weimara mój kumpel, Jurek Potocki, wnuk Weimarowej, opowiadał że znalazł u siebie na strychu mundur żołnierza Wehrmachtu. Wtedy nie dopytywałem, teraz już nie mamy kontaktu, trochę żałuję. Mogło mu się coś pomylić, Jurek znawcą militariów nigdy nie był. A nawet jeśli, to przecież co zwykli poborowi mieli do gadania? Wiesz przecież jak to z pradziadkiem było, i z jego bratem, i z młynem, i tą całą, całą resztą.

Wiesz co, dalej nie daje mi spokoju ta Pienkowska, zresztą stara Szmitowa z Bayerową i Weimarową też się raczej nie znały. Dziwne jakieś to zdjęcie, ten fotograf coś wymyślał. No nie, nie wiem jak. Albo naprawdę miał takie szczęście. Wiesz, że wszystkie cztery mu się tak akurat ustawiły, tak aby zdawało się że stoi za tym coś więcej, że to ma jakieś niby przesłanie mieć, czy coś. A to tylko zwykły przypadek, tylko tyle.

Arek Szpak

Urodzony w 1977 r. Z wykształcenia kulturoznawca międzynarodowy, z zamiłowania kinofil – nieregularnie pisze bloga o filmach no hay banda ([https:// arekmabloga.blogspot.com/](https://arekmabloga.blogspot.com/)), mieszka w Gryficach w zachodniopomorskim, sprzedaje paszę, koncentraty i karmę dla zwierząt.



W pewnym sensie

Rzuciła go w tamten weekend, gdy umarł papież. Choć jak się nad tym zastanowić, to rzuciła go tydzień wcześniej, ale wówczas nie przyjął tego do wiadomości, chciał jeszcze porozmawiać i właśnie w tamten weekend, gdy umarł papież, rozmawiali po raz ostatni. Dwa tygodnie wcześniej wrócił z Irlandii, w której planował spędzić siedem miesięcy, a był tylko cztery dni. Pół roku wcześniej oblał studia i powiedział rodzicom, i jej również, że na wiosnę poleci do Irlandii, do starszego brata, który pomoże mu znaleźć pracę. Tak naprawdę wcale nie chciał lecieć do Irlandii, ale po tym jak oblał studia, wiedział, że musi coś postanowić, coś dorosłego, a ponieważ był październik i na wiosnę brzmiało wystarczająco odległe, więc postanowił właśnie tak. W marcu poleciał do Irlandii i zgubił telefon na lotnisku w Dublinie, czego jego starszy brat nie potrafił mu wybaczyć i, po czterech dniach kłótni z nim, piątego wrócił. Tak naprawdę wcale nie była jego dziewczyną. Tzn. trochę była, a trochę nie była. Mówiła mu, że go kocha w pewnym sensie. Choć zwykle nie mówiła tego przez telefon, a przez telefon rozmawiali najczęściej. Twarzą w twarz rozmawiali jedynie latem, gdy przyjeżdżała na wakacje do swojej babci. Tak się poznali. Siedem lat przed tym jak umarł papież. Mieszkała na Śląsku, a jej babcia na Pomorzu, w tej samej wiosce, co on, i jednego dnia w sierpniu przedstawił ich sobie jego kolega Jarek. Polubili się i często spotykali. Chodzili razem na spacer do lasu i rozmawiali o książkach, najchętniej o dziewiętnastowiecznych rosyjskich powieściach. Pomagał jej przynosić wodę ze studni i robił składanki na kasetach magnetofonowych. Z czasem zaczął pisać wiersze z myślą o niej. Po czterech latach ich znajomości ona nieoczekiwanie związała się z Jarkiem, po czym, po kolejnych dwóch latach, rozstała się z Jarkiem i związała z nim. Tzn. tak jakby związała się z nim, bo nie chciała, aby wiedzieli o tym inni i pozwalała całować się oraz trzymać za dłoń jedynie wówczas, gdy nikt nie widział. Na więcej się nie zgadzała. Raz tylko wsunął rękę pod jej dżinsy, aż wyczuł włosy łonowe. O ich związku mówiła nasza relacja albo nasza dziwna relacja. To było w te wakacje przed poprawkową sesją, gdy oblał studia. W esemesie napisała, że i tak jest z niego dumna, a gdy później zdradził, co postanowił, że na wiosnę zamierza polecieć do Irlandii, uznała to za dobry pomysł i powiedziała, że będzie bardzo tęsknić. Ale gdy wrócił i zadzwonił do niej ze stacjonarnego, usłyszał dystans nieco inny niż często wcześniej. Początkowo mówiła, że to nic, że wydaje mu się, jednak w kolejnej z rozmów powiedziała, że muszą poważnie porozmawiać o ich relacji,

a potem, że spotyka się z kimś. To było właśnie wtedy, gdy umierał papież, świat płakał i wszędzie panowała odświętna, żałobna atmosfera. W sobotę rano, nim zadzwonił do niej po raz ostatni, pojechał rowerem do miasta i widział, jak na rynku organizowano uroczystość z okazji nadchodzącej śmierci papieża: instalowano telebim i mikrofony, rozstawiano namioty i budki z jedzeniem oraz dewocjonaliami. Po południu zadzwonił, a ona zaczęła, że nie może zbyt długo rozmawiać, bo papież umiera i na 18:00 wybiera się ze znajomymi do kościoła, a on zirytował się, bo wiedział, że nie jest szczególnie religijna, że do kościoła chodziła dotąd jedynie w sytuacjach, gdy nie miała wyjścia, a gdy kilka lat wcześniej papież przyjechał z pielgrzymką, to oboje nawet trochę nabijali się z tych wszystkich ludzi w telewizji, krzyczących: kochamy cię! kochamy cię!, ale nic nie powiedział. Tylko żeby ona po raz ostatni powiedziała mu, że go kocha, nawet w pewnym sensie lub na swój sposób, wszystko jedno, ale ona powiedziała, że nie, że przeprasza, ale tak nie można, a potem jeszcze, że musi już iść i że będzie się za niego modlić.

Dziadek

Był w wieku mojego brata i we wczesnej młodości często kopaliśmy tę samą piłkę na boisku i u tych samych znajomych oglądaliśmy filmy na wideo. W dzieciństwie koledzy nadali mu przydomek Dziadek. Nie wiem dlaczego, chociaż kiedyś pewnie wiedziałem. Gdy miał trzydzieści lat i już rozpił się i zniszczył, zginął w pijackim amoku, w tragicznych okolicznościach, o których aż trudno pisać. Dużo wcześniej, w wieku lat dwudziestu, może trochę później, kiedy wciąż jeszcze miał przyszłość, miał też dziewczynę w jednej z sąsiednich wiosek i gdy któregoś dnia, w niedzielę, pojechał do niej rowerem, złapał go w drodze ulewny deszcz. Kiedy po blisko dziesięciu kilometrach dotarł do celu, buty miał w całości przemoczone, wewnątrz i na zewnątrz, a tak bardzo chciał zrobić korzystne wrażenie, że w ostatniej chwili zawrócił do domu, po suche skarpetki na zmianę.

Chłopaki z wioski opowiadali o tym przez kolejne lata.

Pęknięcie

Widziałem go dwukrotnie, pierwszy raz, gdy przywiozłem na wymianę kasetę z gramami na Commodore, drugi, dwa tygodnie później, gdy pojechałem po jej odbiór. Był znajomym Łukasza, kolegi z klasy, który mieszkał w tym samym co on bloku, ale w klatce obok. Nie pamiętam dobrze szczegółów. Łukasz raczej nie grał w gry, nie sędzę, ale miał tego znajomego i zorganizował nam wymianę. Pojechałem do niego rowerem, nie zaprosił do domu, wyszedł na klatkę z kasetą, dałem mu swoją, a dwa tygodnie później pojechałem raz jeszcze, ale nikt nie otwierał, gdy pukałem do drzwi. Wcześniej w szkole powiedziałem Łukaszowi, aby mu przekazał, że przyjadę i byliśmy umówieni. Potem czekałem na ławce przed blokiem. Od czasu do czasu wsiadałem na rower, aby pojeździć po osiedlu, zabić czas, wracałem i pukałem znowu. Nie wiem, dlaczego tak zależało mi, aby odebrać gry koniecznie tamtego dnia, ale prawdopodobnie mój brat na to naciskał. Komputer był nasz wspólny i gry też, a brat był starszy i dużo naciskał. Była wiosna, dzień w środku tygodnia. Zapamiętałem obrazy: ludzi wracających z pracy, wynoszących śmieci, słońce za chmurami, pomarańcz ścian, zieleń trawników, gwar, ale też niepokój. Czy dlatego, że od początku wiedziałem, że tylko udaje, że go nie ma? Potem pukałem tak długo, aż zwróciłem uwagę sąsiadów. Wyszli na klatkę, nieufni jak stare koty, wrogo, z pretensjami, bo hałasuję i jestem obcy, ale dzięki nim i on w końcu otworzył. Zwróciłem mu pożyczoną kasetę, poprosiłem o swoją, a on przyjrzał się tej, którą mi dałem, dostrzegł na niej jakieś zadrapanie czy pęknięcie, powiedział, że zniszczyłem i że nie odda mojej, dopóki nie odkupię tej jego. Zamknął drzwi, a ja bałem się pukać ze względu na sąsiadów. Wyszedłem przed klatkę i usiadłem na ławce. Wiedziałem już, że był sam i czekałem na powrót jego rodziców, ale czas mijał, a żaden dorosły nie nadchodził. Przetawiłem rower i poszedłem do Łukasza, który nie pomógł. Powiedział, że aż tak dobrze go nie zna i nawet gdyby z nim porozmawiał, to nic by to nie dało. Był to drugi raz, kiedy byłem u Łukasza w domu. Wcześniej przyszliśmy do niego z grupą kolegów z klasy, w jakiś piątek po odwołanych lekcjach i oglądaliśmy na wideo „Powrót człowieka z bagien” z Heather Locklear. Łukasza wychowywała tylko mama, była miła, również za drugim razem. Pamiętam jej drobną sylwetkę, fryzurę, trwałą, oraz że uśmiechała się dużo i proponowała mi herbatę, ale odmówiłem. Byłem zdenerwowany i śpieszyłem się. Wróciłem przed klatkę, poszedłem zapukać raz jeszcze, jednak w ostatniej chwili zrezygnowałem. Nie było mnie w domu kilka godzin i martwiłem się

reakcją rodziców, wsiałem na rower, pojechałem, ale mniej więcej w połowie drogi zawróciłem. Najpierw pukałem, potem uderzałem pięściami w drzwi. Sąsiedzi na szczęście nie wyszli, ale on tak. Powiedziałem, że jest złodziejem i nie ruszę się stąd, dopóki nie odda kasety z gramami, mogłem mieć łzy w oczach, może nawet płakałem. Tym razem nie zamknął drzwi, a tylko przytknął, po chwili wrócił z kasetą, ale nim oddał, położył ją na podłodze w przedpokoju i przyciskał stopą tak długo i mocno, aż usłyszeliśmy pęknięcie.

Mały skandal

Poznałam go, gdy miałam 15 lat i przyjechałam na lato do babci, on miał wówczas 24, Zbyszek na imię i był synem mieszkających po sąsiedzku gospodarzy. Poszliśmy razem na zabawę w remizie. Niewiele z niej zapamiętałam, przed wejściem, na ławkach, wiejskie dziewczyny w dzinsach i z szeroko rozstawionymi nogami, a w środku papierosowy dym, lodówkę w kącie sali, z lodami i wódką, wyszorowany parkiet i biegające dzieciaki, szczęśliwe w zabawie jak szczenięta. Z drogi powrotnej, że dużo mówiłam, rozśmieszałam go, ręce splecione, spocone, i bliżej domu buziak, buziaczki. Był wyższy o półtorej głowy z pociągłą chłopięcą twarzą i krótko przystrzyżonymi włosami, oczy zawsze nieco rozszerzone, jakby był w strachu lub zdziwiony. Następnego dnia przyniósł mi szarmancko kwiaty. Nie podobało się to ani babci, ani mojemu bratu Lucjanowi, starszemu o rok. Dziadek żył w swoim świecie. Babcia mówiła, że to zły chłopak, że mnie zseksuje, chodziła na pocztę, do telefonu i skarżąc się, dzwoniła do mamy, do Katowic. Zbyszek niewiele z tej niechęci robił, wchodził do domu dziadków jak do siebie, czasem pomagał, wody i drzewa przyniósł, siadał przy kuchennym stole, herbatę sładził trzema łyżeczkami, ja też, żeby być bliżej. Ale w wiosce gadali, że za młoda jestem i babcia kategorycznie zabroniła, a Lucjan kategorycznie pilnował. Raz, pamięta, przepychanka na ganku: Zbyszek na zewnątrz, ja wewnątrz, a Lucjan między nami, jak tarcza pryszczata. Trzy dni byłam grzeczna, prawie zawsze przy babci, nie wychodziłam, chyba że do studni albo wychodka, oddzieleni jedynie cienką siatką mogliśmy się wówczas spotkać konspiracyjnie, poszeptać, dotknąć opuszkami palców. Czwartego dnia babcia z Lucjanem pojechali do miasta, a my spotkaliśmy bez siatki, ale niewinnie. Spacerowaliśmy polną drogą trzymając za ręce, dużo mówiłam, rozśmieszałam go znowu, po bokach stokrotki, dzikie gruszki, później u niego telewizja i on trochę mnie objął, a trochę głaskał po lewym ramieniu. Jedno gorsze wspomnienie, to jeszcze nim babcia kategorycznie zabroniła. Umówiliśmy się, przyszedł spóźniony trzy godziny i pijany jak dorosły. Płakałam, a następnego dnia nie rozumiał nawet, nie pojmował dlaczego jestem zła i to wciąż było to gorsze. We wrześniu poszłam do liceum, a on pisał mi czułe listy z błędami ortograficznymi. Często też dzwonił, ale w miarę jak czas mijał, mój entuzjazm słabł, czego za bardzo nie ukrywałam, młoda i okrutna. Przestał więc pisać i dzwonić. Minęło. Lato zapisało się w rodzinnej historii jako te, w którym wywołałam mały skandal w wiosce dziadków i taty. Następnym razem spotkałam

go, gdy przyjechałam do babci na okoliczność osiemnastki. Ktoś mu powiedział, przyszedł w ładnej koszuli i za bardzo w zapachu Old Spice. Znowu przyniósł kwiaty. Rozmawialiśmy kilkanaście minut przed gankiem, byłam zdystansowana, miałam już wtedy chłopaka, a Zbyszek po trzech latach pytał czy wiem, czy pamiętam dlaczego przestał dzwonić. Nie wiedziałam, a on że w trakcie ostatniej rozmowy, zapytałam: Czy myślisz, że w liceum nie ma fajnych chłopców? Jakoś tak. Serce pękło, zapamiętał na zawsze. Potem znów prawie nie przyjeżdżałam, a jeśli już to Zbyszka nie było, bo przestał w końcu wchodzić do moich dziadków jak do siebie. Od babci wiedziałam, że gospodarstwo sąsiadów upadło, sprzedali pola i sprzęty, ojciec zachorował, zmarł. Zbyszek pił coraz więcej, aż wreszcie już tylko pił. Z jedną dziewczyną, sierotą ponoć, żyją teraz w konkubinacie u jego matki, stoczeni, przepijają jej rentę. Ale ostatni raz widziałam go nim jeszcze zaczęło się najgorsze. Miałam wówczas trzeciego chłopaka – tego najgorszego, czwartego licząc ze Zbyszkiem – i włosy w rudym kolorze. Przyjechaliśmy rodziną do dziadków na Wigilię. W wiosce nie było prądu, tak mocno wiało. Zbyszek, jak niegdyś, siedział przy stole, obok też wujek Marian i ciotka Maria, z Lucjanem mówiliśmy na nich trójkąty, długo by tłumaczyć. On przyszedł chyba z życzeniami. Zbierał się już, gdy weszliśmy cali w śniegu, jak w świątecznym stereotypie. Babcia w fartuchu przy piecu smażyła na dwie patelnie karpia, podsmażała pierogi, dziadek w swetrze w arabskie wzory, tym samym od lat, po prostu był, tak jak świeczki na stole i kredensie. Weszliśmy, ściągnęliśmy płaszcze, buty, rękawiczki, przywitaliśmy, tylko Lucjan się ze Zbyszkiem nie przywitał, bo mu niechęć została na zawsze. Powiedziałam cześć i wesołych świąt, ale ledwie go widziałam w tym półmroku, zamieszaniu i stresie, onieśmielona patrzyłam nie wprost, ale obok niego, niby roztargniona, a on, nim wtedy wyszedł, powiedział mi jeszcze: Dziecko, nie farbuj się. To cię postarza.

Twarda laska. A love story.

Nazywał się Sławek i był moim pierwszym oficjalnym chłopakiem, a nieoficjalnie drugim. Kiedy się poznaliśmy, miałam szesnaście lat, a on dwadzieścia dwa, Poloneza i kolekcję komedii na dvd: „American Pie”, „Straszny film”, „Eurotrip”, „Stary, gdzie moja bryka?”, „Twarda laska”. Lubili go u mnie w domu, jakby był najlepszym, co mogło mnie spotkać i kiedy zerwaliśmy, wciąż słyszałam, jak źle robię, to zeszliśmy się jeszcze na jedne wakacje, gdy grupą znajomych pojechaliśmy pod namioty. Pranie robiliśmy w rzece pod lasem i siedząc w nocy przy ognisku, jak w horrorze z lat 80. opowiadaliśmy niby straszne historie, piliśmy wódkę i piwo, czasem mocno przesadzając. Jeden, który nie przesadzał, Wawrzyn, grał na gitarze: Chłopcy z Placu Broni, Rezerwat, Wilki, dziewczyny śpiewały, Sławek wymiotował. Spędziliśmy razem sześć lat i była to bardzo kumpelska relacja, częściej w grupie i w zabawie, w drodze, choćby tylko do knajpy, dlatego ciepło ten okres wspominam. On przeciwnie. Niedawno usłyszałam od Wawrzyna, że Sławek mówił, że żałuje czasu, który we mnie zainwestował i że powinien był uderzać do Mai, młodszej siostry Oli, która długo była moją najlepszą przyjaciółką – i wciąż jest, ale teraz rzadko rozmawiamy, a byliśmy prawie nierozłączni. Jak w długi sierpniowy weekend 2003 roku, gdy we dwie tylko pojechałyśmy do Międzyzdrojów, rodzicom skłamałyśmy, że wybieramy się większą ekipą, wynajęłyśmy domek kempingowy, z zewnątrz śliczny jak z reklamy czekolady albo jak marzyłyśmy na plaży, czekając od trzeciej nad ranem na wschód słońca, na próżno, bo tylko posnęłyśmy. Dokładnie to usłyszałam o tym przed dwoma miesiącami, gdy po raz pierwszy jako mężatka odwiedziłam stare śmiecie i zabrałam męża do Pieczary, gdzie spotkaliśmy Wawrzyna i Klasera i przy piwach Wawrzyn opowiadał, niby już bez pretensji, ale sama nie wiem, jak długo miał do mnie żal, że zostawiłam Sławka i rozwaliłam wszystko, że przeze mnie Sławek pił później więcej, niż pił wcześniej albo że umawiał się z niewłaściwymi dziewczynami, przewrócił na motorze, złamał nogę, stracił prawo jazdy – wszystko przeze mnie.

Poznaliśmy się w trakcie szkolnej imprezy, mikołajków. Nie był miejscowy, przyszedł z grupą znajomych. Piliśmy wino w szatni, ja ze swoimi, on swoimi, chociaż z moimi po części też, bo kątem oka widziałam, że jak z dobrą znajomą rozmawiał z Olą, która była

z mojej klasy, ale nie byliśmy jeszcze zżyte, mimo że mieszkała niedaleko, niedługo później dopiero. Oparty o ścianę z rękami w kieszeniach i gumą w ustach, zwrócił moją uwagę, bo śmiał się z czegoś głośno, a ja słyszałam, że robi to dla moich uszu. W dzinsowej katanie, za lekkiej na grudzień, z twarzy prawie jak Eminem, zagadał mówiąc coś jak: cześć dziewczyna, cześć piękna lub cześć młoda, a potem rozmawialiśmy długo, ze sobą i innymi, bo szybko zrobiła się nas spora grupa. Czasem wychodziliśmy na dwór, dwójkami lub czwórkami, za śmietnik, na papierosy, on palił Viceroye, ja niebieskie LM-y, padał śnieg, jak baśniowy w blasku latarni, tam zapytał czy zgodzę się na randkę. Umówiliśmy się na placu przed biblioteką, na 17:30, tylko że spóźniłam się na autobus, ostatni, którym mogłam zdążyć na czas i pobiegłam, cztery kilometry, w śniegu, mrozie, ze łzami w oczach, o których nie wiesz w takich momentach czy są bardziej ze złości, czy z zimy, ale kiedy dotarłam na miejsce, już go nie było. To pojechałam z powrotem, nie do siebie, ale przystanek dalej, który jest dwa kroki od Oli. Znałam jej dom i ją z widzenia jeszcze nim się okazało, że jesteśmy z tego samego roku. Jest naturalnie ruda, z jasną cerą i piegami, uśmiechnięta, zwracała uwagę i lubiłam, że jesteśmy w tej samej klasie, odetchnęłam parę razy głęboko, zapukałam, otworzyła. W przedpokoju obkoczył mnie Roland, owczarek niemiecki, z którym potem często chodziliśmy na spacer do parku niedaleko, raz się zgubił, był strach i łzy w oczach, ale znalazł, bo tylko pobiegł za zaprzyjaźnioną suką, naprawdę łagodny był jak rozjemca. Ola też nie miała numeru do Sławka, ani nie wiedziała, gdzie mieszka, nie znali się tak dobrze, tyle że zagadywał do niej kiedyś na urodzinach koleżanki, ale zaangażowała ją moja historia o randce, na którą nie dotarłam, zaproponowała, że pójdzie ze mną i poszukamy Sławka razem. To poczekałam aż przebierze się, ubierze i pojechałyśmy razem do centrum, tą samą zatłoczoną dwunastką, w której wiosną, napierał na mnie facet w dresie i ze wzvodem. Kiedy indziej, w autobusie tej samej linii, onanizował się chłopaczek w okularach i czarnej bluzie z białymi paskami i wizerunkiem Bruce'a Lee. Ten drugi autobus nie był zatłoczony, a on siedział na samym końcu, prawie odsłonięty i wszyscy pasażerowie widzieli, słyszeli, ale nikt nie reagował. Znałam go trochę z widzenia, z autobusów i przystanków, i wtedy myślałam, że jest może upośledzony, ale nie był, chyba nie, bo widywałam go jeszcze, parę razy z dziewczyną z włosami jak Cindy Crawford, trzymali się za ręce. Jadąc do centrum mówiłam to wszystko Oli, a ona opowiedziała mi o facecie, który zaczepił ją na chodniku przy parku, jak wracała ze szkoły i pokazał 100 zł albo więcej i powiedział, że zapłaci, jeśli pójdzie za nim i pokaże

cipkę, nawet z daleka, na co zaczęła biec, wystraszona do utraty tchu i nikomu o tym nie opowiedziała, nawet Mai, tylko dopiero teraz, wtedy, mi.

Najpierw poszliśmy do Pieczary, w której nikogo nie było, to szukałyśmy dalej, w Kosmosie i Balladzie, bezskutecznie, ale w miarę jak wieczór trwał, mniej smuciła mnie randka, do której najwyraźniej nie dojdzie, a więcej czułam, jakby się to wszystko, to spóźnienie, Ola i że się dogadywałyśmy i chodzenie po kolejnych knajpach, a nawet świąteczne lampki w sklepowych wystawach, jakby się to wszystko działo trochę onirycznie. Jak w kinie, gdy nieznani sobie ludzie, prawie nieznani, para bohaterów, bohaterki, zmuszona jest spędzić noc w swoim towarzystwie, uciekają przed kimś albo szukają kogoś, cały czas w intensywnym ruchu, w życiu miasta, w którym wszystko jest jednocześnie bardziej realne i niezupełnie realne, jakby się śniło rzeczywistość. A na koniec zostawiłyśmy Zbójcejką Chatę, w której dostrzegłam Sławka prawie od razu. Też mnie zobaczył, jak stoję przy drzwiach razem z Olą i rozglądamy się w szalikach, czapki w śniegu, piegi i rumieńce. Podszedł, prawie podbiegł, przeproszał, że dłużej nie czekał, ja przeproszałam za spóźnienie, a on, że nie zaczekał. Był z chłopakami, z Klaserem i Wawrzynem i jeszcze jednym, zrobili dla nas miejsce przy stoliku, przedstawiliśmy się sobie wszyscy, zamówiłyśmy z Olą lekkie alkohole.

Czas niszczy wszystko

Na przykład kuzyn i rówieśnik mojej żony Jacek, z którym jako dziecko spędzała kilkakrotnie wakacje u babci na wsi i dogadywała się lepiej, niż z jego starszym bratem, Tomkiem. Raz na przykład, podczas popołudniowej zabawy w chowanego, ukryli się oboje w Sadzie Andrzeja, a Tomek z paroma miejscowymi dzieciakami szukali ich tak długo i bezskutecznie, aż nastał wieczór i przyłączyli się do szukających mocno zaniepokojeni babcia i dziadek oraz paru innych dorosłych, podczas gdy oni wciąż nie wychodzili – rozumieli, że chowając się tak długo, przekroczyli granicę i nie bez słuszności obawiali się gniewu dorosłych. A lata później, moja żona, już jako dorosła kobieta, przyjęła na Facebooku zaproszenie od Jacka i zobaczyła to zdjęcie, na którym dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony, pozował w marynarce i białej koszuli na tle flagi ze swastyką. Przeczytała też jego pełne gniewu wpisy o jednoznacznie faszystowskich treściach, które zgłosiła do administracji Facebooka i które wkrótce usunięto. Jak często w podobnych przypadkach, nie wiadomo jakie frustracje i jakie sny o sile sprawiły, że Jacek został neofaszystą, ale wtedy, w Sadzie Andrzeja, jeszcze ich na pewno nie miał. Moja żona pamięta, że, jak zawsze wcześniej, był miły, nawet opiekuńczy i pod koniec, gdy bała się najbardziej, trzymał ją za rękę. Pamięta też jego dużą grzywkę – aż za brwi, ogniste barwy nastającego wieczoru, rosę, mlecz, koniczynę, lipcowy zapach trawy i ziemi

Jakub Wiśniewski

Muzyk, tekściarz, na co dzień autor techniczny. Publikował m.in. w "Dzienniku Polskim", „Korporacji Ha!art”, "Wizjach", "Helikopterze", kwartalniku "KONTENT", "Interze-", "Obszarach Przepisanych", "Stonerze Polskim", "Popmodernie", "Zupełnie Innym Świecie". Finalista naboru do projektu "Pierwsza książka prozą 2020" organizowanego przez Biuro Literackie. Wokalista duetu Kirszenbaum, z którym nagrał w Polskim Radiu debiutancki album "Stypa komedianta" (Karrot Kommando, 2019).



Szambonurek. Robak

[fragment powieści pt. *Robak*]

One zawsze chcą. Moje ukochane. One zawsze chcą i nigdy nie mówią nie. I nie chcą nic w zamian. Nigdy, przenigdy. Bezinteresowne jak siostry miłosierdzia, jak drzewa i słońce. Nie potrzebują pieniędzy. Nie muszę się do nich uśmiechać, nie muszę ich głaskać, nie muszę przytakiwać. Nie muszę nic kupować, ani mówić, ani robić im dzieci. Nie czuję się jak klient, bo nie muszę za nic płacić. Nic nie muszę. One zawsze chcą.

W radiu mówią o nadchodzącym referendum. Propozycja projektu ustawy o wprowadzeniu kary śmierci, projekt ustawy o wprowadzeniu kary śmierci, ustawa o wprowadzeniu kary śmierci, głosowanie nad ustawą o karze śmierci, sejmowy pat, narodowy klinch, terminy, daty, debaty, mandaty. Opinie. Światopoglądy. Argumenty, biorące się znikąd i rosnące w głowie jak małe roślinki podlewane radiem.

Stoję na progu swojego mieszkania i jestem daleko, bardzo daleko. Jestem dalej niż wszyscy, którzy wyjechali. Być może jestem dalej niż wszyscy, co pomarli. Fale radiowe przenikają przeze mnie jak przez pierwszy lepszy płot, by nic po sobie nie zostawić i szukać innych, pewniejszych żywicieli, bardziej skorych do poświęcenia tego bezcennego, płochliwego zwierzątka: uwagi.

Myślę o moich ukochanych. Myślę o ich tandetnych, poprzekręcanych pseudonimach. Myślę o ich ukraińsko-amerykańskich życiorysach, o ich czesko-hollywoodzkich przeprowadzkach, o ich kalifornijskich apartamentach, o ich krótkich, rozedrganych karierach, drażących moją ciemność jak kolorowe flary, jak robaczki świętojańskie przynoszące fosforyzującą miłość.

Little Caprice, Lucy Li, Piper Fawn. Jak nazwy bóstw jakiejś różowej, lustrzanej mitologii, która powstanie dopiero w przyszłości, kiedy ktoś zacznie prowadzić wykopaliska w tym, co po nas zostanie – w dyskach, w serwerowniach, w historiach naszych przeglądark.

Myślę o tym, ile czasu pozostało mi do jutra, o której będę musiał się położyć i o której wstać. Zastanawiam się, co wpisać w wyszukiwarce. Czy rzucić się w nieznanne? Odkrywać nowe płaty mięsa, nowe uda, stopy, brzuchy, usta? Czy wziąć to, co już znam?

Wpaść w ciepłe ramiona, które już widziałem, które oglądałem, i wiem, co potrafią, i wiem jak, i wiem jak długo.

Znajdę coś nowego. Czasem trzeba wyjść ze strefy komfortu, w przeciwnym razie zahukałbym się na śmierć, zagonił w róg własnych, na wszystkie strony przebadanych odkryć. Ograniczyłbym się do kilkunastu, może kilkudziesięciu głosów, oczu, sylwetek, modląc się tylko o to, by pozostało z nich jak najwięcej, zanim się zestarzeją, zanim odejdą na tę mundurową niemal emeryturę, okryte chwałą, wyzute ze wstydu, wyciśnięte jak pomarańcze w sokowirówce, do końca, po same krańce, do ostatniej lepkiej, słonej, pachnącej kroczem kropli.

Tylko co tym razem wymyślić? Powraca problem, który powstał kilka samotnych lat temu i od tego czasu co kilka dni pojawia się znowu – to głupie, smutne uczucie: że widziałem już wszystko. Że przemierzyłem bezludne, opuszczone miasto Internetu ze wschodu na zachód, z południa na północ, i nic, absolutnie nic, nie jest mnie w stanie nawet zaskoczyć, a co dopiero zachwycić. Żaden kształt, żaden ruch, żadna nawet najbardziej pomysłowa, najpiękniejsza aberracja.

To zupełnie niemożliwe, wiem. To jak oceanograf twierdzący, że zbadał Pacyfik. Ale przecież ocean, w gruncie rzeczy, zawsze wygląda tak samo. Zawsze jest wodą, w takiej czy innej formie, tak czy inaczej się zachowującą, cieplejszą, zimniejszą, bardziej lub mniej słoną, ale wodą, wodą po horyzont.

To niemiłe uczucie i ciężko się go pozbyć. Trzeba skoczyć na główkę i drążyć na siłę, zmusić się do zachwyty, wymóc na sobie odczuwanie przyjemności. To tak, jakbym czuł wstręt do jedzenia, głęboko przekonany, że wszystkie smaki świata są mi już znane i żaden mnie nie zadowoli, ale nadal odczuwał wszechogarniający, niegasnący głód, taki głód, że mógłbym jeść drewno, kamień, metal, byleby tylko jeść, byleby żuć, byleby połykać, byleby trawić, i znowu gryźć, znowu ssać i mielić, rozcierać i gnieść.

A więc muszę zmusić się do chcenia. Potrzebuję przestać odczuwać brak potrzeby. Takim właśnie cyklem się to we mnie rusza, takim ruchem robaczkowym głowy, powoli, instynktownie, liniowo, jakbym był grzybem, ukwiałem czy meduzą. Nie mam zmysłów, nic nie słyszę, nic nie czuję, nic nie wiem. Mam mokrą duszę parzydełkowca.

POV. Może być POV. POV to dobry wybór na taki ciasny, zgniły wieczór jak ten. To dobre antidotum na wilgoć, hałas, śmiech. Niestraszny mi już smog. Nie grozi mi utknię-

cie w korku pod Wawelem. Nie będę musiał za nikim przepychać się w tłumie, ani ścisnąć żadnych dłoni, ani błagać o uśmiech. Wszystko, czego chcę, będzie tuż przede mną, patrząc mi prosto w oczy z uwielbieniem godnym psa.

Zatem nie Lily Ivy. Zatem nie Red Fox. Nie, dziś ruszymy w nieznane, wprost w grząskie połacie amatorszczyzny, i będziemy odkrywać twarz po twarzy, lok po loku, spojrzenie po spojrzeniu, przedzierając się przez całą dżungłę przypadkowej brzydoty, grubych płótek, pospolitych kurew, które marzą o powodzeniu Connie Carter czy Raven Rockette, albo o miłości nagrywających je partnerów, albo o zarobieniu więcej na kamercie, albo o *życiu pełnią życia*, cokolwiek to znaczy.

To ścieżka wymagająca zacięcia. Czasami trzeba przegrzebać całe sterty twarzy, żeby znaleźć tę właściwą. Strach pomyśleć, jak ogromne połacie złego materiału rozciągają się grubą warstwą po powierzchni sieci. Jest tego mnóstwo. Tak, to smutne, wręcz przerażające, i szczerze mi ich żal. Ile źle wymierzonych aspiracji. Ile błędów, chybień, złamanych luster. Naprawdę ciężkie przypadki.

No i oszustki. Świat roi się od oszustek, od profesjonalistek podszywających się pod amatorki, które psują całe doświadczenie, sprowadzając je do uczucia przeglądania półek w sklepie, czyli tego samego, co towarzyszy oglądaniu jakiegokolwiek innej, profesjonalnej taśmy. A przecież jeśli jest jedna rzecz, którą w amatorkach kochamy najbardziej, to jest nią właśnie poczucie oderwania się od wielkiego biznesu, od zawodowstwa, pieniędzy, wyrafinowania, od całej tej obliczonej i wymierzonej reżyserki, też oczywiście pięknej i potrzebnej, ale z czasem, siłą rzeczy, nudnej.

A one, pojawiając się w wynikach wyszukiwarek przez myląco otagowane pliki (powinni za to karać!), zabijają to poczucie. Rozpraszają uwagę (to bezcenne, płochliwe zwierzątko) i kradną ją dla siebie, lepszym oświetleniem, zręczniejszym makijażem, dyskretniejszą chirurgią plastyczną, większym doświadczeniem – całą tą paczką dodatkowych punktów, z którymi kiedyś przyszedł do nich wielki świat.

Żeby postawić sprawę jasno: archiwa obecnych profesjonalistek (byłych amateerek) są osobną kwestią. Każdy musi przecież jakoś zacząć, a Internet nie jest jak życie – tu nie ma przedawnienia. Wszystko tu przemija, ale nic nie znika. *Com powiedział, powiedziałem*, jak stwierdził wujek Piłat. Dlatego nietrudno trafić, choćby przypadkiem, na obecne celebrytki nagrane przed paroma laty, przy zerowych budżetach i w zupełnie

innych okolicznościach, co samo w sobie jest doświadczeniem napawającym wiarą w rozwój, wytrwałość i ciężką pracę. W ten sposób można również odzyskać dystans, który z upływem czasu niechybnie się traci. Można na powrót dostrzec, jak wielką rolę gra entourage, światła, pstryczki, wisienki na całym tym mięsnym torcie, bo, tak jak mówię, stosunkowo szybko się o tym zapomina.

Bardzo zabawne są starania producentów, aby takie archiwalne perły ukryć. Znikają, pojawiają się, znów znikają, by wynurzyć gdzie indziej. A przecież Internet to nie Związek Sowiecki. Tu nic nie ginie i nic nie da się cofnąć, odmienić ani zatrzeć: *com powiedział, powiedziałem*.

Czyli wchodzę do mieszkania i obmyślam plan. Zamknę drzwi, ściągnę buty i powieszę kurtkę. Stanę w miejscu, na środku korytarza, i na krótką chwilę wstrzymam oddech. Muszę się upewnić, że nikogo nie ma. Mieszkam sam, ale muszę się upewnić. Mieszkam sam i muszę wiedzieć, że jestem sam, sam jak penis, sam w najbardziej fizycznym, odczuwalnym sensie.

Kiedy będę już wiedział, kiedy będę wiedział, że jestem sam, przejdę do kuchni i odstawię torbę na krzesło. Podejdę do okna i wyjrzę na zewnątrz. Nie będzie tam nic wartego uwagi, więc postoję tak zaledwie chwilę i podejdę do zlewu, żeby umyć ręce. Osuszę je ścierką do wycierania naczyń i wyjdę z kuchni, przez korytarz, a potem do pokoju, cichszego, mniejszego i ciemniejszego niż reszta mieszkania, być może w ogóle ciemniejszego niż reszta mieszkań, a w pokoju będzie puste łóżko, nocna lampka, szafa, wieszak, krzesło, stół. Usiądę na krześle i sięgnę po laptopa, otworzę go i postawię na środku stołu, żeby na mnie czekał, a potem pójdę do łazienki nastawić pranie, pójdę do kuchni umyć naczynia, sięgnę do lodówki po wczorajszy obiad, i nie będę włączał radia, bo ile można słuchać debat o karze śmierci i reklam, a tak właśnie toczy się życie na antenie: kara śmierci, reklama, reklama, kara śmierci, piosenka, reklama, kara śmierci, reklama kary, kara reklam, śmierć piosenki, reklama.

Włożę talerz do mikrofalówki i nastawię na minutę, albo dwie, albo dwie i pół, bo nigdy nie chce się podgrzać, i oprę plecy o blat, wsłuchując się w mikrofalową mantrę i myśląc o moich długowłosych ukochanych, o ich drgnięciach, spazmach i językach, a z rozważań wyrwie mnie dopiero dzwonek podgrzanego makaronu, który wyjmę, próbując szybko przenieść go na stół, ale niechybnie parząc sobie dłoń talerzem, a potem

szybko, niedbale, bez smaku wrzucę go sobie w gardło, popiję szklanką zimnej wody przepuszczonej przez filtr, chociaż krakowską wodę nawet na tramwajach reklamują jako zdatną do picia, a potem włożę brudny talerz do zlewu i napuszczę odrobinę ciepłej wody, na którą przyjdzie mi czekać kilka długich sekund, a potem wrócę biegiem do łazienki, bo pralka zacznie piszczeć i nie będę wiedział czemu, więc wyłączę ją i włączę z powrotem, czekając aż małe czerwone światełko uspokoi się i zgaśnie, i wszystko będę robił szybko, bardzo szybko, zniecierpliwiony zgiełkiem świata, który wciska się we mnie swoją szarą, nieustępliwą masą, i przeszkadza mi w przejściu do rzeczy, przejściu do sedna sprawy, do nadzienia, do tego słodkiego błota, do roztopiania się w plusze, do rozchlapiwania się w rynsztoku, do roztopliwania się w mule, do nurkowania w szambie.

Bo być może to jest właśnie moje prawdziwe powołanie. Być może już od dawna jestem tym, kim powinienem być. Być może nikt nie ma prawa mnie sądzić, nawet ja sam, z moim sumieniem i myślą. Robak Szambonurek, nieustraszony eksplorator, nieustępliwy badacz, ekspert od zaślinionej treści, pornolog nadzwyczajny, adiunkt na katedrze erotologii uniwersytetu powszechnego, wyposażony w talent, zawziętość i szósty zmysł wykrywający zmysłowość z odległości kilometra, w ułamek sekundy odróżniający orgazm prawdziwy od symulowanego, twarz ładną od brzydkiej, pierś sztuczną od naturalnej, kobiecą ejakulację od zwykłego moczu, spędzający każdą dostępną chwilę na poszukiwaniu jedynej prawdziwej odmiany szczęścia, ku oburzeniu współczesnych, ku obrzydzeniu ludzi o delikatnych, suchych duszach, przed którymi muszę się ukrywać i z powodu których muszę wstrzymywać oddech po wejściu do własnego mieszkania, by móc się upewnić, czy aby na pewno jestem sam.

Bo być może tak właśnie ma być. Być może wcale nie powinienem wstydzić się siebie przed samym sobą, unikać luster, spuszczać głowy, zbierać cięgów od własnego sumienia. Być może to wszystko jest okej, a mój wstyd to przymusowy moralny zastrzyk zrobiony mi przez poprzednie pokolenie, szczepionka udzielona bez mojej zgody, podłana samotnością i poczuciem, że choć inni żyją inaczej, to są tacy sami jak ja.

Dopiero kiedy odepchnę od siebie cały ten niepotrzebny, codzienny znój, kiedy odgrzebię się z jedzenia, picia, prania, srania, sprzątania, planowania, wymieniania żarówek, płacenia rachunków, wszystkiego tego, co moi sąsiedzi uważają za życie, dopiero wtedy mogę przejść do sedna sprawy, do nadzienia, do nurkowania w szambie. Dopiero wtedy mogę wejść do mojej własnej, dobrowolnej klatki, którą budowałem całe lata, za-

mknąć się w niej na cztery spusty i być tak straszliwie wolny, jak tylko wolność może być straszna.

Mam dziś wyjątkowe szczęście. Już pierwsza twarz, jaką znajduję, jest niepowtarzalna. Apetyt wraca momentalnie. Czuję, jak wszystko we mnie rośnie. Czuję serce rozskakane jak dwumiesięczny pies. Czuję pot na dłoniach i mój własny oddech, szybszy, odważniejszy – po prostu żywy.

Jej twarz okalają długie blond włosy, pofalowane, ale nie kręcone, jakoś przedziwnie wymieszane w jeden, jasny obrus przykrywający policzki, ramiona, piersi, a ona gra smutną, taką jak lubię, mruży oczy w iście profesjonalny sposób, ale widać, że robi to wyłącznie instynktownie, że nikt jej tego nie nauczył, i widać, że stara się być wyrachowana, ale wyrachowana być nie potrafi, i to jest właśnie najśłodsze, najgorsze, najlepsze na świecie: niewinność, która wciąż jej się trzyma, chociaż porzuciła ją już dawno, dawno temu, w wieku, o którym nawet nie chce mi się myśleć, bo więdnę z obrzydzenia.

Kiedy trafię na coś takiego, kiedy wiem, że to jest to, zaczynam szukać innych źródeł. Robię to niemal machinalnie, bez poświęcania temu zbyt wiele czasu lub uwagi. W prostych przypadkach wystarczy trzydzieści, czterdzieści sekund, żeby upewnić się, czy można obejrzeć ją gdzie indziej.

W pierwszej kolejności należy sprawdzić konto, z którego został wrzucony film. Jeżeli nic tam nie ma, trzeba przekopać komentarze: ktoś na pewno już jej szukał, jest zbyt ładna, aby mogło być inaczej, a skoro ktoś jej szukał, to musiał coś znaleźć. Jeżeli jednak w komentarzach nie ma nic, żadnych imion, pseudonimów, galerii, linków, blogów, przenoszę się na któryś z portali detektywistycznych (bo tak właśnie powinno się je nazywać). Biorę link, nazwę filmu, czas trwania, profil, każdą informację, jaką tylko uda mi się znaleźć i szukam wątku, który może ją zawierać. Jeżeli film nie jest kompletnie świeży, czyli ma rok, dwa, trzy lata, a ona jest naprawdę warta uwagi, a w tym wypadku jest, musi istnieć co najmniej jeden wątek. Zazwyczaj jest ich kilka lub kilkanaście, w zależności od poziomu obsesji, jaką ktoś taki jak ona potrafi wywołać w ludziach takich jak ja.

Tym razem znajduję tylko jeden wątek, ale pozbawiony jakichkolwiek przydatnych informacji, jedynie bezużyteczne, żalotne komentarze napalonych samców, którzy chcą więcej, więcej, więcej. Ja też chcę więcej. Ale wygląda na to, że to niemożliwe. To

mógł być jeden, przypadkowy filmik, który jakimś cudem przeniknął do sieci. A może dzień po jego nakręceniu miała wypadek. A może nawróciła się na buddyzm i przestała kręcić.

To wszystko zajmuje pół minuty. Nie znajduję nic, jestem więc skazany na dokładniejszą analizę tego jednego, piętnastominutowego źródła. Być może to nawet lepiej. Czasami zdarza się, że po odkryciu drugiego, trzeciego, czwartego filmu, okazuje się, że materiał wcale nie jest tak ciekawy, jaki się wydawał. Że po prostu dobrze padło na nią światło. Albo lepiej się ubrała. Albo akurat odważyła się zrobić coś, co przeważało szalę na jej korzyść.

Ale tym razem mam tylko tę jedną, cudownie nakręconą scenę. Oczywiście nie oceniłem jej wartości po pojedynczej, wyrwanej z kontekstu klatce. Rzecz, którą również robię odruchowo: przewijam film do siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu procent, bo statystycznie to właśnie tam najczęściej przypada moment kulminacyjny, który nierzadko decyduje o atrakcyjności całego klipu. Dopiero wtedy stwierdzam, czy warto się w taki związek zaangażować.

Tym razem warto. Zostaję. Zdecydowanie zostaję. Przewijam trochę wcześniej, żeby sprawdzić, co jeszcze mnie czeka, i otwieram usta w zachwycie. To perła.

Nieco za wcześnie trafiłem na coś takiego. Teraz muszę odwołać się do silnej woli i trochę nad sobą zapanować. Opóźnienie przyjemności wzmaga ją po stokroć. Przewijam film z powrotem do początku i odkładam go na bok. Będzie czekał na sam koniec. Ona na to zasługuje.

O Boże, co za anioł, co za ślepy traf.

Oczywiście, teraz ciężko będzie znaleźć jakąkolwiek konkurencję. Wszystkie inne wydają się słabe, chude, brzydkie, sztuczne, głupie, jakby chciały tam być za wszelką cenę. Ona jest inna. Jest jak księżniczka w burdelu. Jakby jednocześnie wiedziała i nie wiedziała, co tam robi, co ma robić, jak ma to robić, jak mocno, jak szybko, i kiedy mocno, i kiedy szybko, a jej oczy przedzierają się przez to wszystko z niewypowiedzianym wdziękiem, jakby do samego końca subtelnie przypominając, z jak ogromnej wysokości spadła, jak długą i gwałtowną drogę w dół musiała przebyć.

To właśnie rzecz, którą rozpaczliwie próbują zachować w sobie profesjonalistki, tak długo, jak to tylko możliwe. Ten kontrast, ta jawna sprzeczność, połączenie dwóch biegunów, które rozpala szybciej, bardziej i prawdziwiej niż najobrzydliwszy finisz, niż najsroźsze, najbardziej finezyjne kształty przypominające projekt w autokadzie, nad którym tłum projektantów spędził lata.

I tę właśnie rzecz najtrudniej rozpoznać. Dlaczego? Bo najłatwiej na świecie można ją podrobić. Bardzo łatwo rozłożyć ją na poszczególne elementy, na specyficzny makijaż i wyraz twarzy, na delikatny, niewymuszony ton głosu, na lekko niezdarne, ale pewne siebie ruchy. Chodzi przecież o wrażenie, że oto na naszych oczach dokonuje się cud, że ona w najszczerzy z możliwych sposobów eksploruje samą siebie! Tak: co druga z nich próbuje tak wypaść, osiągając techniczne mistrzostwo na granicy aktorstwa i performansu, a jednak wychodzi z tego jedynie przeciętność, momentalnie tonąca w morzu podobnych jej aspirantek.

I to właśnie fakt, że wrażenie owo tak często pada ofiarą manipulacji, czyni je tak cennym, a moment, kiedy na nie natrafiamy, jest chwilą mistyczną, odkryciem na miarę Magellana.

One zawsze chcą. Moje ukochane. One zawsze chcą i nigdy nie mówią nie. I nie chcą nic w zamian. Nigdy, przenigdy. Bezinteresowne jak siostry miłosierdzia, jak drzewa i słońce. Nie potrzebują pieniędzy. Nie muszę się do nich uśmiechać, nie muszę ich głaskać, nie muszę przytakiwać. Nie muszę nic kupować, ani mówić, ani robić im dzieci. Nie czuję się jak klient, bo nie muszę za nic płacić. Nic nie muszę. One zawsze chcą. Choćbym nie wiem, co zrobił, choćbym nie wiem, co powiedział, choćbym nie wiem, jak żył – ani jedna z nich mnie nie zostawi. Żadna się nie obrazi. Nie mrugnie nawet okiem.

Nie wiem, czy którykolwiek z moich przodków byłby w stanie pojąć to błogostwieństwo. Nie wiem, czy którykolwiek z nich, z Attylą, Casanovą i Hugh Hefnerem na czele, wiedziałby, jak naraz objąć całe stado moich ukochanych, wyzwolonych z czci, wstydu i strachu, wyzutych z sumień, ubrań i dusz – tak nieskończenie wolnych, lekkich, czystych (właśnie tak: czystych), ale wiem na pewno, że gdyby sam Markiz de Sade miał przeżyć w swojej celi pięćset lat z dostępem do sieci, nie byłby w stanie pojąć nawet pięciu procent tej obrazkowej ewangelii, tego czerwonego koranu, tej arcylepkiej tory – spojrzalby tylko na nią i momentalnie, dostrzegając swoją porażkę (bo oto jego wy-

obrażnia przegrywa z rzeczywistością), przyjąłby dialektykę ludzi zrezygnowanych, mówiąc: *kiedyś, tak, kiedyś to było inaczej* (czyt. lepiej).

Odkładam moje dzisiejsze odkrycie do osobnego okna, przypinając kartę w przeglądarce, żebym przez przypadek jej nie zamknął. Będzie tam czekać na jedyny, najważniejszy moment. I zabieram się do pracy.

Zaczynam od wariantów zupełnie standardowych. Żadnych zwierząt, kalek, złotych przysznicy. Wbrew pozorom, każdy, absolutnie każdy scenariusz prędzej czy później może się znudzić.

Owszem, miałem okres, w którym potrafiłem skupić się jedynie na nowościach, na poszerzaniu granic, na własnej, nienasyconej ciekawości. Byłem jak dziecko: musiałem zobaczyć, co kryje się za rogiem. Widziałem wszystko. Widziałem rzeczy, na widok których na lewą stronę potrafią wywrócić się głowy, dusze i żołądki. Zapuszczałem się kursorem w dziury tak głębokie, że za samą w nich obecność z pewnością można dostać kilka lat. Oglądałem rzeczy, przy których Sodoma wygląda jak Watykan, a 120 dni nie wystarczy nawet na ich zaplanowanie, nie mówiąc o wprowadzeniu w życie.

A najśmieszniejsze jest to, że nadal nie znam granic tego, co można zrobić z ludzkim ciałem – żywym, martwym, umierającym, rodzącym się – nie znam i nigdy nie poznam. *I guess there's probably every kind of place you can think of*, mówi Cole u Cormaca McCarthy'ego. Rzecz w tym, że nigdy nie będziemy w stanie się dowiedzieć, o czym człowiek może pomyśleć.

I tak miałem kiedyś. A teraz wracam do korzeni. Nie cieszy mnie już potrójna penetracja. Straciłem nawet pociąg do bukkake (Oprócz japońskich. Japońskie są okej.) Zaczynam dostrzegać wartość w rzeczach prostych, ale dobrze nakręconych.

I dobrze się składa, bo od kilku lat obserwuję prawdziwy renesans. Nowe, profesjonalne studia wyrastają z częstotliwością krakowskich sklepów monopolowych i wszystkie oparte są na podobnej idei: przywrócenia przemysłowi piękna, dorzucenia świeżego, naturalnego materiału, pozbawionego silikonu, botoksu i kiczu, a przynajmniej wykorzystującego je w gustowny, profesjonalny sposób, dzięki czemu materiał staje się przystępny nawet kobietom. Nie ma tu miejsca na milfy, zużyte gwiazdy i przewiągane członki – jest za to o wiele więcej naturalności, piękna i pewnej delikatności,

pomimo subtelnego zachowania pierwotnych, hardkorowych zabiegów: twarzowych finiszy, kakaowych gier, gardłowych podbojów.

Zaczynam się rozkręcać. Znajduję klasyczny, kliszowy niemal lesbijski klip, pełen rudych włosów, śliny i jęków, ale nakręcony z perspektywy nuworysza, w nieudolnym, oszukany POV, gdzie wszystko skacze, tańczy, drży, a po dziesięciu sekundach trafiam w sam środek czteroosobowej, jednopłciowej bitwy, bez jakichkolwiek pocałunków, sama treść, samo sedno, ale to za szybko, to zbyt wiele, wracam wstecz, wyszukuję od nowa i trafiam na sam pocałunek właśnie, ale spływający potokami śliny, z czym wytrzymuję piętnaście, może dwadzieścia sekund, przewijając rzecz trzy razy, a potem wracam do jednej z pięciu świeżo otwartych kart, w każdej z których znajduje się inna twarz, inne piersi, inne drżenie nóg, i na każdej z kart wytrzymuję od pięciu do dwudziestu pięciu sekund, zawsze znudzony, zawsze dziecinnie ciekawy, co jest dalej, co jest potem, co kryje się pod tą, tą i tą obiecującą miniaturą, ikoną, banerem, i skacze, skacze wte i wewte, jak pobudzony makak, ćwicząc ruch gałek ocznych, które nigdy nie stoją w miejscu, wiecznie w poszukiwaniu wygięć, napięć, drgnięć i jakichkolwiek blasków świetlnych świadczących o rozkoszy, zmontowanej, podkreślonej, wyprodukowanej, nieważne, ach, te pokryte białym nektarem usta, ach te lśniące w świetle reflektorów uda, ach te ubaźrane oczy, te uzewnętrznione odbyty, te hektolitry śliny, te frykcyjne rytuały, ten udawany ból, ta gwałcona, zmuszana, gnieciona niewinność, jak ciasto na pierogi, jak sokowirówka, jak pieprzony walec, a wszystko ciśnie się na oczy, w rękę, w palec, żółte, białe, białe, żółte, czarne, czerwone, jak psy, jak małpy, jak krowy, w tym samym, zapętlonym tangu, po wieczność, po orgazmiczną nieśmiertelność, po wszystkie szczyty świata, po łechtaczki wielkości łokcia, po wodospady spermy, i tak oto się rozkręcam, rozkołysany w rozskrzypiałym krześle, rozkraczony w zorganizowanym rozbracie między mną i mną, między wielozadaniowością komputera, przeglądarki i wszechmogącej wyszukiwarki, między nastolatkami płonącymi jak benzyna i staruszkami rozplaszczonymi na planie jak worki solarycznego kleju, między nastolatkami całującymi staruszki, dzieci, psy, a ich brodatymi, grubobrzuchymi właścicielami, trzymającymi w ręku kamery, kamerzystów, aktorki, dzieci, widzów, i wszystko, co da się kupić, zjeść, wydalić i sprzedać.

I wtedy odzywa się dzwonek u drzwi.

Kto, do chuja.

Wyjmuję rękę ze spodni. Wycieram ją o ręcznik. Czekam. Nie wiem, kto to, ale może się pomylił. Zaraz sobie pójdzie. Zaraz znowu będę sam. Patrzę za okno. Mam mieszkanie na parterze. Wszędzie zostawiłem zapalone światła. Nie mogę udawać, że mnie nie ma. Ale czekam.

Spokój. Cisza. Wracam do laptopa. Biorę głęboki oddech.

Znowu dzwonek. I znowu, i znowu, i niesie się korytarzem jak alarm przeciwpo-
wodziowy.

Uderzam głową w klawiaturę i wykrzywiam twarz. Wstaję od stołu i wychodzę z pokoju. Dzwonek dzwoni jeszcze raz.

Otwieram drzwi, a w nich sąsiadka. Kobieta po trzydziestce, w czerwonym swe-
terku, ciasnych džinsach i włosach spiętych w luźny kok, nieco wyższa ode mnie, wypro-
stowana, dumna, zadbana i świeża, w uroczych trampkach w kwiatki, z czarnym pa-
skiem biustonosza wysuniętym spod sweterka na smaczne, białe ramię, i z czerwonymi
kolczykami, które kołyszają się jak piersi niezwykle energicznej diwy, tańczącej przed mo-
imi oczami jeszcze kilka sekund temu.

Stoję tuż przed nią, po drugiej stronie progu, i staram się spojrzeć jej w oczy, ale
zatrzymuję się na szyi, jasnej, gładkiej, nieruchomej, z małą zmarszczką rosnącą w kie-
runku ciekawie ukształtowanego biustu, który zawsze sobie wyobrażam, kiedy mijam ją
na klatce, a teraz wydaje mi się, że już go obliczyłem, scałkowałem i zeskanowałem,
przez czerwień swetra, przez czerni miseczek, i, dokonując tych obliczeń, wciąż staram
się spojrzeć jej w oczy, bo oczy też ma ładne, ale nie mogę, nie mam siły, albo po prostu
się wstydzę.

A ona mówi:

— O, jest pan, dobry wieczór, przepraszam, że przeszkadzam, ale bardzo potrze-
buję pomocy, mąż wyjechał, nie ma go przez kilka dni, a zupełnie zepsuł nam się kran
i woda leje się po podłodze, zaraz zaleję panu sufit, jeśli szybko tego nie naprawię, ale
nie wiem jak!

A ja patrzę na nią, kiedy mówi, i widzę, jak sweterek unosi się w rytm oddechu,
jak czerwona fala, w górę, w dół, w górę, i patrzę niżej, na jej brzuch i w końcu na
spodnie, opięte wokół jej nóg jak dzinsowa skóra, i zaczynam myśleć o wszystkim, co

po między, o wszystkim, co pod spodem, i o tym, którą z moich ukochanych przypomina najbardziej, i co potrafi, a co lubi, i wymyślam różne wersje, bo czasami potrafię myśleć bardzo, bardzo szybko.

– Pomoże nam pan?

Marszczę brwi, bo skąd to *nam*? I wtedy widzę, że zza jej trzydziestoparoletnich nóg wyglądają małe, przestraszone oczy jej córeczki, o której zupełnie zapomniałem, chociaż mijam ją codziennie, kiedy przywożą ją z przedszkola.

Teraz muszę coś powiedzieć. Teraz muszę coś powiedzieć. Mówię:

– Tak.

Idziemy na górę. Najpierw dziewczynka. Nie wiem, ile ma lat. Nigdy nie pytałem. Wygląda na małą. Patrzy na mnie, cały czas, ogląda się co dwa stopnie. Jest cicha, nieśmiała i ciekawska, z palcem w buzi, z oczami lemura, i na ślepo wyciąga rękę do matki, jakby była pewna, że ona zawsze tam będzie.

Dziewczynka patrzy na mnie bez wyrazu, niepewna, czy ma się bać, śmiać czy płakać, a ja patrzę na nią w dokładnie ten sam sposób i nie ma między nami ani krzty porozumienia, bo nasze puste, bezpłciowe spojrzenia odbijają się od siebie jak piłeczki golfowe.

Więc wracam wzrokiem do pośladków jej matki, która idzie tuż przede mną, na tyle blisko, żebym czuł jej zwykły, świeży zapach, ale na tyle daleko, żebym mógł docenić każdy kolejny stopień naprężający jej dżinsy do granic możliwości. I tylko ten pusty, dziecięcy wzrok, przyklejony do mojej twarzy jak deszcz, odbiera mi przyjemność i psuje wzniosłość tej chwili, właściwie nie wiem czemu, bo mam ten wzrok gdzieś i zupełnie mnie nie obchodzi, co dzieje się w tej dziecięcej, rudej głowie, tym bardziej, że nic nie mówi, więc się nie ma czego bać.

Mówi natomiast matka, i to sporo, a ja wcale nie jestem pewien, czy lubię jej głos. Czasami wpada w zbyt wysokie, piskliwe wręcz tony, a do tych nóg, do sweterka i piersi, do całej lalkowatości jej twarzy, pasowałby głos niższy, bardziej zmysłowy, może nawet lekka chryпка.

Trudno, nie ma co narzekać, będę musiał wytrwać, a póki co wspinam się po schodach, w tempie dyktowanym przez niemą latorośl, wpatrzony w uda jej matki, z

myślą kursującą między tym, co widzę, a tym, co oglądałem jeszcze chwilę temu, żeby połączyć to wszystko w jeden śliski, ale w miarę spójny obraz.

Jej mąż wyjechał, a dziecko nie potrafi mówić. Zaczynam wymyślać scenariusz. Właściwie kilka scenariuszy naraz. Czasami potrafię myśleć bardzo, bardzo szybko.

Gdybym był reżyserem. Kamerzystą. Oświetleniowcem chociaż. Wiedziałbym, jak wydobyć z niej wszystko, co najlepsze. Wiedziałbym, co ma robić, i komu, i jak. Wszystko bym wiedział. Wszystko bym zaplanował. Z pewnością profesjonalisty. A przecież wciąż pozostaje tyle niewiadomych: jak ona wygląda, kiedy to robi? Czy mówi, czy szepcze, czy płacze, czy się pręży, czy zwija, czy trzęsie, czy drapie – cholera, tyle pytań, tyle opcji, taka ciekawość, ciekawość niemal zawodowa!

Wspinamy się po klatce, jesteśmy już prawie przy jej drzwiach, niezamkniętych, uchylonych, a ze środka wylewa się żółte, rodzinne światło. A ja ze wszystkich scenariuszy wybieram jeden, i trzymam się go w głowie, wzmacniając pewność, że to właśnie on, że to on jest najwspanialszy i wykorzystuje jej potencjał, wykorzystuje jej mięso, wykorzystuje jej zdolności, których niechybnie ma sporo, choć zapewne się wstydzi, zapewne potrzebuje kogoś, kto ją uruchomi, kto włączy ją jak elektryczny grzejnik, podepnie ją do prądu i zrobi jej te wszystkie wspaniałe rzeczy, jedną po drugiej, powoli, powoli, szybko, najszybciej, aż do końca, pierwszego, drugiego, kolejnego, bo przecież żaden z tych końców nie jest końcem naprawdę, tylko na chwilę, żeby znów biec za kolejnym.

Ale to wszystko czysta teoria. Mrzonka, fantazja, mokry sen psa. I mina mi rzednie, kiedy wchodzimy do mieszkania, brązowego, różowego, pachnącego chlebem, a ja uświadamiam sobie, że nigdy do niczego nie dojdzie, ani dzisiaj, ani jutro, ani nigdy, a ona zawsze będzie sąsiadką z góry, której trzeba naprawić kran, kiedy męża nie ma w domu, aż się w końcu zestarzeje, sflaczeje i da mi spokój, harpia jedna, sukkub, bezwstydną kusicielka.

I czuję, jak narasta we mnie gniew, na siebie, na nią, na gówniany sposób, w jaki to wszystko zostało pomyślane, że oto ja muszę siedzieć tam, na dole, ugniatać sam siebie jak stare, spleśniałe ciasto, wyciskając z siebie resztki życia, a ona chodzi sobie po świecie, ba, po mojej klatce, jak gdyby nigdy nic, i wcale, ale to wcale mnie nie potrzebuje, zupełnie jakbym był jakimś cholernym darmowym hydraulikiem, który nigdy nic nie chce w zamian.

Otóż: chce. Tak, chcę czegoś w zamian. Chcę w zamian ją, całą, i chcę ją tak, jak każdą z moich ukochanych, bez oporu, bez sumienia i bez kompromisu. Chcę.

Tylko, kurwa, nie mogę. I to jest chore. To jest najzwyczajniej w świecie chore, bo tak nie powinno być, że nie decydujesz ani o tym, czego chcesz, ani o tym, co możesz, a do tego zawsze chcesz więcej niż możesz, i nie możesz chcieć mniej, i nie możesz móc więcej, bo chcenie dokonuje się poza tobą, bez ciebie, kiedy leżysz nieprzytomny, nieobecny, sparaliżowany – właśnie wtedy ktoś decyduje o tym, co cię zgubi.

Myślę tylko o tym, że zostawiłem włączonego laptopa z podniesioną klapą, z otwartymi sześcioma oknami i kartami, których nie potrafię nawet zliczyć, i jak ktokolwiek zobaczy, co jest choćby na jednej z nich, to mnie pobije, zabije, spali i zje.

I mam w dupie ten jej pieprzony kran, i to dziecko, i to spocone, przytulne, miękkie, ciepłe mieszkanie, w którym czuję się jak jaszczurka, albo pająk, albo inny robak. Ale ona prowadzi mnie prosto do kuchni, w której jest mokro, bo woda rzeczywiście leje się ciurkiem na podłogę, i rzeczywiście mogła zalać mi mieszkanie, ale to też mam gdzieś, bo chcę tylko wrócić do siebie, skoro jej nie mogę nawet dotknąć, nawet musnąć – mogę tylko zerknąć, kiedy nikt nie patrzy (z wyjątkiem tej niemej, rudowłosej larwy przy jej nodze).

Weszliśmy do kuchni, gdzie wszystko jest drewniane, ceglane, kwieciste i ciepłe, oprócz tej wody na podłodze, na której kładą wielką, lnianą reklamówkę z jakiegoś bio-sklepu ze zdrową żywnością i każą mi klękać, żebym mógł się schylić, wsadzić głowę pod zlew i naprawić wyciek, który zagraża ich rodzinnej homeostazie.

A ona cały czas mówi, cały czas, aż mam ochotę zatkać jej usta, położyć na tej reklamówce, na tej wodzie, na mokrych płytkach, i zdjąć z niej ten cholerny czerwony sweter, w tej temperaturze jest zupełnie przecież zbędny, ale nie: słucham się, korzę, posłuszny, grzeczny i cichego serca, i klękam na reklamówce, i wsadzam głowę w szafkę, i zaczynam zakręcać zawór kulowy, który po prostu się zaciął, i nie trzeba nawet żadnego klucza, tylko odrobinę siły, którą, tak się składa, mam, tylko wolałbym wykorzystać ją w zupełnie innym, choć równie mokrym celu, ale nie: zakręcam zawór i biorę się za uszczelnienie poluzowanej rury, biorąc w moje grube palce resztki konopii, która jeszcze ostała się na gwincie.

Woda przestaje cieknąć. Ona piszczy w zachwycie. Córeczka nadal milczy, ucze-
piona jej nogi jak owłosiona huba. Zakręcam rurę tak mocno jak mogę i widzę, jak
pierwsza kropla zbiera się na niej w przeciągu dwóch, trzech sekund.

Ona dziękuje, jest cała rozpromieniona, zaraz zacznie skakać.

Mówię:

– To długo nie wytrzyma, trzeba wymienić uszczelkę.

– To nic, to nic – mówi, – ważne, że teraz już nie cieknie, mój mąż potem się tym
zajmie.

Szczebiocze jak zielona czirliderka, a ja podnoszę się z kolan, wyciągam głowę
spod zlewu, prostuję się, przeciągam, wycieram dłoń o spodnie i patrzę na jej biust. Eg-
zotyczny krajobraz. Niedostępne góry. Tapeta z Windowsa.

Ona coś tam dalej mówi, że ma u mnie dług, że się odwdzięczy, ale mówi coraz
mniej i coraz wolniej, aż nagle zacina się w miejscu, chrząka i zaczyna bezładnie krzątać
się po kuchni, omijając ogromną kałużę na środku. W którejś z szuflad znajduje ostatnią
suchą szmatę i rzuca ją na płytki, żeby wchłonęła wodę. Rozgląda się dookoła, w lewo,
w prawo, szuka czegoś, kręci głową, miesza się i patrzy w sufit.

A moje ręce zwisają wzdłuż mojego ciała jak dwa złamane kije. I mógłbym ich
użyć, albo chociaż coś nimi poczuć, czegoś dotknąć, coś posiąść. Ale nie. Jestem opano-
wany. Tylko nie mogę przestać na nią patrzeć.

Właściwie już zapomniałem, jaką miała twarz. Tylko te dzinsy, cienkie jak jakaś
na wpół przezroczysta niebieskawa błona, opinają się wokół niej i drażnią mi oczy, z
każdym ruchem coraz bardziej.

A ona chyba to widzi, bo przestaje trajkotać. Jej córka milczy i milczę też ja, więc
w kuchni momentalnie zapada głupia, rozplaskiwana wodą cisza.

Czuję, jak ślina napływa mi do ust, i nagle myślę, jaki to dziwny, warunkowy od-
ruch sobie wyrobiłem: kiedy myślę o porno, to zupełnie tak, jakbym myślał o mięsie – o
antrykocie, podgardlu, słoninie i szynce, o schabie, łopatce, polędwiczce i nodze, o półtu-
szy w sosie własnym, skwierczącej na patelni, spływającej po grillu, przeciskanej przez

kuter, a wtedy do ust napływa mi ślina, słodka, słona, kwaśna, ostra, smakująca wszystkim, co ma jakikolwiek smak i jest mięsem, giczą, kością, pasztetem, filetem, krwią.

Mięso. Mam w głowie mięso.

Stoimy tak już dłuższą chwilę, jej córeczka schowana za nogą, a ona patrząca na mnie jak na włamywacza, jakby sama mnie tu nie zaprosiła, jakbym właśnie jej nie uratował. To chyba w tym momencie powinna powiedzieć *czy zrobić panu herbaty* albo *a może pan coś zje* lub *a może pójdziemy do sypialni*, a ja zrobię panu to, co tamta pani na ekranie, tylko mocniej, lepiej, głębiej, aż pan nie uwierzy, że to prawda.

Ale nie mówi żadnej z tych rzeczy, tylko przedłuża *wielką ciszę*, która zaczyna krępować nawet mnie, tak przecież do ciszy przyzwyczajonego, zbratanego z nią jak z najlepszą przyjaciółką, jak z Sashą Grey, jak z Riley Reid, jak z największą *pocieszycielką samotnych*.

Więc schylam się jeszcze raz przed szafką i wsadzam głowę pod zlew, udając, że coś dokręcam, sprawdzam, upycham, ale chyba widać, że udaję, bo ona nadal nic nie mówi, tylko stoi i patrzy, jakby wystraszona. Więc wstaję znowu i zaczynam myć ręce pod kranem, który przed chwilą naprawiłem, a potem wycieram ręce o resztkę ręcznika papierowego ocalałego przed powodzią, której właśnie wspaniałomyślnie zapobiegłem. Wyrzucam mokry ręcznik do kosza i znowu stoję w miejscu, i znowu na nią patrzę, i znowu myślę o jej kroczu, o jej odbycie, o jej gruczołach mlecznych, mięso, mięso, mięso, i czuję tylko, jak szybko oddycham, o wiele szybciej niż zazwyczaj, a ona, jak gdyby nigdy nic, mówi:

– Chyba powinien pan już pójść.

I to jest prawdziwa katastrofa. Bo ja już wygenerowałem cały zestaw oczekiwań, już napisałem kilka wiarygodnych scenariuszy, już wyobraziłem sobie szczegóły całego przedsięwzięcia, i przez krótką, piękną chwilę byłem pewien, że ona tego chce. Miałem pewność, że mnie pragnie. Przecież sama do mnie przyszła. Przecież sama poprosiła mnie o pomoc, powiedziała, że męża nie ma w domu, wpuściła mnie do środka, mówiła do mnie, patrzyła na mnie, miała ciasne džinsy, miała czerwony sweterek, a to za dużo na zwykły, niezręczny zbieg okoliczności. Przecież to zupełnie niemożliwe, żeby nie wiedziała, co mi robi, żeby nie widziała, jak rozwija się sytuacja, żeby myślała, że przyszedłem tu tylko naprawić jakiś pieprzony ciekący kran. A teraz co, mam sobie pójść?

Wyrwała mnie z mieszkania, z samego środka nieźle zapowiadającej się sesji, żeby machać przede mną tymi ślicznymi włoskami, żeby szczebiotać o hydraulicznej katastrofie, żeby prosić, dziękować, tańczyć mi przed nosem – a teraz mam sobie po prostu pójść?

Znowu do mnie mówi:

– Dziękujemy za pomoc, ale chyba powinien pan wrócić do siebie.

Co za, kurwa, tupet! To po co przyszłaś właśnie do mnie? Nie mogłaś się odezwać do tego siwego profesora z góry? Albo po prostu zawołać dozorcę spod trzynastki? Nie mogłaś zadzwonić po hydraulika? Nie mogłaś sama zakręcić tego psu w dupę kranu? Po co przyszłaś, ubrana jak na planie niezgorszego softkorowego klipu, ze zsuwającym się ramiączkiem, z blond kosmykiem, który nie chce zawinąć się za ucho, ze wzrokiem księżniczki w tarapatach ale tyłkiem lepszym niż Jennifer White, bo prawdziwym, ciepłym, żywym, kręcącym się jak dwie grube wróżki pod jeansami – po co przyszłaś?!

Nie, nie wypowiadam żadnego z tych słów. Wciąż milczę, nadal próbując spojrzeć jej w twarz, ale drży mi ręka i dyszę jak wół, i czuję, że znów odzywają się rany na nogach, a to uczucie doprawdy nieznośne.

Próbuję się uspokoić i spojrzeć prawdzie w twarz: nikt mnie tu nie chce, a ja się napaliłem, niepotrzebnie, niechcący, zupełnie mimochodem, jak pies, szympan, koń.

Nie ma miłości dla kochających mięso. Nie ma namiętności dla zakochanych w ścierwie. Istnieje ciepło, ale nie dla trupojadów.

A ja jestem trupojadem. Jestem ścierwożercą. Żywię się zimnym mięsem w dwa de, przerobionym na piksele, spływającym po ekranie jak ciekłokrystaliczna posoka – sercowe pomyje.

Więc robię to, co muszę zrobić, żeby nikomu nie stała się krzywda: zamykam szafkę pod zlewem i zbieram się do siebie, ale zanim wyjdę, zanim zbiegnę na dół, żeby skończyć to, co zacząłem, co zacząłem lata temu, zbieram się w sobie i patrzę jej w oczy, przez sekundę, dwie, trzy, i dokładam wszelkich starań, żeby wrzucić w to spojrzenie cały smutek, jaki mam: smutek piromana, który zawsze chce więcej.

I wyskakuję z kuchni, z mieszkania, na korytarz, zbiegam po schodach, jakby ktoś mnie gonił, wracam do swojego mieszkania, które pachnie zupełnie inaczej, w którym jest ciemniej i zimniej niż na klatce schodowej, i, nie zdejmując butów, idę do pokoju,

gdzie jedynym światłem jest niezamknięty laptop, a jedyną pociechą blondwłosa Francuzka wpluwająca spermę do ust jakiejś nastolatki, żeby mnie zadowolić, żeby mnie nakarmić, żeby zapewnić mi dzienną porcję dopaminy, bo przecież nie chodzi o dojsćie, ale o dochodzenie, jak najdłuższe, jak najdłuższe, aż do bólu jąder, ale jeszcze ważniejsze jest poczucie bezpieczeństwa, jakie dają mi moje ukochane, bo wiem, że nawet potem, po każdym finiszu, wszędzie, o każdej porze dnia i nocy, one zawsze tam będą, nigdy nie odmówią, i *już nigdy nie będę sam*, bo one zawsze chcą. One zawsze chcą.

КРУТЮКА

Andrzej Graul

Studiuje filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Publikowany m.in. w „bi-Bliotece” Biura Literackiego, „8. Arkuszu Odry”, „Stonerze Polskim” i „Stronie Czynnej”. Wyróżniony w konkursie im. Tymoteusza Karpowicza na najlepszą recenzję literacką. Oprócz poezji współczesnej interesuje się antropologią, geopolityką i wpływem najnowszych technologii na stosunki społeczne. Jest autorem ebooków dla cyfrowej platformy How2, publikującej książki cyfrowe nowej generacji.



How to get the future? Jak odczytać przyszłość?

Fragment rozdziału I

Sytuacja jest dynamiczna

W języku długo już funkcjonuje powiedzenie, które obrazuje gwałtowną zmienność okoliczności – gdy coś idzie nie tak, jak zaplanowaliśmy lub nie jesteśmy w stanie przewidzieć najbliższej przyszłości, z małym uśmiechem wzduszamy ramionami i mówimy: „sytuacja jest dynamiczna”.

Jednak czy zdajemy sobie sprawę z tego, jak jest bardzo dynamiczna? Czas wciąż płynie tak samo, a jednak coraz częściej można mieć wrażenie, że szybkość naszego życia nieustannie wzrasta i kurczą się dni, których z każdą chwilą mamy coraz mniej. Z godziny na godzinę nieustannie przyspieszamy, a świat wokół nas robi się coraz bardziej zagmatwany i niezrozumiały.

W niniejszym ebooku sygnalizujemy, jaka jest nasza współczesność i wymieniamy 10 z jej najbardziej interesujących problemów. Problemów, które w kolejnych publikacjach serii „How to get the future” przeanalizujemy i rozłożymy na części pierwsze w przystępny sposób. Ten ebook ma pełnić formę przewodnika po naszej złożonej rzeczywistości, w której trudno znaleźć czas na dobry research i zgłębianie tematu. Po to jesteśmy my – How2.

W następnych rozdziałach przedstawimy szereg przewidywań, opracowań i danych, które pomogą zrozumieć zarówno tempo jak i naturę nadchodzących przemian. Będą rozdziały bardziej opisowe, inne w miarę szczegółowo będą przedstawiać dane zagadnienie. Będzie sporo ciekawostek i naprawdę dużo faktów i danych. Czasem będzie strasznie i smutno, czasem wesoło i intrygująco. Jednego możecie być pewni – na pewno nie będzie nudno! Zapnijcie więc pasy i przygotujcie się na ostrą jazdę, ponieważ tempo zmian wymaga, byśmy i my mocno przyspieszyli.

Kto z nas się zastanawia, jak świat wyglądał pięć lat temu? Ten moment w historii jest nam zbyt bliski, żeby działał na naszą wyobraźnię tak jak np. odleglejsze lata 90. ubiegłego wieku. Tymczasem, według obliczeń TEF¹ w przedziale lat 2012-2017 rozwój cywilizacyjny sprawił, że możliwości technologiczne i poznawcze ludzkości powiększyły się ponad trzydziestokrotnie. Co to oznacza?

¹ <https://theemergingfuture.com/speed-technological-advancement.htm>.

Ponieważ trudno sobie to wyobrazić, dla ułatwienia zwiększymy perspektywę do całej dekady – 10 lat temu dopiero powstawał Uber, a Apple wraz z iPhone 3G wprowadzało AppStore. T-Mobile zaprezentowało pierwszy telefon z Androidem, Microsoft ogłosił premierę Windowsa 7, a czytnik Kindle był niemowlęciem. 10 lat, a patrząc na obecne rozwiązania technologiczne, wydaje się, jakby to były wieki.

Żeby jeszcze lepiej zobrazować niesłychane tempo, w jakim rozwija się nasza cywilizacja, sięgnijmy po proste porównanie najbardziej przełomowych technologii w historii. Jak wynika z opracowania organizacji Singularity University jeden z najbardziej rewolucyjnych wynalazków XIX wieku, telefon, potrzebował ponad 75 lat, by liczba jego użytkowników osiągnęła 50 milionów². Natomiast odbiornik telewizyjny, opatentowany w pierwszej połowie XX stulecia, już po dwudziestu dwóch latach trafił do takiej ilości odbiorców. Różnica wydaje się dość spora.

Idźmy dalej: telefony komórkowe, przedmioty, bez których nie wyobrażamy sobie dzisiaj życia, posiadało 50 milionów ludzi po zaledwie dwunastu latach od ich wypuszczenia na rynek. Internet, opoka cywilizacji XXI wieku, był rozpowszechniony w takim stopniu po siedmiu latach. Sieć umożliwiła powstanie obecnie najbardziej popularnej platformy społecznościowej – Facebooka. Projekt ten, stworzony przez Marka Zuckerberga w 2004 roku, po czterech latach osiągnął taką popularność, jaką telefon po 75.

Dziś szacuje się, że ilość danych na serwerach Facebooka wynosi ponad 1000 petabajtów, a dziennie przybywa tam ponad 4 petabajty informacji³. Ile to jest petabajt? Większość z nas zaznajomiona jest już z terabajtem, czyli tysiącem gigabajtów (gigabajt obecnie to tyle co nic, jednostka prawie bez znaczenia na naszych dyskach). Petabajt to wielkość następnego rzędu, czyli tysiąc terabajtów. Inaczej mówiąc: tysiąc bilionów bajtów. Czy da się jednak wyobrazić takie liczby? Spróbujmy, używając do tego innej jednostki. Milion sekund to około 11,5 dnia. Miliard sekund to około 31,5 roku. Bilion sekund to 31 688 lat. A petabajt to 1000 bilionów bajtów. Tego rzędu miary są ponad możliwości naszej wyobraźni. Takie wielkości wydają się nam zbyt abstrakcyjne, gdyż nie jesteśmy w stanie ich sobie zwizualizować bez specjalistycznych programów do analizy danych.

² <https://su.org/blog/exponential-technology-trends-defined-2019/>.

³ <https://research.fb.com/blog/2014/10/facebook-s-top-open-data-problems/>.

Cztery lata, by osiągnąć 50 milionów użytkowników to obecnie żaden oszałamiający wynik. Kto pamięta obłęd, jaki ogarnął świat po premierze apki PokemonGo? Tłumy ludzi wyszły z domów na świeże powietrze, często blokując ruch uliczny, okupując parki, bulwary i place. Mania na łapanie japońskich potworków była niesłychana, a w przeciągu 19 dni Pokemony znalazły się na telefonach 50 milionów użytkowników. I choć dzisiaj niewiele osób spędza wolny czas w ten sposób, jest to jednak świetny przykład tego, jak szybko dziś rozprzestrzeniają się technologie. 50 milionów, 19 dni. Sytuacja jest dynamiczna.

Jak zatem czytać przyszłość, skoro zmienia się ona właściwie z dnia na dzień, a rozwiązania technologiczne sprzed 10 lat przestają przypominać to, co mamy dzisiaj? Jak można prognozować jutro, skoro dziś drastycznie zmienia się z godziny na godzinę? Chcąc czytać przyszłość, skupmy się na teraźniejszości, ponieważ... „the future is now, old man”⁴. Przyszłość jest właśnie

t e r a z .

(...)

Fragment rozdziału V

Schorowana Matka Ziemia

Monstrualne tempo rozwoju technologicznego wraz z plagą fake newsów i dorosłych ekspertów od wszystkiego spotęgowały zjawisko znane od dawna, a dziś wybitnie groźne – negacjonizm naukowy. Ludzie, bombardowani tonami fałszywych informacji, nie nadążając za zmianami, coraz częściej konstruują nierealne teorie lub otwarcie negują dokonania nauki. Tak narodzili się antyszczepionkowcy i płaskoziemcy, niebezpieczni, choć nie tak bardzo jak negacjoniści klimatyczni. Jest to spora część społeczeństwa, która za pomocą popularnych mitów i pseudofaktów zaprzecza znaczeniu wpływu

⁴ <https://www.youtube.com/watch?v=ta41xU-tkFA>, cytat z kultowego amerykańskiego serialu „Zwarowany Świat Malcolma”, sezon 3, odcinek 10.

ludzkości na klimat planety, twierdząc, że działania człowieka nie oddziałują na jej „stan zdrowia”.

Jak jest naprawdę? Bardzo, bardzo źle. By to zilustrować, rozprawimy się z jednym z najbardziej popularnych mitów dotyczących katastrofy klimatycznej: „stężenia gazów cieplarnianych wahają się od zawsze, ponieważ Ziemia przechodzi przez globalne cykle klimatyczne, a my właśnie znajdujemy się w jednym z nich i to nie człowiek jest za to odpowiedzialny”.

Fakty są następujące: to prawda, że stężenia dwutlenku węgla, metanu i tlenu azotu (to są najbardziej „popularne” gazy cieplarniane) wahają się na przestrzeni tysięcy lat. Przez ostatnie 20 lat stężenie samego CO₂ wzrosło o 30 ppm (cząstek na milion), takiej zmiany nie odnotowano przez tysiące lat⁵. Nie było w tym czasie masowych erupcji wulkanów, nie uderzyła w nas asteroida. To my, ludzie, zatruwamy planetę. Wszystkie prognozy dotyczące przyszłości naszego życia tracą na znaczeniu w obliczu katastrofy klimatycznej.

Nie bez powodu naukowcy coraz częściej nazywają obecną epokę „antropocenem”⁶. Co to znaczy? Mniej więcej tyle, że jako ludzkość w przeciągu ostatnich 200 lat (od czasów rewolucji przemysłowej) przeobraziliśmy i wciąż przeobrażamy klimat planety.

Naukowcy postawili tezę, że – według niektórych nieodwracalnie – wytrąciliśmy planetę ze stałego cyklu zlodowaceń, w którym oscylowała mniej więcej od 1,2 miliona lat⁷. Autorzy artykułu „Trajectories of the Earth System in the Anthropocene” opublikowanego w „Proceedings of the National Academy of Sciences”, przestrzegają, że jeśli ocieplenie naszej planety przekroczy pewną granicę, to niemożliwy już będzie powrót do stanu naturalnego.

W przeciągu 200 lat średnia temperatura wzrosła o jeden stopień Celsjusza – wydaje się to śmiesznie małą wartością, jednak w skali globalnej ma ona olbrzymie znaczenie. Być może nigdy już nie uda się przywrócić Ziemi stanu przed katastrofą, zacznie ona przypominać Wenus. Zmieni się w miejsce gorące i wrogie wszystkim formom życia.

⁵ <https://www.acs.org/content/acs/en/climatescience/greenhousegases/industrialrevolution.html>.

⁶ https://www.researchgate.net/publication/273467448_Defining_the_Anthropocene.

⁷ <https://smoglab.pl/od-katastrofy-dzieli-nas-mniej-niz-sadzimy/>.

Naukowcy nazywają ten efekt „klimatycznym dodatkowym sprzężeniem zwrotnym”. Brzmi skomplikowanie, ale mechanizm jest prosty: śnieg i lód odbijają światło słoneczne w większym stopniu, niż robią to oceany lub lądy pozbawione zamrożonej wody. Wzrost temperatury oznacza, że będzie się topić coraz więcej śniegu i lodu (tym samym podnosząc przy okazji średni poziom wód oceanicznych), czyli będzie coraz mniej powierzchni skutecznie odbijającej światło słoneczne. Powierzchnia planety będzie nagrzewać się coraz mocniej, lód i śnieg będą topnieć coraz szybciej. Błędne koło, które może nas doprowadzić na skraj zagłady.

Jaką rolę odgrywają w tym procesie dwutlenek węgla i inne gazy cieplarniane? Odkładają się one w atmosferze, absorbując emitowane przez Słońce promieniowanie podczerwone, tak nagrzewają się i część tej energii oddają z powrotem w kierunku powierzchni Ziemi. Dlatego nazywamy je gazami cieplarnianymi – to one między innymi umożliwiły powstanie komfortowych warunków do narodzin życia. Nadmiar tych gazów doprowadza do coraz szybszego ogrzewania się atmosfery i powierzchni naszej planety, powodując stały wzrost temperatury. To prowadzi do „dodatkowych sprzężeń zwrotnych” opisanych w akapitach powyżej.

Mimo że jesteśmy słusznie zachęceni, by ograniczać zużycie plastiku i zmniejszać swój „ślad węglowy” (całkowitą sumę emisji gazów cieplarnianych wywołanych przez daną osobę), to powinniśmy wiedzieć, że największą winę za obecną, gigantyczną emisję gazów cieplarnianych ponoszą olbrzymie koncerny petrochemiczne, energetyczne, przetwórcze i motoryzacyjne – czyli instytucje, na które my, pojedynczy obywatele, nie mamy raczej bezpośredniego wpływu.

Nasza planeta zaczyna się dusić przez działanie wydobywców i przetwórców ropy, polityków wspierających energetykę węglową i korporacje produkujące co roku „nowe” modele plastikowych, elektronicznych gadżetów.

Co zatem możemy zrobić, by spróbować uchronić świat od zagłady? Jest kilka sposobów, jednak wymagają one dużych nakładów pracy i wielu wyrzeczeń.

Przede wszystkim jako obywatele państw demokratycznych, mamy niekwestionowany wpływ na wybór naszych przedstawicieli w parlamencie. To politycy decydują o strategii rozwoju państwa, tworzą prawo i wymagania dotyczące rozwoju biznesu na terenie kraju. Głosując na odpowiednich ludzi z mądrymi, proekologicznymi strategiami

energetycznymi, możemy przyczynić się do zmienienia naszego kawałka świata na lepsze.

Kolejnym sposobem jest oczywiście zmiana nawyków konsumpcyjnych. Coraz więcej ludzi przestaje jeść mięso, a trzeba wiedzieć, że przemysłowa hodowla zwierząt na ubój w znacznym stopniu odpowiada za ocieplenie klimatu – wytwarza ona 13-18% wszystkich emitowanych przez człowieka gazów cieplarnianych⁸.

Możemy dołączyć do jednej z wielu organizacji stawiających na edukację społeczeństwa i wymuszenie zmiany zachowania polityków – jednym z najbardziej popularnych zrzeszeń jest kontrowersyjne, radykalne „Extinction Rebellion”. Członkowie tego ruchu często organizują protesty i stosują nieposłuszeństwo obywatelskie prawie w każdym zakątku globu.

Najważniejsze jest zrozumienie, że naprawdę przeobrażamy świat. To my jesteśmy odpowiedzialni za swoją przyszłość, a zbyt wielu ludzi wypiera fakt, że czeka nas zagłada. Dlatego zastanówmy się, jak możemy zmienić nasze przyzwyczajenia. Jak możemy uratować naszą przepiękną Ziemię? Jediną Ziemię. Nie przemieńmy jej w piekło.

(...)

⁸ <https://skepticalscience.com/animal-agriculture-meat-global-warming.htm>

**ROZMOWY
NA
STRONIE**

Nikodem Lazurek

Urodzony w 1999 r. Niepomielone mięso odpowiedzialne za prezentowanie kolażu cyfrowego w internecie. Wyhodowany i osiadły w kujawsko-pomorskim. Oczekuje poklasku i klepania po plecach. Głównie konsumuje. Publikował w „Stonerze Polskim”, „Stronie Czynnej”, „Małym Formacie” oraz „Rzyradorze”.



Wszyscy jesteście surrealistyczni

Rozmowa Piotra Borkowicza z Nikodemem Lazurkiem.

Powiedz mi jak to się u Ciebie zaczęło, jak doszedłeś do takiej formy wyrazu?

Formy pośród których szukałem, wydawały mi się zawsze niekompletne, niezależnie od tego w której z nich próbowałem się odnaleźć. Zależy mi na tym, żeby przejść od koncepcji do gotowego tworu a wiadomo, że gdy przyjdzie do rysunku i malarstwa twoja koncepcja może ulec zmianie nawet po tym jak włożyłeś w swoją pracę dużo wysiłku. Ja dorastałem trochę w przeświadczeniu, że jeśli coś jest łatwe do zrobienia to jest do niczego. Kolaż cyfrowy był dla mnie pierwszym przykładem tego, że można stworzyć coś, co jest proste w wykonaniu, nie wymaga dużego nakładu pracy i jednocześnie może odebrane jako coś wartościowego i świeżego.

Prosta technika była jedynym czynnikiem, który Cię popchnął w tę stronę?

Kiedy skończyłem 16 lat kolaż cyfrowy zyskał rangę czegoś poważniejszego. Między innymi przez nurt vaporwave, z którym zetknąłem się wówczas po raz pierwszy. Na pewno przełomowy był dla mnie moment, w którym poznałem twórczość Young Leana. Zdałem sobie sprawę, że estetyka, jakiej używa w swoich teledyskach była czymś, co miałem w głowie od zawsze. Nie widziałem jej nigdy na oczy, ale wiedziałem i czułem, że jest moja.

Powiem ci, że ja też podświadomie czuję tę estetykę, odbieram ją jako coś znajomego. Dlaczego tak się dzieje? Jak myślisz, czy ma na to wpływ fakt, że jesteśmy osobami z tego samego pokolenia?

Z całą pewnością. W zasadzie u Yung Leana vaporwave występuje tylko w śladowych ilościach, ale ja zacząłem kopać głębiej, aż dotarłem do estetycznego rdzenia tego nurtu. Nie mówię tylko o latach 90., ale początku pierwszej dekady XXI w., roku 2004, czyli początkach Internetu w Polsce. Na pewno obaj możemy przywołać kilka obrazów związanych z tym okresem, pamiętamy ikony, wygaszacze ekranu, interfejsy starych systemów operacyjnych.

A twój fanpejdż „sadbvdda”? Vaporwave jest jedynym aspektem, który ukierunkował twoją twórczość?

Fanpejdz powstał od razu, przy pierwszym zrobionym obrazku. Zawsze chciałem być popularny nie będę tego ukrywał (śmiej). Jest jeszcze jeden aspekt, który ukształtował formę moich prac i jest nim moje zainteresowanie historią sztuki.

Znając już część backstory twoich prac zastanawiam się nad przyporządkowaniem ich do jakiegoś porządku. Jak myślisz, czy możemy mówić tutaj o oddzielnym gatunku, czy można powiedzieć po prostu, że to są po prostu kolaże cyfrowe?

Zakładam, że przedstawianie w sztuce widzianej rzeczywistości to nic innego jak kopiowanie i doszedłem do wniosku, że skoro ktoś już skopiował jakąś figurę i nadał jej jakieś znaczenie, symbolikę, to ja już nie muszę tego robić. Zamiast tego mogę wykorzystać te element w moich pracach, dlatego te figury wycinam i układam w różnych konfiguracjach równocześnie czerpiąc z czasu, kiedy w sztuce obowiązywała zasada mimesis. Tworzę w takim samym stylu jakbym malował obraz.

Czyli w twoim wypadku forma jest współczesna a semantycznie odwołujesz się do historii sztuki. Powiedz mi od dawna się poruszasz w tematach związanych z tą dziedziną, od czego się zaczęła twoja przygoda z obrazami dawnych mistrzów?

Zacząłem od Van Gogha, zacząłem interesować się poszczególnymi obrazami, potem przeszedłem do biografii, zacząłem eksplorować inne epoki, symboliki i treści obrazów. Kiedy zacząłem poznawać różne historie sztuk zacząłem się zastanawiać jak to się przekłada na to co robię. Zacząłem ostatnio interesować się ewolucją myśli modernistycznej, ale ciekawe jest to, że forma moich prac się przez to nie zmienia.

Dużo jest w twoich pracach pewnego poczucia absurdu, czarnego humoru, układasz swoje figury w taki sam sposób jak robili to dadaiści (Duchamp, Man Ray) w technice ready-made, tylko, że zamiast przedmiotów używasz różnych wycinków i układasz z nich nowe kompozycje. Jak odwołujesz się do dziedzictwa dadaistów?

No dadaizm jest bardzo bogatym nurtem, którego główna myśl jest bardzo swobodna. Można w niej znaleźć bunt dla buntu, chęć szokowania, przekraczania granic i to są te rzeczy, które od razu sobie na początku odpuściłem, bo chciałem, żeby moja narracja była bardziej harmoniczna, bardziej celowa niż chaotyczna. Dadaistyczną w moim przypadku może być forma i fakt, że jak coś stworzę to zastanawiam się co to może być i jak to nazwać, ale ogólnie staram się trzymać jednej myśli przewodniej, którą jest marność. Tego, że człowiek nie jest niczym szczególnym.

Chcę podkreślić fizyczny aspekt bycia człowiekiem, dlatego często można w moich pracach znaleźć np. mięso. Pod każde przedstawienie ludzko-zwierzęce czy człowieka z rzeczą albo pożywieniem tę myśl można podciągnąć. Zestawiam dwa elementy, z których żaden z nich nie jest lepszy od drugiego. Jesteśmy niczym, ale co z tego. Może to bycie niczym jest zabawne, ale może też jest o wiele bardziej ciekawe niż bycie czymś i taką myśl staram się w swoich pracach przekazać.

Z jednej strony dużo u ciebie tej barokowej marności a z drugiej nasuwa mi się jeszcze twórczość Kurta Schwittersa i jego teorii składania nowego świata ze szczątków. Czy twoje kolaże mogą być odniesieniem do jego myśli?

On bardziej skupiał się na wytworach człowieka, cywilizacji, aby przekazywać swoją dadaistyczno-anarchistyczną myśl. Ja się staram uderzyć w trochę czulszy punkt, czyli ludzką dumę, człowieka samego w sobie. Zestawienie obrazów kultury wysokiej ze śmieci mogło być ówczesnie czymś szokującym, ja idę jednak o wiele dalej i zastanawiam się czy sam człowiek nie może być takim odpadkiem.

Trochę mówisz o odpadkach, trochę o mięsie, mi się od razu tutaj Wiesławiec nasuwa. Zdarzało się wam współpracować?

Słyszałem już takie porównanie, że to co robimy ma jakiś wspólny pierwiastek. Collabo w ścisłym znaczeniu tego słowa nie było, ale robiliśmy ilustrację do jednego tekstu dla Nowego Formatu. On daje dużo tekstu, ja nie mam takiej cierpliwości poetyckiej. Myśl jest podobna, ale inaczej się ją odczuwa patrząc a inaczej polegając na tekście. Na pewno główna różnica polega na tym, że ja o wiele bardziej operuję obrazem a Wiesławiec opisem.

Jak już mówimy o kolaboracjach. Współpracujesz z Miłozem Hołodym. Jak wygląda wasz układ?

On odpowiada za warstwę tekstową. Przesyła mi teksty, a ja zajmuję się resztą. Ja nie czuję bluesa tak bardzo jeśli chodzi o pisanie i w tym względzie bardzo mi odpowiada współpraca z Miłozem. Nie pytam go czy ma coś konkretnie na myśli, ale czasami muszę się nieźle nagimnastykować, żeby dopasować jakiś obraz, bardzo mi się to podoba.

Mówiliśmy wcześniej o pewnej celowości czy harmonicznosci twoich narracji. Obrazy dobierasz celowo czy polegasz czasami na zasadzie ślepego strzału?

Różnie, czasami nie mam wizji, szukam elementów, wybieram, jeden a potem drugi, wtedy podczas wyszukiwania przychodzi pomysł, w momencie łączenia elementów często też znajduję wizję. Albo bardziej to ona znajduje mnie. Czasami polegam wyłącznie na wrażeniach wzrokowych i potem dopiero szukam słowa, którym mogę mój twór nazwać.

Zastanawia mnie rola podświadomości w procesie powstawania twoich prac. To, że zdarza ci się skakać przez kolejne skojarzenia, artykuły i obrazy. Trochę kojarzy mi się to z surrealistami, którzy pisali wiersze pismem automatycznym.

To już zakrawa na surrealizm dla zaawansowanych. Wydaje mi się, że oni spierali się o tę formę i sposób powstawania takiego tekstu, czy można faktycznie spisać podświadomość i na ile to będzie akt świadomy, ale generalnie zgadzam się. To co robię przypomina mi też postać Hansa Arpa, który dopiero po namalowaniu abstrakcyjnego obrazu zastanawiał się co przedstawia i na samym końcu starał się go nazwać. Robił to przez całe życie. U mnie to bardziej dopisywanie symboliki do całości.

Tak naprawdę to są rzeczy, które dopiero sobie uświadomiłem po dokładniejszym zapoznaniu się ze wspomnianymi tutaj artystami i ruchami. Traktowałem to co robię jako rodzaj renesansowej układanki-obrazu. To jest coś o czym wspominałem wcześniej, do tego co robię mogą pasować różne teorie z różnych gatunków, a na powiązanie między świadomością a podświadomością należy patrzeć jak na pewne spektrum niż jednoznaczne tworzenie wyłącznie pod wpływem jednego lub drugiego. Bo czym innym jest inspiracja jeśli nie podświadomym impulsem? Wszyscy jesteśmy surrealistyczni albo wszyscy nie jesteśmy surrealistyczni. A najbardziej surrealistyczne jest chyba nie bycie surrealistycznym koniec końców.

A ten surrealizm przenika do twojego życia? Czy starasz się oddzielać te dwie sfery?

W mojej sztuce wręcz staram się być trochę nad tym. Ale w życiu w kontaktach z ludźmi na przykład nie mam żadnego problemu z mówieniem rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydają się totalnie bez sensu. Dla mnie to jest wyzwalające. W tym ujęciu surrealistyczny styl bycia mocno wzmocnił moją pewność siebie. To jest ten rodzaj sytuacji, kiedy podchodzisz do kogoś i wywołujesz w nim pewnego rodzaju niepewność, a sam tej niepewności nie odczuwasz. Niwelujesz swoje poczucie lęku, daje Ci to przewagę i pozwala się poczuć komfortowo.

Z drugiej strony to też trochę dadaistyczne podejście. W sumie te dwa ruchy dobrze się uzupełniają.

Spędziłem trochę czasu zastanawiając się nad tym jak mógłbym się zametkować i gdzie umieścić to co robię. Koniec końców nie można mi wyłącznie jednej łatki przypisać, ale te dwa kierunki zawsze przewiną się przez umysł świadomego odbiorcy. Generalnie sztuka renesansowa, dadaizm i surrealizm to są trzy filary, na których opieram to co robię. Jest jeszcze konstruktywizm, dla mnie prawdziwą istotą sztuki jest branie elementów i konstruowanie z nich, a nie mówienie, że jest się autorem każdej kropki i kreski. Tworzysz coś nowego i wcale nie udajesz się, że to nie są gotowe elementy, ale przyznajesz się do tego. Każda plama koloru, narysowany człowiek, zwierzę, to element który ktoś zobaczył, przerysował, tak naprawdę wszystko wokół nas to są gotowe elementy.

Zupełnie jakbyśmy żyli w świecie przedmiotów ready-made.

U mnie to ready made przebiega na płaszczyźnie. Trochę też jakbym bawił się w Boga albo jego brak. Z ludzkiej perspektywy akt tworzenia jest aktem syntezy. Chodzi mi o układanie rzeczy.

Tu już trochę zahaczamy o metafizykę. Powiedz mi, stąd ten smutny budda w nazwie twojego fanpejdża?

Nie, budda akurat pochodzi z drewnianej figurki buddy, którą posiadał mój kuzyn. To on zaproponował, że mógłbym się nazwać sadbvdda. Stwierdziłem, że to nie ma żadnego sensu, żadnego odniesienia do mnie i dlatego mi się to podoba. Taka surrealistyczno-dadaistyczna historia. No jak się zna ten wątek to ten przyrostek *sad* ma większy sens niż *bvdda*. Do mnie akurat bardziej pasuje *sad* a *bvdda* jest trochę od czapy. Nikt nie wie skąd się wziął, oprócz mnie.

Coś mi się wydaje, że teraz, po naszym wywiadzie, będzie o tym wiedziało znacznie większe grono osób. Dzięki za rozmowę.

STRONA

WOLNA

Katarzyna Caryńska

Poetka, innych wskazówek brak.



Wskazówka

w wyglądzie się kryje wskazówka
bo gdy mina zła jak z pagórka
to brwi idą do środka
a zęby wyskakują jak szalona higienistka
której filozofia opiera się na pryszczach –
te na plecach to grzechy szkolne

więc usta spadają
i głowa też spada
wystawia język na kogoś
kogo kochamy

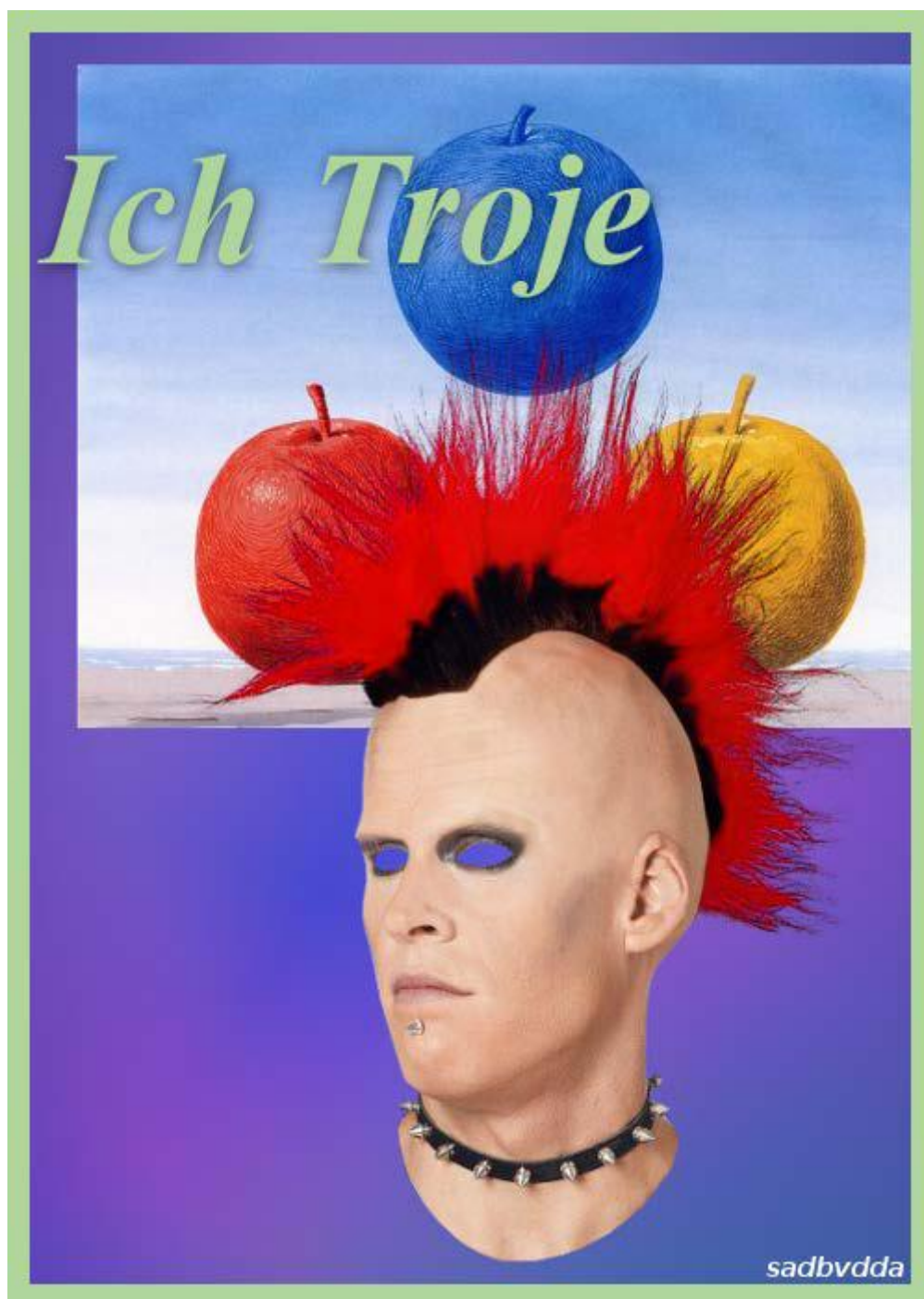
bo trzęsie się szczęka od ludzi
dlatego łzy muszą czasem iść do pokoju
przemyśleć swoje zachowanie

dziecinko
tylko radość
tylko radość ma się oczami

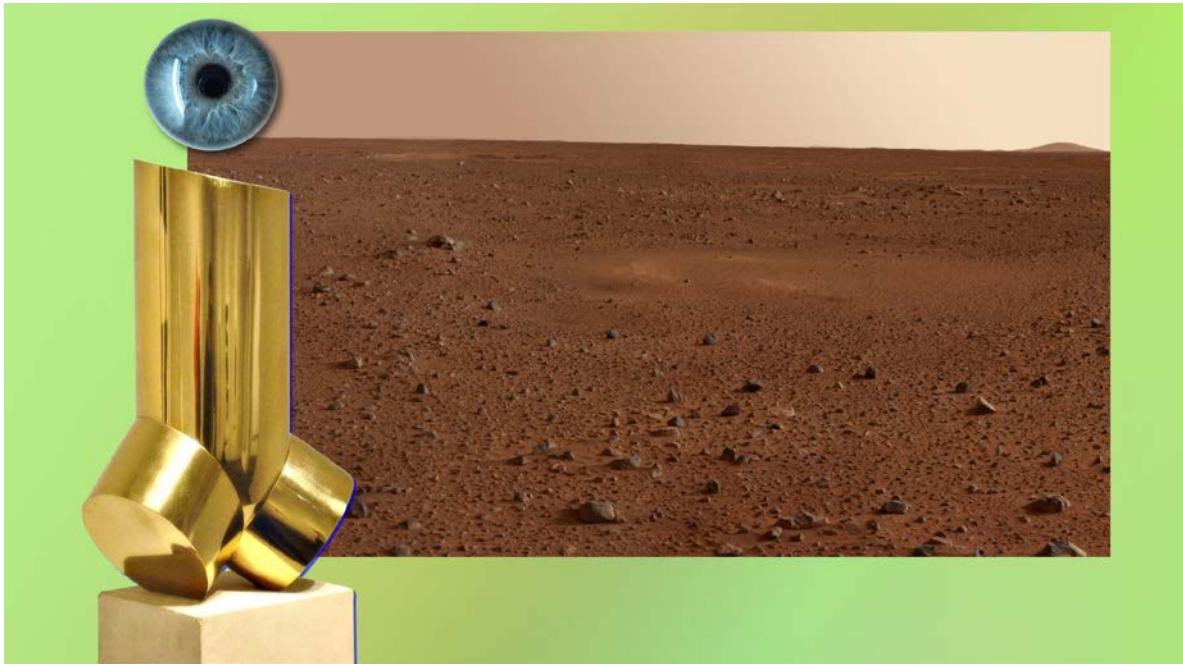
Nikodem Lazurek

Patrz s. 173.

Czerwień



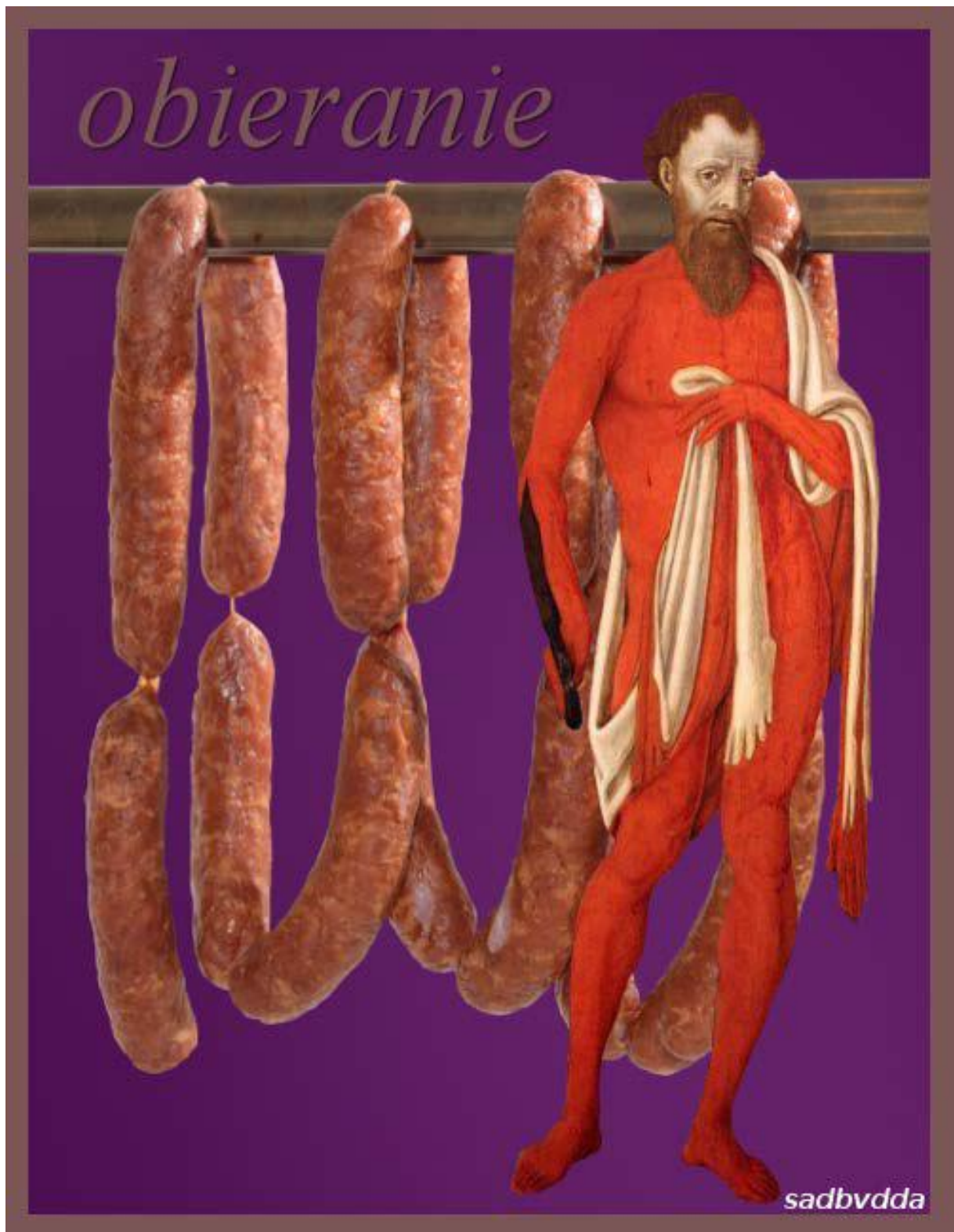
Ilustracja fisherczysta



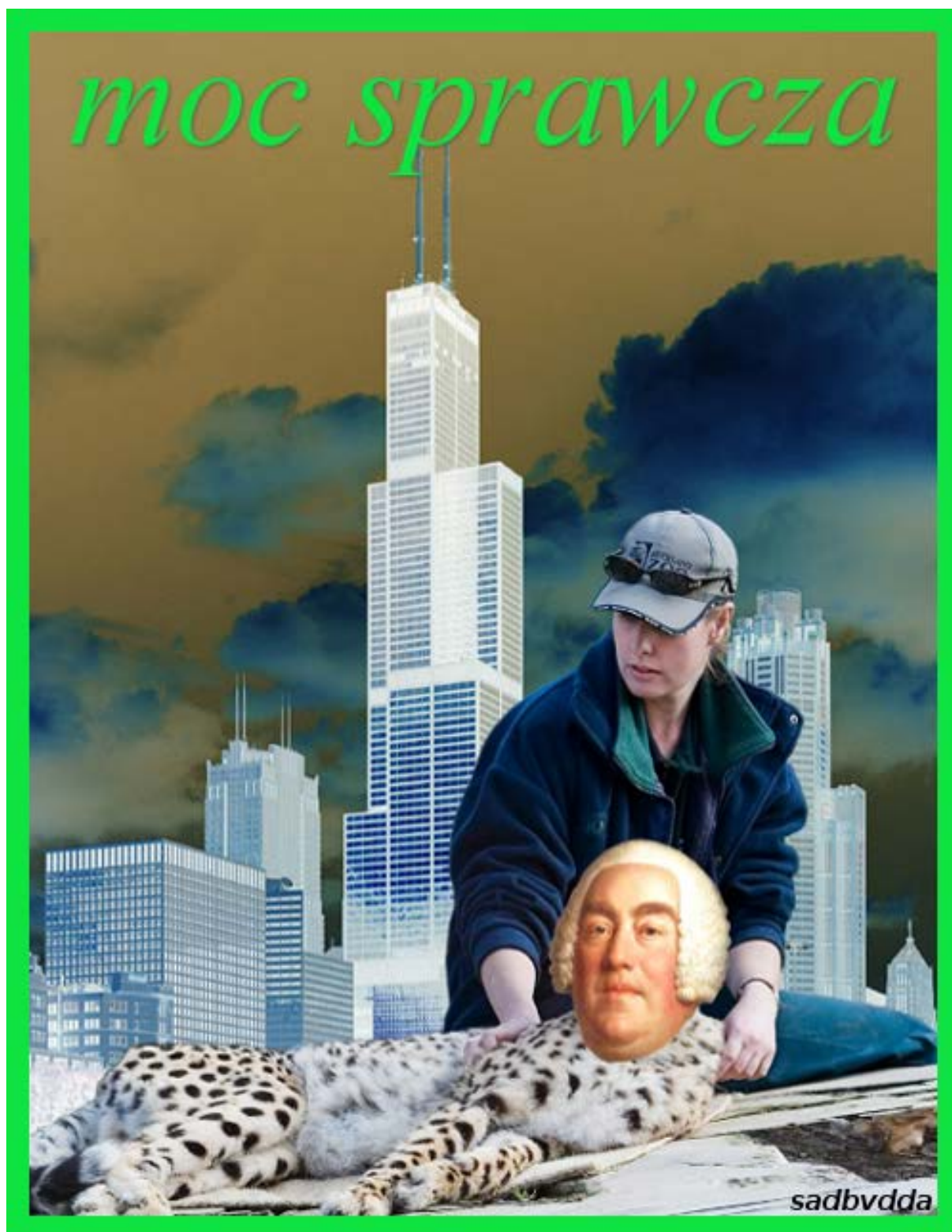
Łyżka



Skórka



Moc sprawcza



Magdalena Narewska

Urodzona w 1994 – copywriterka, tłumaczka, filmoznawczyni współpracująca z Fundacją OFF Camera. Debiutowała w „Tlenie Literackim”. Cyfrowa nomadka, która nie znosi tego określenia, ale nie znalazła jeszcze lepszego. W wiecznym rozkroku między Polską a Portugalią, kinem a literaturą, naturą a kulturą.



WW

W: A gdyby tak można było zobaczyć wstyd bez osłony gestów? Czym byłby – słoniem w pokoju? Żywym mięsem?

W: Bez wątplenia jest wiernym towarzyszem. Nawet jeśli pogodzisz się z jego przyczyną, nie odchodzi.

W: Najbardziej mnie boli, że żłobi w pamięci tak głębokie ścieżki. Jest ich mnóstwo, wszystkie prowadzą do wstydu. Ze szczęściem nie jest tak łatwo. Do szczęścia musisz się dokopać, na ślepo, jak kret.

W: Chrześcijanie mogą zwalić wszystko na Adama i Ewę. A nam, co pozostaje? Obwinianie matek? Systemu? Kanonów piękna? Patriarchatu?

W: Mówią, że bez wstydu nie zaszlibyśmy tak daleko. Wciąż bylibyśmy barbarzyńcami, w skałach drążącymi piersi.

W: Szczerze w to wątpię. Choć z tym, że wstyd determinuje koleje losu, mogę się zgodzić. Nie ma jednak z niego żadnego pożytku.

W: Oczywiście, że jest. Powstrzymuje cię przed zrobieniem sobie krzywdy.

W: Czyżby? Zdaje się, że mylisz wstyd z instynktem przetrwania.

W: Do niczego ci się nie przydaje?

W: Może jedynie jako partner do walki. Zresztą, twój wstyd jest inny niż mój. Nie chcę mu umniejszać – ale jednak, porównania są tutaj zupełnie bezzasadne. Ja swój wstyd codziennie smaruję, rozcieram – nie mogę o nim zapomnieć. Muszą mieć go z tyłu głowy, zawsze się pilnować, by nie wymknął się wykwitami, które rodzą pytania. Czasem zdradza mnie wiatr, czasem słońce. Deszcz też, chociaż w mniejszym stopniu.

W: A może wyolbrzymiasz?

W: Jestem wstydem. Wstyd mnie więzi, zmusza do lakowania deficytów uśmiechem. Do klejam go, trochę tu i tam szpachluję, i udaję, że wszystko jest w porządku. Gdybym nie musiała się wstydzić, z pewnością nie byłabym taka miła.

W: A mówią, że żyjemy w kulturze winy.

W: To pochodna?

W: Czasem umysł strzela nim we mnie jak z procy. Wszystkie te momenty, kiedy płonęła mi twarz, żołądek zwijał się w spiralę jak z czitosów. Najgorzej, jeśli akurat idę wtedy ulicą. Nie mogę się oprzeć, by kroczyć po liniach betonowych bloków, albo kłać na siebie, powtarzać te prymitywne mantry o własnym zjebaniu. Krzywię się, klnę, ludzie dźgają mnie współczuciem w źrenicach ostrych jak szpilki. Tak – to zwykle zdarza się w dni, kiedy z nieba zstępuje białe światło, penetrujące tkanki jak rentgen. W nich też kryją się zaszłości.

W: Niesamowite, jak oddziela cię od siebie. Filetuje – zaczynasz wstydzić się siebie przed sobą. Chuchasz w lustro, czynisz z siebie płótno. A ciało coraz bardziej cię za to nienawidzi.

W: Wstyd cię łamie, czy rozjusza?

W: Jedno i drugie. A może tak – łamie mnie własna słabość w jego obliczu. Najpierw decyduję się mu przeciwstawić, a potem zakrywam się dłońmi, włosami, rekwizytami, które akurat mam pod ręką. Dziwną czynię z siebie konstrukcję, ludzkie puzzle – sztucznie wyprostowana, z ramionami pod dziwnym kątem. I tak, po spirali, z jednego wstydu w drugi.

W: No, czitosy. Ale mój wstyd nie ma chyba cielesnego wymiaru.

W: Po pierwsze – bzdura. Po drugie – ten rozdział ciała i duszy chyba przeszedł już do lamusa?

W: Tak, słyszałem ostatnio, że dusza gnieździ się gdzieś w jelitach. Jak coś ci tam bulgocze, to znaczy, że dopomina się o duchową strawę.

W: Czy to miała być subtelna sugestia? Chyba to słyszę. Wiem, dlaczego milczałeś do tej pory, ale hałas robi się nie do zniesienia.

W: Jak nakarmić duszę?

W: Odnoszę wrażenie, że nie inaczej, niż truskawkami ze śmietaną.

W: Moja preferuje raczej tłuste bity i szatkowanego Derridę.

W: Chyba zjedzą dziś osobno.

W: A my, jak zwykle, razem?

Witold Pozorski

Urodzony w 1997 roku w Gdańsku, mieszka w Sopocie. Filolog polski, menedżer, motocyklista. Poeta, animator kultury, współorganizator Festiwalu Literackiego Fa-la Poprzeczna. Do tego Polak, katolik i alkoholik, podobnie jak jego młodzieńcza fascynacja, Władysław Broniewski. Od komunizmu jak najdalej, jak najbliżej za to poezji i mocnych wrażeń.



Auchan przy Szczęśliwej

Obiecuj mi,
jak obiecuje sobie dwoje kochanków,
Obiecuj mi, że
nie zabraknie dla mnie nigdy niczego,
co możesz mi dać.
Obiecuj mi, że
gdy skończy się Aleja Adamowicza,
trafię na Szczęśliwą.
Obiecuj mi,
najlepsze z polskich miast,
że nie znikniesz jak Wenecja.

Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz

Góral spod Jasnej Góry. Studiował filologię bardzo bliskowschodnią oraz rodzimą. Uczy i się. Nigdy nie był w RPA, USA ani w PSL. Dużo pisze i pali. Z powodu klauzuli sumienia oraz przepisów RODO więcej grzechów nie pamięta, niczego nie żałuje i nie obiecuje poprawy.



Powrót syna marnotrawnego

- wersja uwspółcześniona

pojednać się zjednać zjednoczyć się z nim
zbratać się usynowić przekupić obiecać
wymienić uściski podmienić poglądy
zmyć barwy wojenne znak pokoju posłać
wybaczyć odpuścić sercem szantażować

a jak się będzie stawiać postawi warunki
nie dać się sprowokować

spokojnie dać w mordę

W rozkroku

co krok to święty co święty to rozkrok
w rozkroku nie wiem zostać czy zawrócić
a może obejść ale z której strony
po wielkim łuku czy się raczej otrzeć

lecz który święty jest najbardziej święty
żeby otarcie bardziej uświęcało
czy pierwszy lepszy szeregowy święty
czy raczej święty od ważnej intencji

w którym urzędzie się kanonizować
w mniejszym czy większym świętych obcowaniu

a może lepiej z grzechu nie wychodzić
w domu pozostać i mieć święty spokój

Małgorzata Wątor

Ur. w 1988 r. w Słupsku, jest z pochodzenia kaszubką o góralskim nazwisku. Od kilku lat mieszka w Gdańsku. Jest poetką i animatorką kultury. Publikuje po polsku i kaszubsku. Przewodnicząca i założycielka Kaszëbsczégò Karna Ksążczy w Sopocie. Wiersze publikowała m.in. w „2miesięczniku – Piśmie Ludzi Przełomowych”, „Akanacie”, „Autografie”, „Fundacji Karpowicza”, „Gazecie Kulturalnej”, „Inter – Literatura Krytyka Kultura”, „Migotania – Gazeta Literacka” „Nowa Wieś Tworząca”, „Obszary Przepisane”, „Obywatelce”, „Odrze”, „Papier w dole”, „Pegaz Lubuski”, „Pisarze.pl” „Prowincji”, „Pomeranii” i „Stegnie”. Należy do „Literackiego Klubu Wers” w Bytowie, do grupy „Wtorkowych Spotkań Literackich” w Słupsku i do „Gdańskiego Klubu Poetów” w Gdańsku. Autorka tomu poezji *Przeznaczona / Namienionô* (Gdańsk 2020).



Bluszcz

Bluszcz jak nôstrój sã pnie
pò mie
Nibë ôrt widu wkół lëdzcégò cała
Przëkùti w cemnoc
Co wzérô
Na rozstajné drodзи
Pòtemù na trzãsawiskò
Ë pò przëgaszonëch gãbach
Chtërne bëłë na kraju lasa
To w mërgnieniu òka dzinie
Ë nick nie widzôł

Bluszcz

Bluszcz jak nastrój pnie się
po mnie
Jakby poświata
Przykuta w ciemność
Co patrzy
Na rozstaje dróg
Potem na błoto
I po przygaszonych twarzach
Które były na skraju lasu
To w mgnieniu oka znika
I nic nie widział

Chemiô nôterà

To je taczé złączenié cząsteczk
Blëskòscë jistnieniô ë tegò co
Mòdròk namieniony pòrzesził
Nacygò wònią
W pòréncznëch gòdzënach deszczu
Mòże bùten leżec i mùrszëc
Jaż pòchnie za plesnią
Mechã pòkrété serce
Chce dwigac sã na dëchù
Na chtërnym pòrosłë wespółminczy

Chemia natury

To jest takie połączenie cząsteczek
Bliskości istnienia i tego co
Powiązał przeznaczony chaber
Nasiąka wonią
W porannych godzinach deszczu
Na zewnątrz może leżeć i butwieć
Aż pleśnią zapachnie
Mchem pokryte serce
Chce dźwignąć się na duchu
Na którym obrosły wspomnienia

Smãtk

Mòzesz sã napawac

Żółcã i òctã

Czedë zdrzi na miã

Terô nienawistnym òkã

Karasela kòle ni

Płacze òbróbka plasticznô

Ë z ni jakôs białka

Nasëszëła brzadu

Na wëbiérną kartkã

Terôzka diôblë przëjacelstwò

Na nôbòżeństwò zwòni

Smętek

Możesz napawać się

Żółciã z octem

Kiedy zawistnym okiem

Patrzy na mnie

Karuzela koło niej

Płacze plastyczna obróbka

A z niej jakaś kobieta

Owoców nasuszyła

Na kartę wyborczą

Teraz gusła

Dzwoniã na nabożeństwo

Dominik Żyburtowicz

Ur. w 1983 r. w Drawsku Pomorskim), poeta. Wydał tomy *Żaglowce* (WBPiCAK, Poznań 2015), *Spaceboy* (Instytut Mikołowski, Mikołów 2017), *Klucze uniwersalne* (WBPiCAK, Poznań 2019), *Remedorium* (Fundacja Kultury AFRONT, Bukowno 2019). Tłumaczony na języki angielski, włoski, rosyjski. Mieszka koło Koszalina.



Guzik

Zaczęło się od wymiany przedmiotów:
mebli, odzieży, zegarków, portfeli.

Nie wiedział nikt, że żniwiarz
van Gogha obserwuje te zmiany z obrazu,

chcąc czegoś więcej. Za dzień, może dwa
naciśnie słoneczny guzik świata, ścinając
z tego luksusu wisienkę człowieka. Nie
potrafię podać przyczyny. Miało być tak pięknie,

ale nie jest, oj nie jest. Nie pomogły
najnowszej generacji smart TV ani para iPhone'ów
za dwanaście tysięcy złotych. Dlaczego? Proste:
nie rzeczy tworzą domostwo, lecz ludzie, oraz

ich brudne lub czyste sumienia. Słowa,
usta – to otwarta lub zamknięta rana,
którą słyszeli już chyba wszyscy sąsiedzi. *Przestań
się w końcu tak wydzierać! Błagam... Ach,*

tak już czasem jest, kochani, że zło
szarpie ludźmi jak marionetkami.
Żniwiarz van Gogha wychodzi z obrazu
i wypala trawy: *Ludzie – powiada –*

to morza krwi, złowa to krwawe fale. Noc.
Słoneczny guzik toczy się po podłodze.
W pustym, rozgrzanym od płaczu pokoju.
Za miesiąc wprowadzą się tutaj młodzi.



czynna.com